

*Jego krew go naznacza.
Jej miłość go zniszczy.*

KREW ZEUSA

MEREDITH WILD
& ANGEL PAYNE



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MEREDITH WILD
& ANGEL PAYNE

KREW ZEUSA

PRZEKŁĘCI. TOM 1

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



Mindy
– *Meredith*

* * *

Thomasowi i Jessice.
Jesteście magią mojego życia,
biciem mojego serca,
krwią w moich żyłach.
– *Angel*

*W jej łonie widzę wszystkich bytów przędzę:
Kochanie wiąże jednolitym splotem
To, co oddzielnie stoi w świata księdze.*

– Dante Alighieri, *Boska komedia, Raj*, pieśń XXXIII
(tłum. Edward Porębowicz)

Kara

GORSZE OD BYCIA DEMONEM jest tylko noszenie nazwiska Valari. Jako przedstawicielka obu tych klanów muszę wysłuchiwać każdego najmniejszego szeptu, mijając grupki studentów po wejściu do sali wykładowej.

- To Kara Valari.
- Że też jej się chce.
- Najgorszy sort.

Nie zwalniam kroku, odszukuję ich twarze. Czasami patrzenie ludziom w oczy to jedyny sposób, żeby się zamknęli. Komentujący jeden po drugim odwracają wzrok.

Za szeptami łatwo się schować. Tak samo jak za sprośnymi tekstami, których nie słyszy nikt oprócz mnie i facetów mruczących je pod nosem. Nie muszę nawet na nich patrzeć, by wiedzieć, że nie jestem zainteresowana. W ich przypadku kontakt wzrokowy tylko by skomplikował sytuację.

Dla dobra edukacji wszystkich obecnych wchodzę po schodkach i wyszukuję miejsce na samym końcu sali z nadzieją, że zapomną o mojej obecności. Gdy siadam, jakaś blondynka przede mną udaje, że robi sobie selfie. Oczywiście ze mną na drugim planie. Nie mogę się doczekać opisu.

Studiuje na University of Alameda już trzeci rok, ale niektórzy zdają się niezmiennie podekscytowani faktem, że chodzą na zajęcia z celebrytką czwartej ligi. Najgorszy jest zawsze początek nowego semestru. Po dłuższej przerwie od uczelni moja tolerancja ma niebezpiecznie niski poziom, istnieje też duże prawdopodobieństwo, że nazwisko Valari jest przedmiotem nowych hollywoodzkich plotek, tyleż szkodliwych, co przelotnych.

Naturalnie nie jestem tu jedyną, która urodziła się w sławnej rodzinie. Mój dziadek był jednym z najgłośniejszych scenarzystów swojego pokolenia, ale statuetki na jego kominku już dawno odeszły w zapomnienie. Obecnie nasza rodzina wciąż przyciąga blask fleszy, ale z dużo mniej chwalebnych powodów. Nasza reputacja wszędzie się za mną ciągnie. Nie mogę przed nią uciec, podobnie jak przed swoją biologią.

Szukając notatnika i długopisu w drogim skórzanym plecaku, wypuszczam powietrze ze ściśniętych płuc. Czuję, jak nieujarzmione emocje próbują się przebić przez fasadę spokoju, i w duchu sięgam po nieznaną mi dotąd pokład samokontroli.

Podnoszę głowę na dźwięk trzaśnięcia drzwi, które ucisza wszystkie szepty.

Nawet z mojego podwyższenia strzelista sylwetka wchodzącego do sali mężczyzny robi wrażenie. Jego wyraz twarzy skrywa wbity w ziemię wzrok, a usta przysłania broda, równie złocista jak związane w węzeł na karku włosy. Choć nie trzeba go nikomu przedstawiać, czuję, że zaraz padnie jego imię.

Kilka sekund później ciszę przerywa stłumiony syk, wydłużone echo jego imienia na ustach studentów, na których jeszcze przed chwilą gościło moje.

Maximus.

W kilku długich krokach profesor Maximus Kane dociera na szeroki drewniany podest z przodu sali i ostrożnie kładzie na biurku plik materiałów. Przechodzi mnie znajomy dreszcz zaintrygowania. Odłożyłam ten kurs na ostatni rok, najlepsze i najgorsze zarazem zostawiając sobie na koniec. Pierwsze to najjaśniejszy punkt mojej przygody ze studiami, drugie – zupełnie inne życie, które rozpocznę po ich ukończeniu, a któremu jak najdalej do kaganka oświaty.

Górująca nad salą postać głośno odchrząkuje, uciszając ostatnie szepty. Wzrok wciąż ma wbity w notatki na biurku, dając publice jeszcze chwilę na oswojenie się ze swoją imponującą posturą. Skubię wnętrze wargi, bo nie pozostaję nań obojętna. Jedyne profesorskie elementy w wyglądzie profesora Kane’a są okulary w ciemnych oprawkach i nudny sweter-bezrękawnik seksownie opięty na białej koszuli z kołnierzykiem, która wygląda, jakby przy pierwszym gwałtownym ruchu miała pęknąć w szwach.

– Witam na zaawansowanym kursie literatury średniowiecznej – zaczyna głębokim, posępnym głosem. – Skoro tu jesteście, powinniście mieć już odpowiednią wiedzę, by przystąpić do dogłębnej analizy *Boskiej komedii* Dantego, na którą poświęcimy większość semestru. Jeśli jednak znaleźliście się tu przypadkiem, przemyślcie jeszcze raz, czy ten kurs na pewno jest dla was. Moje wymagania względem waszych wysiłków są takie same jak na każdym innym kursie. Nie marnujcie mojego czasu, a ja nie zmarnuję waszego.

Zaciskam zęby na wardze odrobinę mocniej, żeby skupić się na bólu. Nigdy nie uciekałam przed wymagającymi wykładowcami. Wprost przeciwnie, zawsze ich wybierałam żadna wyzwania. Dodatkowym bonusem było wyprowadzanie innych studentów z równowagi piątkami i wysoko ustawioną poprzeczką.

Tutaj jednak jestem dla Dantego. Do tej pory myślałam, że słynący z nieziemskiego wyglądu profesor filologii angielskiej będzie łagodnym olbrzymem, wyrozumiałym i wnikliwym intelektualistą o łagodnym głosie i charakterze jaskrawo kontrastującym z uderzającą fizycznością. Jakże się pomyliłam! Moja wewnętrzna masochistka odmawia mroczną modlitwę, by przy wystawianiu ocen okazał się równie surowy.

– Nie będę na tym kursie jedynie wykładowcą – ciągnie. – Jestem waszym profesorem, ale uważajcie mnie raczej za przewodnika wskazującego godne uwagi motywy. Jeśli zdacie się wyłącznie na moją interpretację, pozbawicie się nauki płynącej z dzieła Dantego, nakreślonego przez niego kręgu wiedzy. Jego poemat to wędrówka w głąb siebie. – Na chwilę przerywa i zaciska w zamyśleniu usta. – „Wędrówka” jest tu słowem kluczem.

Ściąga lekko brwi i poprawia okulary na nosie.

– Kolejna kwestia: ile osób zapoznało się z fragmentami *Komedii* na innych kursach?

Prawie wszyscy podnoszą rękę. Oprócz mnie.

Wykładowca rozgląda się po sali i robi mi się gorąco, gdy na ułamek sekundy zatrzymuje wzrok na mnie.

– To konwersatorium, będę więc wymagał od was udziału w dyskusji. Zaczę już teraz. Abstrahując od znajomości tekstu, co pociąga was w Dantem?

Tajemniczym sposobem na sali robi się jeszcze ciszej, jakby wszyscy przestali oddychać, żeby nie ściągnąć na siebie niechcianej uwagi. Uśmiecham się pod nosem, bo umiem z łatwością nie tylko wychwytywać szeptane słowa, ale i wyczuwać ludzki niepokój, od lekkiego ukłucia strachu do eksplozji paniki.

Spojrzenie profesora pada na blondynkę przede mną.

– Może pani? Co panią tu sprowadza?

Blondynka wzdycha ze śmiechem i odgarnia włosy za ucho, unosząc wstydliwie ramię.

– Nie wiem. Słyszałam dużo dobrego o tym kursie.

– Och, profesorze Maximusie... – intonuje falsetem któryś ze studentów i przez salę przechodzi fala śmiechu.

Złociste kąciki ust wykładowcy nieznacznie się unoszą. Bez wątpienia sama jego obecność byłaby w stanie wypełnić salę studentkami zafascynowanymi raczej jego wyglądem niż analizą literacką. Szybko się opanowuje, unosi brodę i nasze spojrzenia się spotykają.

Czuję, jak cała się czerwienię.

– To pani pierwsze spotkanie z Dantem. Dlaczego postanowiła pani spędzić następne cztery miesiące, rozkładając *Komedie* na czynniki pierwsze?

Powietrze gęstnieje od nerwowego wyczekiwania. Nie mojego, ale czuję zmianę atmosfery na sali. Po chwili przedłużającej się ciszy profesor unosi brew i przekrzywia głowę, dając mi znak, żebym coś powiedziała. Cokolwiek.

– Wędrówka Dantego po zaświatach niezmiernie mnie fascynuje – mówię, oczywiście wywołując parsknięcia śmiechu na sali.

Profesor wsuwa swobodnie ręce do kieszeni czarnych spodni, które ledwie mieszczą jego uda. Jak na nauczyciela akademickiego jest niesamowicie wysportowany.

– Która część tak panią fascynuje? Wędrówka przez ciemność czy ku światłu?

Mrugam i znowu napotykam jego wzrok. Zastanawiając się nad jego słowami, zaciskam palce na notatniku. Pytanie sprawia wrażenie

osobistego, jakby wiedział o mnie coś – może właśnie *to* – czego nie powinien.

– Dziwne pytanie. – Nie potrafię ukryć obronnego tonu.

Na jego twarzy pojawia się przelotne drgnienie.

– Naprawdę? Zauważyłem, że mroczne motywy często pociągają ludzi swoją brzydotą. Są też tacy, którzy rozkoszują się przejściem na drugą stronę.

Siedzę jak mumia, nie chcąc mu powiedzieć, co naprawdę myślę. Że nie ma bladego pojęcia, o czym mówi. Że w porównaniu do rzeczywistości dywagacje na temat alegorii są jak bajeczka na dobranoc. Przynajmniej tak mi mówiono. Może i wygląda jak bóg, ale jestem prawie pewna, że mam lepsze źródła wiedzy o piekle niż on.

– Wyduś to z siebie, Valari – woła ktoś.

Moje nozdrza się rozszerzają.

Marszcząc brwi, profesor spogląda w kierunku zgarbionego chłopaka w drugim rzędzie.

– Słucham?

– Ona tylko prowadzi rozeznanie, panie profesorze. To Valari – odpowiada chłopak z cwany uśmiechem. – Wie pan, oni wszyscy pójdą prosto do piekła.

Sala wybucha śmiechem. Zalewa mnie fala gorąca, gdy zaczynam obmyślać sposoby, jak mogłabym go tam posłać.

– Wyjdź. – Ostry nakaz profesora przecina hałas.

Chłopak śmieje się skrzepowany.

– Tylko żartowałem.

– Nie interesuje mnie to. Wyjdź.

Winowajca otwiera usta, by zaprotestować, ale profesor wskazuje drzwi.

– Nie będę się więcej powtarzał. Wynocha z moich zajęć.

Strach wraca na salę, wypełniając te kilka nerwowych chwil, gdy chłopak zabiera rzeczy i wychodzi ze zranioną dumą. Profesor rzuca mi intensywne spojrzenie – zbyt intensywne, by było przepraszające – i zastanawiam się, czy ten złośliwy komentarz nie ubódł go bardziej niż mnie.

Gdy tylko drzwi zamykają się z trzaśnięciem, przechodzi płynnie do tematu zajęć. Zagłębia się w życie i czasy Dantego, naświetlając historyczny kontekst jego twórczości. Robię notatki, usiłując się skupić na jego uwagach o tym florenckim wygnańcu, który pod pewnymi względami przypomina samego profesora. Jest w nim dużo więcej, niż mogłoby się zdawać, i nie waha się rozpocząć wędrówki. A przynajmniej tyle odczytuję z jego aury. Kiedy próbuję rozszyfrować jego intensywne spojrzenia, obawiam się, że nie różnię się od innych studentek, które padły ofiarą jego uroku.

Godzinę później, gdy zadaje nam lekturę i wypuszcza z zajęć, czuję niemal ulgę. Czekam, aż rzędy się opróżnią, i dopiero wtedy wstaję. Ściera tablicę, odwrócony plecami do sali. Jestem już przy drzwiach, gdy nagle słyszę, jak mnie woła:

– Panno Valari.

Odwracam się.

– Czy mogę prosić na słówko?

Podchodzę do niego, ściskając rączkę plecaka.

– Słucham, panie profesorze.

– Maximusie – poprawia. – Wszyscy i tak w końcu mówią mi po imieniu.

Opiera się o biurko przy podeście. Z niedopiętej przedniej kieszeni jego miękkiej skórzanej teczki zwisa plastikowy breloczek z Thorem. Ten drobiazg zupełnie nie pasuje do stojącego przede mną mężczyzny, ale domyślałam się, że pewnie nie może uciec przed różnymi porównaniami. Więc po co z nimi walczyć?

– Dobrze – odpowiadam z lekkim uśmiechem.

– Udział w tym seminarium wymaga zatwierdzenia. Proszę wybaczyć, ale nie pamiętam, bym go pani udzielił.

Uśmiech znika mi z ust. Wciąż dobrze pamiętam, jak czarowałam jego asystenta, by podpisał mi zgodę na udział w zajęciach, choć nie spełniałam wymogów.

– Udzielił mi go Matthew. Pana nie było w gabinecie. Zapewnił mnie, że wszystko jest jak trzeba.

Przez chwilę przygląda mi się w zamyśleniu. Z bliska mogę w pełni podziwiać jego oczy, tak jasne i modre, że ich cienie są niemal niedostrzegalne. Nauczyłam się, że cienie prawie zawsze składają się z sekretów. Nie boję się ich, choć nie szukam. Ale nie wiedzieć czemu jestem ciekawa, z czego składają się te należące do niego.

– Prowadzę także niezaawansowane kursy z literatury – mówi, przerywając mi rozmyślenia. – Dlaczego nigdy pani nie widziałem?

– Moim polem specjalizacji jest starożytność.

Kiwa w milczeniu głową, po czym przelotnie taksuje mnie wzrokiem i pośpiesznie go odwraca.

– Przepraszam za to wcześniejsze wywołanie do tablicy. Nie wiedziałem, kim pani jest.

– Dziękuję, że mnie pan bronił. Ale nie potrzebuję specjalnego traktowania. Moja mama nie zadzwoni do dziekana ani nic takiego.

– Nie dlatego to zrobiłem. Nie toleruję nękania na zajęciach. Niewiarygodne, jak często muszę egzekwować tę zasadę.

Wierzę mu i mój szacunek do niego jeszcze bardziej wzrasta.

– Jeszcze raz dziękuję.

Nachyla się i podaje mi zszyty plik kartek.

– Proszę nie zapomnieć sylabusa.

Gdy po niego sięgam, nasze palce się dotykają. Tak przelotnie, że gdyby nie nagłe mrowienie, które rozlewa się po całej mojej ręce, pomyślałabym, że tylko mi się zdawało. To dziwny rodzaj energii, jeszcze nigdy się z takim nie spotkałam – przynajmniej u ludzi.

Otwieram szeroko oczy i cofam się, przyciskając sylabus do piersi. Nasze spojrzenia się spotykają i przez chwilę się boją, że on też to poczuł. Przętykam z trudem ślinę, próbując coś powiedzieć, ale jego niemy wzrok odbiera mi mowę.

– Do zobaczenia w środę, panno Valari.

ROZDZIAŁ 2

Maximus

– KANE!

Pomimo szumu rozbijających się o brzeg fal, skrzeczenia mew i niosącej się tego popołudnia po Venice Beach głośnej muzyki rockowej przez otwartą siłownię Muscle Beach Gym dociera do mnie wołanie mojego najlepszego przyjaciela. Podnoszę wzrok znad maszyny, na której ćwiczyłem przez ostatnie pięć minut, ściągając brwi, gdy Jesse macha pogodnie do stałych bywalców okupujących worek bokserski.

– Panie North! – wołam do niego. – Spóźnił się pan.

– I co w związku z tym? – pyta przeciągle ze złośliwym uśmieszkiem, wykręcając wózkem, który jest praktycznie jego przedłużeniem. Przynajmniej dla większości znajomych. Ale nie dla mnie, człowieka, który pamięta go bez wózka.

Człowieka, przez którego na nim wylądował.

Z tego powodu i miliona innych jest mi raczej bratem niż przyjacielem i wiem, że ja jemu też.

– Znowu bujasz w obłokach? – Gwałtownie wyhamowuje.

– Może. – Odpowiadam, a przed oczami staje mi jak żywy obraz pewnej brunetki. Gdy tylko dotknąłem Kary Valari, moją surową samokontrolę opanowała feeria barw.

Jedno muśnięcie palców. Jedna wymiana energii. Jeden dreszcz. Tyle wystarczyło, by przebić się przez moje bariery i zafundować mi wielogodzinną obsesję na punkcie naszej krótkiej rozmowy. Tak, do diabła, to już dwudziesta czwarta godzina.

Na pewno nie puszczę farby przed Jessem. Nie przyznam się do tego nawet przed samym sobą. Ta dziewczyna to zakazany owoc. Jestem młody jak na wykładowcę University of Alameda, ale wciąż nim jestem. Jej profesorem. I abstrahując od jej wieku, nazywa się Valari. Dorastała pośród jedwabnych pościeli, marmurowych podłóg i osobistej służby.

Moje dzieciństwo to spanie na sofie, kuchenne linoleum i makaron z serem z pudełka, który czekał ciepły na mamę, gdy wracała z dwunastogodzinnego dyżuru w szpitalu. Czyny w Los Angeles nie są niskie, ale mama zawsze nalegała, żebyśmy zostali w mieście. Powtarzała, że to najbezpieczniejszy wybór, czego nigdy nie rozumiałem. Co takiego nam groziło? Czyż to nie ja byłem potworem, którego trzeba było trzymać z dala od innych?

– Co powiesz o tej? – Jesse kiwa głową w kierunku odkrytych trybun w pobliżu siłowni. Choć są stałym elementem krajobrazu z uwagi na odbywające się tu często zawody w podnoszeniu ciężarów, przez większość dni okupują je tylko ciekawscy turyści i napalone autochtonki. Jesse odrzuca do tyłu głowę, bez skrępowania popisując się przed nimi swoimi gęstymi czarnymi falami. Nie spuszcza wzroku z dwóch piersiastych rudzielców w czwartym rzędzie. „Piersiaste” to duże niedopowiedzenie, ale w takich kobietach gustuje i nie mnie oceniać jego grzeszne przyjemności.

– Nie jestem zainteresowany.

– Na pewno? – dopytuje. – Bo od twojego ostatniego razu minęło chyba z dziesięć lat. – Wskazuje wyciąg, który przed chwilą zwolniłem. Jego

poziomy drążek, normalnie zakrzywiony tylko na końcach, teraz przypomina olbrzymią podkowę.

– Cholera.

– Nie żebym narzekał. Tamte słodkie truskaweczki nie patrzą już na nikogo innego. – Mruży oczy, przyglądając mi się badawczo. – Ale jeśli nasz lokalny Samson musi oczyścić umysł...

Przerywam mu, przy okazji nadwyrężając sobie kark.

– Jeśli nazwiesz mnie tak jeszcze raz, powiem im, że śpiewasz pod prysznicem piosenki Nickelback.

Przenosi uwagę z powrotem na trybuny.

– Przy odrobinie szczęścia ta nimfa z prawej wkrótce sama się o tym dowie.

– Ktoś jest dziś graczem.

– A ktoś unika tematu. – Walcząc z popołudniowym słońcem, próbuje przyszpilić mnie wzrokiem. – Ktoś, kto od dawna nie wygiął stalowego drążka, jakby to był wycior do fajki.

Od dawna, czyli od lat. Kilkunastu. Które przeżyłem zadowolony. Usatysfakcjonowany. A nawet... szczęśliwy.

Ale nigdy wyciszony. Już się z tym pogodziłem. Ten jeden element układanki nigdy mi na to nie pozwoli. Wy tłumaczenie, dlaczego jestem tak... inny. Bo jestem. Nie bez powodu trzymam się kurczowo świata pergaminów, książek i przewidywalności, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Stabilizacja oznacza kontrolę. A kontrola powstrzymuje mnie przed zrobieniem tego, co właśnie zrobiłem z tym wyciągiem.

Gdyby ten drążek był ludzką kończyną... Na przykład Jessego...

Tłumię dreszcz. Jak to się do diabła stało, że straciłem kontrolę – tak szybko, tak drastycznie?

Odpycham wspomnienia, wracając spojrzeniem do drążka, który wygląda jak nieudane rękodzieło.

– Zmęczenie materiału – mruczę pod nosem, skutecznie omijając temat mojej rozpraszaającej studentki. – Pięćdziesiąt metrów od Pacyfiku... Gotowy przepis na korozję. Nic dziwnego, że nie czułem wysiłku.

– Ty nigdy go nie czujesz – utyskuje Jesse, ale ironiczny uśmiezek wraca na jego twarz już po paru sekundach, gdy dzisiejsza wersja rudzielca z jego marzeń kroczy w naszą stronę.

– Zdaje się, że przyszyliśmy w idealnym momencie – mówi. Piersiasta seksbomba i jej przyjaciółka wyglądają na zadowolone z siebie tak samo jak z nas. W swoich zwiewnych sukienkach i markowych okularach przeciwsłonecznych na co dzień są raczej zwierzyną niż myśliwymi, ale chyba podoba im się ta zamiana ról. I to bardzo.

Otwarcie ignoruję ich próby flirtowania. Nie mogę sobie pozwolić, by kolejny raz utracić kontrolę. Gdy ją wyłączam, dzieją się złe rzeczy, czego dwa jaskrawe dowody mam przed sobą: wygięty w podkowę drążek na wyciągu i wózek pod moim najlepszym przyjacielem.

Jesse posyła im powitalny uśmiech, gdy opierają się o jasnoniebieską barierkę otaczającą siłownię.

– W waszym przypadku każdy moment jest idealny.

Tym gładkim jak atlas tekstem ewidentnie kupuje rudzielca.

Dziewczyna oblizuje wargi, jakby osiadła na nich słodycz jego słów.

– Uuu, jaki wygadany. Musisz być czyimś agentem albo poetą.

– Tak się składa, że jestem naukowcem. W przeciwieństwie do Yeatsa czy Hughesa mogę opowiedzieć wam wszystko o supernowej Betelgezy, strefie subdukcji Cascadia czy wybrzuszeniu galaktycznym.

Kątem oka rzucam mu pogardliwe spojrzenie.

– Wybrzuszenie? Pierwsze słyszę.

Nie pozostaje mi dłużny:

– Co nie znaczy, że coś takiego nie istnieje, do cholery.

Rudzielec unosi okulary w brokatowych oprawkach i zsuwa je na głowę.

– Kupiłeś mnie już tą Betelgezą, przystojniaku. To... gdzie się wybieracie po treningu, chłopcy? – pyta.

– I czy macie ochotę na towarzystwo? – dodaje jej koleżanka.

Kręgosłup mi sztywnieje, ale ukrywam to, ścierając z karku nieistniejący pot. Choć nowa znajoma Jessego i jej przyjaciółka są miłe, nie mam najmniejszej ochoty zabawiać ich przez kilka godzin tylko po to, by na koniec ze skrępowaniem odmówić nocnej wizyty u jednej z nich.

Nie piętnuję Jessego za jego swobodne podejście do seksu, po prostu go nie podzielam. Co dziwne, jakoś przez to nie cierpię. Na takiej godowej karuzeli tylko zakręciłoby mi się w głowie. Zdobywanie kobiety jest dużo bardziej pociągające. Odkrywanie jej sekretów. I skarbów.

Do diabła, może Jesse ma rację. Może rzeczywiście jestem z innej planety. Albo przynajmniej z innej epoki.

– Oj – cedzę z uśmiechem przez zaciśnięte zęby z nadzieją, że przypomina to bardziej skruchę niż zatwardzenie. – Strasznie mi przykro, ale za parę godzin musimy gdzieś być. Zamknięta impreza. W śródmieściu.

Nawet się przy tym nie jąkam, bo to prawda. Dziś jest wielki wieczór Sarah i Reg, które są dla mnie jak rodzina. Nie może nas tam zabraknąć. Przygotowuję się w duchu na rozczarowanie Jessego, ale na jego twarzy nie pojawia się żaden grymas.

– A tak. – Posyła im jeszcze jaśniejszą wersję swojego elektryzującego uśmiechu. – Wieczór książkowo-filmowy z Melorą Hall w Recto Verso.

Obie dziewczyny patrzą na niego tak, jakby chciały zedrzeć z niego ubranie, i momentalnie mam ochotę go zabić.

– Idziecie na tę imprezę z Melorą Hall? – dopytuje wielbicielka Jessego.

– Serio? – piszczy jej koleżaneczka.

– I to w Recto Verso. Uwielbiam ten lokal!

– Prawda? Jest taki uroczy!

Podczas gdy one wymieniają okrzyki zachwytu, my wymieniamy znaczące spojrzenia.

„Uroczy?” – odczytuję z ruchu warg Jessego.

„Że co, kurwa?” – odpowiadam w ten sam sposób, robiąc wielkie oczy.

Przynajmniej w tym się zgadzamy. Obaj jesteśmy dumni ze wszystkiego, co nasze przyjaciółki księgarki stworzyły na skrzyżowaniu Spring i Piątej, i z uznania, jakim cieszą się od trzydziestu lat, i słowo „uroczy” raczej tu nie pasuje. Wytwórnia filmowa wybrała Recto Verso, żeby dzięki intelektualnej atmosferze modnej księgarni zaskarbić sobie względy literackich i filmowych snobów.

– To... mamy do was prośbę, drogie panie. – Jesse zawiesza głos dla efektu. – Raczej nie będą chcieli wpisać na listę gości Wenus i Afrodyty, więc...

– Jestem Misty! – woła pierwsza.

– A ja Kristy! – dodaje druga.

– Jakżeby inaczej – mruczę pod nosem, by słyszał to tylko mój przyjaciel.

– Idealnie – odpowiada gładko. Z kieszeni dresów zdążył już wyjąć telefon i teraz podaje go Misty. – Dla pewności wpiszcie mi się do kontaktów, z nazwiskami i numerami telefonów. Na wypadek gdybym musiał do was napisać w sprawie imprezy albo coś.

– Albo coś – powtarzam nieco głośniejszym głosem, na dokładkę parskając śmiechem.

– A tak przy okazji – rzuca Jesse, gdy dziewczęta wpisują się do jego kontaktów – jestem Jesse, a to Maximus.

– Och, znam Maximusa. – Kristy trzepocze do mnie rzęsami. – Trzy lata temu skończyłam University of Alameda. Twój kurs literatury francuskiej był wart każdej porannej pobudki.

Odchrząkuję i znowu się uśmiecham przez zaciśnięte zęby.

– Cóż... cieszę się, że dobrze wykorzystałaś czas spędzony na naszej uczelni.

– A ja jestem pewny, że wszyscy dobrze wykorzystamy dzisiejszą imprezę – wtrąca zgrabnie Jesse.

Posyłam mu wdzięczne spojrzenie. Byłem zmuszony zacząć prowadzić na wpół pustelniczy tryb życia. Z tego samego powodu z niego zrobił się prawdziwy lew salonowy.

– Powiedzmy o wpół do ósmej? – dodaje. – Impreza zaczyna się o siódmej, ale kto by przychodził na czas?

– Zatem o wpół do ósmej. – Misty uśmiecha się do niego promiennie. – A teraz musimy iść do domu zrobić się na bóstwo.

– Ooo tak. – Kristy kiwa głową niczym kotek na sprężynce z samochodowej deski rozdzielczej. – Koniecznie. – Mruga do mnie. – Od stóp do głów.



Trzy godziny później uśmiechnięta od ucha do ucha Kristy prezentuje się w dużo bardziej skąpym wdzianku. Razem z Misty przedzierają się przez tłum w Recto Verso. Jesse i ja zdążyliśmy już zaklepać kąt w głębi księgarni, który Sarah i Reg zamieniły w zaprawiony atmosferą Los

Angeles ołtarzyk swojego kraju ojczystego. Przed marmurowym kominkiem, w którym nigdy nie płonie ogień, stoi kilka niepasujących do siebie kozetek i wysoki regał zastawiony brytyjskimi bibelotami i efekciarskimi drobiazgami rodem z Hollywood.

Zajmujemy z Jessem miejsca pod kamiennymi kolumnkami kominka, skąd obserwujemy korowód ludzi sunących na drugi koniec księgarni. Inni goście stoją zbici w grupki w kąciach czytelniczych, wokół rzeźb rodem z książek i tuneli z książkowych „cegieł” prowadzących do miejsca, w którym Melora Hall pozuje do zdjęć. Skórzane grzbiety powieści z działu kolekcjonerskiego stanowią idealne wyszukane tło dla tej uroczej, czarującej pisarki o wielkich zielonych oczach i cerze barwy mokki, która ze wszystkimi serdecznie się wita.

– Cześć! – woła do nas Misty, której ewidentnie brakuje tchu. I dobrze, bo nie powinna robić dziś zbyt głębokich wdechów. Podobnie jak Kristy wygląda, jakby z trudem wbiła się w swoją czarną sukienkę koktajlową.

– O, cześć. – Powitanie Jessego jest zaprawione nutą zaskoczenia, zapewne z powodu soczystego buziaka w usta, który właśnie od niej dostał. – Wyglądasz bosko.

– Ach, dziękuję. – Misty chichocze, ale zauważywszy błysk flesza, milknie i skupia uwagę na celebrytce po drugiej stronie sali. – O Jezu! – Chwyta Jessego za rękę i wykręca ją we wszystkie strony świata. – Melora Hall naprawdę tu jest!

Jesse się śmieje, a ja mu wtóruję. Choć odliczam sekundy do odhaczenia imprezy i wymknięcia się do biura Sarah na resztę wieczoru, wiszące w powietrzu podekscytowanie jest odrobinę zaraźliwe.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z tłumu wyłania się nasza przyjaciółka.

– Nie widziałaś jeszcze reszty gości – mówi z wyraźnym londyńskim akcentem.

Jej głos wystarcza, by ukoić moje nerwy. Tego wieczoru Sarah – kobieta, która od niepamiętnych czasów prowadzi moją ulubioną księgarnię – postawiła na pastelworóżowy sweterek, szare trykoty i opalizujące martensy. W jej siwych włosach biegnie z przodu pojedyncze ciemnoróżowe pasemko. Jest jedyną kobietą na świecie, która jednocześnie roztacza aurę brytyjskiej belferki i byłej punkówki.

– Misty, Kristy, mam przyjemność przedstawić wam panią Sarah Reitz-Nikian – mówi Jesse. – Jest połową zajebistej pary właścicielek tej księgarni.

Kristy się uśmiecha.

– Miło panią poznać.

– Mnie również, moja droga – odpowiada Sarah.

Ale Misty nie idzie w ślady przyjaciółki. Z zaintrygowaniem patrzymy, jak jej szczęka niemal uderza o podłogę.

– P-p-przepraszam – wykrztusza wreszcie. – Wy-wybaczcie. Ale kurczę, nie żartowaliście z tą resztą gości!

– Co? – Kristy nachyla się do niej, wykorzystując okazję, by przesunąć ręką po moim brzuchu. – Co się stało, skarbie?

– Nie *co* – odpowiada Misty – tylko *kto*. O rany, to chyba naprawdę ona.

– Kto? – Kristy naciska mi na żebra, udając, że potrzebuje oparcia, i staje na palcach w swoich szpilkach. – Gdzie?

– Tam!

– Gdzie? A, już widzę. O rany!

Z czystej ciekawości podążam wzrokiem za ich rozgorączkowanymi spojrzeniami do działu tak dobrze mi znanej starożytności.

Od razu ją rozpoznaję, bo jej obraz od dwudziestu czterech godzin nieprzerwanie nawiedza moją wyobraźnię. Jej słodka twarz. Jej drobne ciało, którego nie powinienem taksować wzrokiem, tak jak wtedy, gdy zostaliśmy sami w sali wykładowej.

– Nie wierzę. – Kristy wstrzymuje oddech. – To Kara Valari. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz pokazała się publicznie.

Biorę głęboki wdech przez nos, szukając sposobu, by odwrócić ich uwagę, która powinna być skierowana na gwiazdkę wieczoru, a nie na samotną piękność należącą do jednej z najbardziej skandalizujących hollywoodzkich dynastii. Sądząc po jej zwyczajnym stroju, panna Valari nie przyszła tu dla rozgłosu.

– Jak sądzicie, co tu robi? – pyta zafascynowana Misty.

Sarah krzyżuje ręce na piersi i ogląda się przez ramię.

– Jej siostra, Kell, przyjaźni się z wieloma dzisiejszymi gośćmi, w szczególności z panną Hall. Też musi się gdzieś tu kręcić.

Na tę wieść Kristy prawie dostaje zawału. Odrywa się ode mnie i na powrót przykleja do Misty. Jak jeden mąż wyciągają szyje, próbując wyłowić z tłumu drugą z panien Valari.

Do diabła.

Taki zwrot akcji to idealna okazja do ucieczki, ten pomysł jednak kompletnie wywietrzył mi z głowy. Nie wchodzi w grę, gdy na horyzoncie jest Kara Valari.

Ściskam serdecznie Sarah, gratulując jej frekwencji, po czym daję Jessemu znak, że zaraz wracam. Co w tej sytuacji może, ale nie musi być prawdą.

Wykorzystując swoje gabaryty, toruję sobie drogę przez tłum, dopóki nie dzieli mnie od niej tylko kilka osób. Z przygryzioną wargą i ściągniętymi brwiami wpatruje się w najwyższą półkę regału.

Nie zwracając uwagi na tłoczących się wokół ludzi, wspina się na palce i wyciąga rękę, ledwie zahaczając palcami o grzbiet książki, którą chce zdjąć z półki.

Lawiruję między ostatnimi gośćmi i staję tuż przy niej. Ale gdy zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem, jest już za późno.

Kara

CZUJĄC MUŚNIĘCIE PALCÓW NA SKÓRZE, cofam gwałtownie rękę. Pierwsze ukłucie lęku przeradza się w coś jeszcze bardziej niepokojącego, gdy uświadamiam sobie, że obok mnie stoi profesor Kane – to znaczy Maximus.

Jego uprzejmemu gestowi nie towarzyszy sympatyczny uśmiech. Zdawałoby się, że on też poczuł ten przepływ energii między nami. Ale to niemożliwe. Normalni ludzie nie odczuwają tego co ja – tyle że wyraz jego twarzy, na której malują się oszołomienie i fascynacja, dokładnie odwzorowuje moje doznania.

Zanim poda mi książkę, patrzy na nią, jakby mu czymś zawiniła. Biorę ją od niego, starannie unikając jego dotyku.

– Dzięki.

Przez chwilę się nie odzywa, wwiercając we mnie spojrzenie swoich błękitnych oczu, jakbym była zagadką, której nie potrafi rozwikłać. Ścisk w księgarni też nie pomaga, wymuszając krępującą bliskość. Co gorsza, nagle dostrzegam szczegóły jego ciała, które wcześniej mi umknęły. Ciemnoniebieskie pierścienie wokół modrych tęczęwek. Umięśnione przedramiona, widoczne dopiero teraz, gdy ma podwinięte rękawy. A przede wszystkim miedziane włosy opadające niesfornymi falami na

ramiona, przydające mu dzikiego, swobodnego wyglądu, tak różnego od postaci profesora w koszuli zapiętej pod szyję, którego wczoraj poznałam.

Szmer rozmów przecina nagle pisk jakiejś podekscytowanej fanki Piper Blue po drugiej stronie sali. Maximus odwraca się na chwilę, po czym skupia wzrok z powrotem na mnie i książce w moim ręku.

– Lektura obowiązkowa?

Kilkakrotnie mrugam, zanim dociera do mnie jego pytanie.

– A. – Chowam pod pachę opasłe tomiszczce w twardej oprawie. – Nie. Po prostu wyglądała interesująco.

Unosi kącik ust.

– Greckie rytuały są interesujące?

– Moja specjalizacja...

– Tak, wiem. Starożytność. Już mi to mówiłaś. – Opiera się łokciem o półkę dedykowaną Cesarstwu Rzymskiemu. – Po prostu wszyscy przyszli tu dla celebrytów, a ty po to, by zamknąć się w swoim małym świecie.

– I to cię zaciekawiło?

Kobaltowe obręcze wokół jego tęczówek zdają się ciemnieć.

– Tak.

Bawię się nerwowo krawędzią okładki, bojąc się, że to zauważy.

– A ty przyszedłeś tu dla celebrytów?

Uśmiecha się szerzej.

– Nie. Przyjaźnię się z właścicielkami. Dorastałem na tej ulicy. Są dla mnie jak rodzina.

– To tak jak Piper dla mnie. Ona i moja siostra od lat są nierozłączne.

– Miło, że przyszłaś ją wesprzeć.

Przewracam oczami, nie udaje mi się tego ukryć.

Wybuchają śmiechem.

– O co chodzi?

– Piper ma wystarczająco dużo fanek. Nie potrzebuje wsparcia moralnego. Moja siostra się uparła, by przy każdej możliwej okazji wypychać mnie przed obiektywy aparatów. Obiecała, że odwiezie mnie z zajęć do domu, i tak to się skończyło.

– Mały objazd.

Marszczę nos.

– Maleńki.

– Wiesz, zawsze możesz wyjść.

Wzruszam ramionami.

– Lubię książki.

– Właśnie widzę. Jak tam Dante?

Czuję, że się rumienię, choć nie mam pojęcia dlaczego. To przecież proste pytanie.

– Podoba mi się – wykrztuszam wreszcie.

Następne słowa wypowiada ściszym, niemal intymnym głosem.

– Nie musisz tak mówić tylko dlatego, że jestem twoim wykładowcą.

– Nie skłamałabym.

Jego wzrok przenosi się z moich oczu na książkę i chyba zaczyna po mnie wędrować. Biorę nierówny oddech, bo zdaje się, że wpłynęłam na niebezpieczne wody flirtu. Z wykładowcą. Nie żebym to potępiała, ale nie mogę sobie teraz pozwolić na żadne romanse. Zwłaszcza z Maximusem. Te jego piękne oczy, elektryzujący dotyk, miękkie usta...

Uff.

Nagle ktoś mnie popycha i wpadam na jego potężną postać. Błyskawicznie mnie obejmuje, ratując przed upadkiem na stojących obok ludzi.

– O Boże, przepraszam! – rzuca winowajca.

Równie dobrze mógłby stać kilometr dalej, bo słyszę tylko ciężki oddech Maximusa, gdy niemal niezauważalnie przyciska mnie do siebie. Jego dłoń, wielka i ciepła, spoczywa na mojej talii. Jego zapach jest niczym letni deszcz zalewający moje zmysły. A w uchu słyszę jego chrapliwy niski głos.

– Cholera.

To zaledwie szept. Raczej go czuję, niż słyszę, usiłując opanować eksplozję zmysłów wywołaną tak bliskim kontaktem. Moje serce bije jak szalone, jakby reagowało na nowy fantastyczny narkotyk, po którym można przetańczyć całą noc. Opieram się dłonią o jego szeroką pierś i ze wszystkich sił próbuję się opanować. „Uspokój się. Skup się”.

Tyle że to coś więcej niż motyle w brzuchu. To feniks w locie. Ostry pazur pociągu fizycznego, którego teraz już nie można pomylić z niczym innym. Przewód pod napięciem, którego nie chcę puścić, choć niestety muszę, zanim Maximus coś sobie pomyśli.

Staję pewnie na nogach i powoli się cofam, wysuwając się spod jego dotyku. Podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy niemal z żalem. Chcę mu podziękować za refleks, ale słowa zamierają mi na ustach. Nagle moja skóra zaczyna płonąć jak jego oczy. Uzmysławiam sobie, że wulgaryzm, którym rzucił, nie był wymierzony w ofertę, która na mnie wpadła. Szczerze mówiąc, chyba mu się wyrwało.

– Jesteś cała? – pyta chrapliwym głosem, który dosłownie czuję na skórze. I w innych miejscach.

– Tak.

Jestem bardziej niż cała. Jestem cała w euforii. Zaraz chyba zedrę z niego ciuchy.

Powinnam mu podziękować, że uratował mnie przed upadkiem. A potem odejść i podjąć nadludzki wysiłek, by więcej się do niego nie zbliżać.

– Kara. Tu jesteś. No *serio*.

Przez teatralny trajkot mojej siostry cały czar pryska. Maximus przeczesuje włosy drżącymi palcami, gdy ubrana od stóp do głów w Gucciego Kell podchodzi do nas ukradkiem.

– To będzie cud, jeśli paparazzi zdołają zrobić ci choć jedno zdjęcie. Znajdujesz sobie najdziwniejsze kryjówki. Omija cię cała akcja – ciągnie.

Zanim zdążę ich sobie przedstawić, Maximus bąka coś pod nosem i znika w tłumie, tworząc między nami dystans, który już mi się nie podoba. Jestem całkowicie rozdarta. Cichy głos w mojej głowie przypomina mi, że zobaczę go jutro na zajęciach, co nie powinno być aż tak podniecającą perspektywą. Nie po tym, jak kilka sekund fizycznego kontaktu sprawiło, że prawie zemdlałam z rozkoszy.

Na próżno staram się nie śledzić go wzrokiem, gdy znajduje miejsce po drugiej stronie księgarni. Jak najdalej ode mnie. Mądrze. Muszę to sobie powtórzyć jeszcze przynajmniej z tysiąc razy.

Obiecuję sobie w duchu, że nie zmienię swojej miejscówki na tyłach sali wykładowej. To się nie może powtórzyć. Jest zbyt niebezpieczny dla warowni mojej samokontroli.

– Chodź, zrobimy sobie zdj... – Ciemnobrązowe oczy Kell rozszerzają się lekko. – Hej, czujesz to?

Przenoszę wzrok z powrotem na nią.

– Co?

Robi parę płytkich wdechów przez rozszerzone nozdrza.

– Pożądanie i... – Marszczy brwi. – Niepokój?

Oblizuję nerwowo usta.

– To ja. Jestem niespokojna.

– Wiem, jak pachniesz, K-demon. To nie ty.

– Nie nazywaj mnie tak.

Z wdziękiem odrzuca na plecy lśniąca zasłonę swoich czarnych włosów.

– Kara, tylko tobie z nas wszystkich trzeba o tym przypominać.

– Okej, ale jesteśmy w miejscu publicznym. – Nie mogę nawet zatoczyć ręką po sali, nie trącając kogoś.

– A czy nie obrzuca się nas gorszymi wyzwiskami?

Przewracam oczami i wzdycham.

– Niech ci będzie.

– No to... – Wędruje wzrokiem ponad tłumem. – Kim był Pan Napalony? To do ciebie niepodobne, tak kogoś nakręcić.

– Nikim. To mój wykładowca. I to nie tak, jak myślisz.

Zauważa Maximusa i układa swoje piękne czerwone usta w zszokowane „O”.

– Nie żartuj, *on* jest twoim wykładowcą?

– Tak – syczę cicho i odwracam się do niego plecami z nadzieją, że nie zauważy znośniejszej z dwójki mojego rodzeństwa i jedynej siostry, która otwarcie się na niego gapi, pokazując palcem niczym pozbawiony hamulców berbeć.

– Zaraz, ja pierdzielę – wyrzuca z siebie niemal bez tchu. – To ten seksowny profesor literatury, zgadza się? O cholera. Też próbowałam się dostać na jego zajęcia, ale trafiłam do jakiegoś starego pryka, któremu staję przy Whitmanie.

– Kell, profesor Ferguson jest poetą laureatem.

Macha lekceważąco ręką.

– No i co z tego? A wracając do ważniejszych kwestii... – Przygląda mi się badawczo, jakbym nosiła na sobie dowody zbrodni. – Przystawiasz się do niego? Nigdy bym nie pomyślała, że będziesz flirtować dla stopni. To do ciebie zupełnie niepodobne.

Rosnące głęboko w mojej piersi warknięcie tonie w ogólnym hałasie, w przeciwieństwie do jej stukniętych uwag, które bez trudu usłyszałby każdy zainteresowany. A dziś roi się tu od dziennikarzy żądnych nowych pikantnych plotek o rodzinie Valarich.

– Biorąc pod uwagę, że do tej pory miałam z nim tylko jedno zajęcia, odpowiedź brzmi: nie. Nie wspominając o... wiesz czym. – Rysuję dłonią w powietrzu małe kółka i wbijam wzrok w najbliższą półkę z książkami, żałując, że nie mogę się między nimi schować. Może w tej uroczej małej księgarni znajdę zaklęte drzwi prowadzące do innego świata, gdzie moje życie nie jest z góry zaplanowane.

– O czym ty do cholery mówisz? – Zdezorientowana Kell marszczy brwi, ściągając swoją idealną twarz.

– Jestem *przyrzeczona*. Ty zresztą też. Zapomniałaś o tym małym szczególe?

Gdy krzyżuje ręce na piersi i odwraca wzrok, wiem, że nie zapomniała. Z nas dwóch to ona powinna lepiej pamiętać przysięgę, którą jesteśmy związane od narodzin.

– Na razie można robić inne rzeczy – bąka bez większego przekonania.

– Jaki to ma sens? – Pozwalam uczuciom podplłynąć zbyt blisko powierzchni. Za nimi ciągną wszystkie pierwotne popędy. Uprawianie seksu z kim popadnie nie wchodzi w grę. Noszenie nazwiska Valari może mi się nie podobać, ale to nie znaczy, że mogę udawać, że nie należę do rodziny.

Gdy ludzie łamią przysięgę, łamią się serca. Gdy demony łamią przysięgę, na kogoś spada kara.

Kell stuka sobie w ząb pomalowanym na czerwono paznokciem.

– Tak. – Po chwili jej oczy jaśnieją. – Gdy już poznasz, wiesz, swojego oblubieńca i przypieczętujesz umowę, możesz sypiać, z kim tylko będziesz chciała. Musisz tylko zrobić ten głupi dyplom i wreszcie się z tym załatwić.

– A czemu ty się z tym nie załatwisz? – pytam wyzywająco.

Prycha.

– Załatwię się. W końcu. Czekam tylko na odpowiedni moment, żeby się ustatkować. Nie jestem starą panną jak ty.

– Jesteś tylko rok młodsza ode mnie.

Wzrusza ramionami, niejako przyznając mi rację.

– Nie cierpię, kiedy ludzie mówią mi, co mam robić. Może za parę lat mi przejdzie.

Mało prawdopodobne.

Szczerze mówiąc, jej obawy odzwierciedlają moje. Nie mamy pojęcia, z kim zostaniemy połączone, gdy nadejdzie pora, choć każdy pełnokrwisty demon, jakiego poznałam, wpisywał się w ten sam typ: pewny siebie, charyzmatyczny i groźny. To okrutni utalentowani kłamcy, przysłani, by wzmocnić nasz ród osłabiony przez moich ludzkich przodków.

Przez większość dorosłego życia staram się o tym nie myśleć.

– Chodź. – Kell lekko mnie trąca i po jej minie widzę, że myślała o tym samym. – Zwijajmy się stąd.

ROZDZIAŁ 4

Maximus

– CHOLERA.

To nie pierwsze przekleństwo, jakie wyrywa mi się tego wieczora. Ani nawet nie pierwsze od wymknięcia się przez okno w biurze Sarah na schody pożarowe, którymi wszedłem na dach. I na pewno nie ostatnie.

„Gdzie ja miałem głowę, do diabła?”

To pytanie też pewnie jeszcze nie raz sobie powtórzę. Nie jestem w stanie na nie odpowiedzieć, bo głowa nie miała nic do gadania w obliczu siły, która pchnęła mnie do dziewczyny przez zatłoczoną księgarnię – i to pomimo całodniowych prób wybicia jej sobie z tejże głowy.

Powtarzałem sobie w myślach tylko jedno.

„Studentka. Ręce precz”.

Ale teraz to w niczym nie pomaga. Wewnętrzny zamęt jaki był, taki jest.

Gdy trzymałem ją dziś w objęciach, czułem się jednak jak w niebie.

Od dawna nie było mi tak dobrze.

Wyrzucając z siebie kolejne przekleństwa, sadzam tyłek na betonowej barierce otaczającej ogromny wiatrak zbiorczej klimatyzacji budynku. Mruczając gardłowo, odgarniam włosy z twarzy.

– Weź się w garść, Kane.

Moje słowa momentalnie giną w nocnym hałasie. Nawet we wtorkowy wieczór centrum Los Angeles dopiero budzi się do życia. Ludzie się śmieją. Z restauracji dobiega gwar. Samochody trąbią. W pobliskim barze rozgrzewa się jakiś cover band, grając *Don't Stand So Close To Me*.

Jakżeby inaczej.

A gdy już myślę, że gorzej być nie może, drzwi klatki schodowej się otwierają i na dach pada smuga fluorescencyjnego światła, z którego wyłania się drobna postać z długimi dreadami.

– Tu jesteś. – Reg wychodzi na dach i siada obok mnie. – Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Skubie zwiewne czarne spodnie, do włożenia których zapewne zmusiła ją Sarah. Jej grymas zdradza, że wyskubie je do ostatniej niteczki. Dziergany top i krótka kurteczka nie mają dużo łatwiejszego życia ze swoją ruchliwą właścicielką. Przez parę sekund przyglądam się jej zabiegom. Wygląda zupełnie inaczej niż w swoich nieodłącznych bojówkach i „książkowych” koszulkach, w których widzę ją niezmiennie, odkąd dziesięć lat temu po raz pierwszy przestąpiłem próg jej księgarni.

Byłem wtedy samotnym, przerażonym dzieciakiem. Reg właśnie uzupełniała asortyment w dziale bestsellerów i powiedziała, że jeśli jej pomogę, będę mógł sobie wziąć dowolną książkę. Tak narodziła się nasza przyjaźń.

Pozwalam jej się powiercić jeszcze przez chwilę i wreszcie przerywam ciszę.

– Co tu robisz? Nie powinnaś zabawiać gości?

W odpowiedzi wydaje z siebie pomruk frustracji.

– Widzę, że nie ja jeden mam dość tłumów – szepczę.

– Ty to powiedziałaś. – Parska ironicznym śmiechem. – Najzabawniejsze, że jedyną normalną osobą jest tam chyba Melora Hall.

Jestem zaskoczony, ale wiem, jak mylne potrafią być stereotypy.

– Może najwięksi mają najmniej do udowodnienia.

Odrywa spojrzenie od gwiaździstego nieba i przenosi je na mnie.

– Albo najwięcej.

Sztywnieję. Skupia na mnie wzrok. Wszystko rozumie. Wiem, że rozumie. Wie, że nadal codziennie o tym myślę. Górowanie nad wszystkimi w sali – w niejednym tego słowa znaczeniu – bynajmniej nie pozwala mi robić tego, co chcę. Wiecznie muszę udowadniać światu, że jestem ponad moje instynkty. I wiecznie się boję, że rozniosę w pył przysłowiową porcelanę.

Albo ściany.

I ludzi.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego tu przyszedłam?

Znowu skupia na mnie wzrok i mam ochotę zacząć się wiercić jak ona.

– Jeśli powiem, że nie, i tak mnie oświecisz.

Uśmiecha się półgębkiem i trąca mnie ramieniem.

– Jestem tu, bo ty tu jesteś.

Wzruszam ramionami, siląc się na nonszalancję.

– Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszystko w porządku, naprawdę.

Mam nikłą nadzieję, że to kupi, bo w środku jestem rozbity na drobne kawałeczki. Rozbity i nakręcony, ale nawet nie umiałbym tego wyjaśnić tej kochanej, bezwarunkowo lojalnej kobietce.

– Nieprawda – odparowuje. – Mam oczy. Widziałam cię z tą panną Valari.

Mówi to, jakby wiedziała, że od dobrej godziny kołaczą mi się po głowie myśli o Karze. I oto moje libido poddaje się kolejnemu tsunami

wspomnień. Ścisk w zatłoczonej sali. Bliskość delikatnej skóry w zwiewnej letniej sukience. Jej zapach – soczysta mieszanka róży, cynamonu i dymu. Ogień w jej dużych brązowych oczach, który ogarnął mnie, jakbyśmy byli jedynymi nietkniętymi drzewami w płonącym lesie.

Ale zabawa ogniem zazwyczaj kończy się poparzeniem.

Pośpiesznie odwracam się od Reg.

– To nie to, co myślisz.

– Jakież ostatnie słowa?

– Na sali panował ścisk i hałas. – Wpycham ręce do kieszeni, co wygląda dość niezgrabnie, gdy siedzę. – Coś ci się zdawało, Regino.

Wciąga powietrze tak gwałtownie, że aż świszczy jej w płucach.

– Czy ty mnie właśnie nazwałeś „Reginą”? Nawet wielki Maximus może kiedyś znaleźć w kawie mydło w płynie zamiast śmietanki.

Próbuję się nie roześmiać. Reg zazwyczaj bierze pierwszą zmianę przy barku kawowym, więc wiem, że mogłaby mi tak zaprawić latte, po którą zawsze do nich wpadam w drodze na kampus.

– Z całym szacunkiem, pani Nikian, podtrzymuję, że niczego pani nie widziała.

Unosi ciemną brew.

– Tak jak nie widziałam, jak zwędziłeś ciastka z wystawy?

Nie wytrzymuję i wybucham śmiechem.

– Coś w tym rodzaju.

Wyraz jej twarzy łagodnieje.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś tak na kogoś patrzył.

Zamykam oczy, ukrywając prawdę przed jej przenikliwym wzrokiem.

– Po raz ostatni powtarzam, że coś ci się zda...

– Zanim staniesz na rzesach, żeby mnie okłamać, pamiętaj, że znam cię prawie całe życie. A teraz gadaj, czemu flirtujesz z jedną z tych Valari?

Słyszając krytyczny ton, z jakim wymawia to nazwisko, zaciskam szczęki.

– Czy w jej nazwisku jest coś, co ci się nie podoba?

Krzywi się lekko.

– Nazwijmy to ciekawością. To wszystko. – Wyciąga dłoń i czule ujmuję mój policzek. – Naturalnie uważam, że nie jest cię warta.

Jej usta unoszą się w półuśmiechu i grzmot między moimi zębami zamienia się w ciepłe kluski.

Cholera.

– Wiesz, naprawdę zasługujesz na lepszą. – Z tymi słowami jej uśmiech znika, ustępując pola fali nowych emocji. Wydaje mi się, że wyczuwam w niej jakąś gwałtowność. A nawet agresję. – Dużo lepszą.

Słyszając to ostatnie, znowu się spinam.

– Nie to mnie martwi, Reg.

– A co?

Myślami wracam do ślicznej dziewczyny na dole, której nie mam prawa dotykać, nawet przypadkowo. W kontaktach z ludźmi już dawno przestałem sobie ufać, choć jestem ich głodny... Bardzo.

– To miła dziewczyna. I jak sądzę, lepsza, niż się wszystkim wydaje. – Krzywię się i przerywam, żeby nie powiedzieć za dużo. – Po prostu nie mogę się teraz w nic wplątywać – kończę tonem pokonanego.

– Chodzi o Jessego, prawda? – Choć w jej głosie znowu znać irytację, wyczuwam w nim coś jeszcze. Jakąs wyzywającą nutę.

Odpowiada jej cisza. Wpatruję się ponad dachami w rozciągający się na horyzoncie mroczny przestwór oceanu. Ta płynna przestrzeń zazwyczaj

napawa mnie dziwnym poczuciem pewności, przynosi ukojenie, ale teraz symbolizuje wszystko, czego nie wiem o świecie. I o sobie.

– Po tych wszystkich latach wciąż sobie nie wybaczyłeś – mówi cicho Reg.

Zbieram się na odwagę, by na nią spojrzeć, gotów jej wyznać, że nigdy tego nie zrobię. Ale milcząca zaciekłość i oddanie w jej oczach powstrzymują mnie od wyrzucenia z siebie tego wszystkiego.

Przeze mnie mój najlepszy przyjaciel jest sparaliżowany. O mało go nie zabiłem. Nie ma dla mnie przebaczenia.

Biorę miarowy oddech. I jeszcze jeden. Walczę z potokiem wyrazów, który chce się wylać z moich ust, próbuję go zastąpić czymś, z czym Reg nie będzie się spierała. Choć na tyle zasługuje, ale nigdy nie byłem w stanie ubrać tego w słowa.

Ona i Sarah nigdy mnie nie zawiodły. Odkąd zawędrowałem do ich księgarni, zastanawiając się, czy po tym, co zrobiłem Jessemu, ktokolwiek potraktuje mnie jeszcze choć raz jak normalnego człowieka.

Nieważne, że zrobiłem to niechcący. Że tylko się bawiliśmy z werwą typową dla ośmiolatków. Stało się, a ja już nigdy nie będę taki sam.

– Wybacz i zapomnij – mówię wreszcie. – Ale co, jeśli nie można zapomnieć? – Masuję się do bólu po czole palcami. – Nigdy nie zdołam zapomnieć o tym, co się stało. Nawet gdybym się z nim nie widywał, nie byłbym w stanie wymazać tego dnia z pamięci.

Ten dzień.

Który wciąż nawiedza mnie w koszmarach.

Jego każdy najmniejszy szczegół.

Pszczółki bzyzące nad placem zabaw. Ciepły wiatr niosący pierwsze zapachy lata. Upojny smak wolności. Szkoła się skończyła i mieliśmy z Jessesem wielkie plany.

Plany, które przekreśliłem. Na dobre. W jednej chwili. Tamtego dnia.

Potem przyszły kolejne dni, równie koszmarne. Mętlik w głowie. Poczucie winy. Strach. Nikt nie chciał mi powiedzieć, co będzie z moim przyjacielem. Dopiero dużo później się dowiedziałem, że nie ma żadnej nadziei dla jego uszkodzonego rdzenia. Że do końca życia będzie na wózku. Że wychodząc ze szpitala, zacznie głupio dowcipkować, żebym nie zobaczył jego przelitych łez i rozpacz w oczach...

– To był wypadek, Max. Miałeś osiem lat!

– To nie ma znaczenia – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, że ma zna...

– To. Nie. Ma. Znaczenia. – Odwracam się od niej i pochylam, po czym wbijam z impetem pięść w gzyms. Od razu żałuję, że zrobiłem w betonie szeroką dziurę. Poprzysiągłem sobie nigdy nie tracić kontroli, a teraz czuję pod pięścią proch. – I niczego nie zmienia.

Reg wzdycha sfrustrowana.

– Wszyscy popełniają błędy, Maximusie. Życie jest ich pełne. Każdy z nas zrobił coś, co chciałby cofnąć.

– To coś więcej.

Coś więcej niż zwykły błąd czy żenujący moment, który spędzałby mi sen z powiek. Żadne słowa pociechy czy współczujące spojrzenia nie zdławią mojej nienawiści do samego siebie za to, co mu zrobiłem.

– Na pewno? A może tak bardzo chcesz być męczennikiem, że nawet nie próbujesz pogodzić się z czymś, co Jesse już dawno zaakceptował?

– Skąd wiesz, że zaakceptował?

Patrzy na mnie znacząco, gasząc mnie bez słowa. Oboje wiemy, że Jesse kocha życie. To był jego świadomy wybór, bo za żadne skarby świata nie chciał wejść w rolę ofiary. I przez te wszystkie lata bardziej niż ktokolwiek inny naciskał na mnie, bym i ja się z tym pogodził.

Ale gdy o tym myślę, uparta część mnie wciąż stawia opór. Nie wiedzieć czemu wydaje mi się, że jeśli o tym zapomnę, to może się znowu stać. A z tym nie mógłbym żyć.

Oboje milczymy, Reg odchyła głowę i zamyka oczy. Paciorki w jej warkoczach odbijają światła ulicy, mrugając na jej głowie niczym fioletowe i niebieskie gwiazdy.

Chcąc oderwać myśli od rosnącego w piersi napięcia, trącam ją żartobliwie w ramię.

– Kiedy Sarah się zorientuje, że zostawiliśmy ją samą i zaszyliśmy się tutaj, wpadnie w szal.

Reg się uśmiecha.

– Racja. I jeśli szybko nie wrócisz, chyba będzie musiała użyć łomu, żeby oderwać od Jessego jego małą wielbicielek.

Wstaję i rozciągam sztywne mięśnie.

– To nie będzie konieczne. Ale na wszelki wypadek rzucę okiem na sytuację.

Podaję jej rękę i pomagam się podnieść. Nie puszcza jej od razu, posyłając mi kolejne spojrzenie pełne troski i miłości. Przechodzi mnie dreszcz, bo wyczuwam w nim nutę determinacji.

– A dziewczyna?

– To moja studentka, Reg. Tylko się z nią przywitałem. Skończmy już ten temat, dobrze? – „Błagam, błagam, odpuść”.

– Podoba ci się?

Wydaję z siebie jęk, zastanawiając się poważnie, czy nie dać drapak, ale przed Reg i tą rozmową nie ma ucieczki.

– Jako studentka tak. – Wzdycham ciężko. – Cholera, nie wiem. – Przeczesauję nerwowo włosy, w duchu nakazując sobie milczenie, zanim

dam Reg więcej amunicji.

– To dlatego tu przyszedłeś?

– Nie, ja...

Już mam ją nakarmić głodnym kawałkiem o pragnieniu ucieczki od tłumu, ale czuję, że jest zbyt podejrzliwa, by to kupić. Ściskam jej rękę i puszczam ją. Opada między nami.

– Jestem... inny, Reg – szepczę w końcu. – Oboje to wiemy.

– Nie ma nic złego w byciu innym.

– Jest, jeśli jest się mną.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz. – Kołysze się do tyłu na jednej nodze i rzuca mi ostrzejsze spojrzenie, krzyżując zgrabnie ręce na piersi. – I pewnego dnia ktoś ci to po mistrzowsku udowodni, bez względu na to, czy będziesz gotowy czy nie. Raczej nie ona, ale ktoś na pewno. Więc radzę ci, Maximusie Kane: przygotuj się na to.

Zmuszam zaciśnięte usta do lekkiego uśmiechu, by zamaskować strach, który skręca mi wnętrzności. Strach, że może mieć rację. Pomimo moich wysiłków komuś może się udać za bardzo do mnie zbliżyć. I boję się, że na to pozwolę.

Bo teraz te lęki mają twarz. Piękną twarz, o której nie sposób zapomnieć.

I która należy do Kary Valari.

Kara

W DOLINIE MIĘDZY NASZYM DOMEM a olbrzymim napisem po drugiej stronie wzgórza wisi gęsta poranna mgła. Nawet gdy nie widzę tych wielkich liter, wiem, że tam są, co codziennie mi przypomina, że moim domem jest Hollywood. Rodzina zdecydowała, że kwatera główna będzie się mieścić z dala od królestwa, któremu mamy służyć przez całą wieczność.

Naciągam na ramiona gruby pled, chroniąc się przed chłodem wilgotnego powietrza na pomoście nad wodą. Nawet we wrześniu południowokalifornijskie poranki są za chłodne jak na mój gust.

Drzwi tarasowe za moimi plecami się rozsuwają i już wiem, że mogę się pożegnać ze spokojnym porankiem. Sofa ogrodowa pode mną się ugina, gdy Kell siada na niej ciężko z wysokim kubkiem kawy w dłoni.

– Wcześniej wstałaś – mówię pod lekkim wrażeniem, że w ogóle nie znać po niej wczorajszej imprezy. Włosy ma już wyprostowane, makijaż nienaganny, a strój nowiusieńki, świeżo wyprasowany i idealnie dopasowany. Zupełnie jakby miała z paparazzimi cichą umowę, że da im to, czego chcą, w zamian za to, czego ona chce: za kusicielskie, wyłącznie korzystne zdjęcia.

Przesuwa kciukiem po ekranie telefonu i zaczyna przeglądać aktualności w mediach społecznościowych.

– O ósmej mam zajęcia.

– Specjalnie się na nie zapisałaś?

Wystukuje jakiś komentarz.

– Wstęp do astronomii. Przynajmniej zdążę przed porannymi korkami.

Co prawda, to prawda. Droga z naszego domu w Hollywood Hills na kampus potrafi ciągnąć się w nieskończoność. Wciągam na kolana opasły egzemplarz *Boskiej komedii*.

– Dobra, to zaraz przygotuję się do wyjścia i pojedę z tobą. Po moich ostatnich zajęciach możemy wpaść do dziadzi. Dziś są jego urodziny.

Kell podnosi gwałtownie wzrok z niepokojem malującym się na twarzy.

– Kara, nie nazywaj go tak.

Jeżę się w środku, ale staram się tego nie okazywać. Pielęgnowanie miłości do naszego dziadka zawsze było delikatną sprawą. A ja jestem delikatna dla jego dobra. Jako jedyny człowiek w rodzinie czarnych dusz ma wystarczająco dużo zmartwień. Lepiej, bym nie przysparzała mu kolejnych problemów, budząc podejrzenia, że zależy mi na nim bardziej, niż powinno.

– Możemy wpaść do Gio – poprawiam się, kładąc nacisk na imię, którym mamy się do niego zwracać.

W środku gotuję się ze złości. Dlaczego musi tak być? Zupełnie jakby był obcym zajmującym miejsce w domku gościnnym na terenie rodzinnej posiadłości. Nie zdziwiłabym się, gdyby mama pobierała od niego czynsz.

Kell wbija wzrok z powrotem w telefon, a jej piękną twarz szpeci brzydki grymas.

– Mamie się to nie spodoba. Wstrzymaj się parę dni.

– Przecież nie jadę do niego z tortem i balonami. Chciałam tylko wpaść i złożyć mu życzenia. Dobrze wiesz, że nikt inny tego nie robi. A ty mogłabyś odwrócić uwagę mamy. Na pewno jest zajęta innymi sprawami i nawet nie pamięta, że dziś są jego urodziny. To tylko kolejny dzień z nią w roli głównej.

Kell przewraca oczami i wzdycha cicho.

– Niech ci będzie. Tylko mnie w to nie mieszaj, okej?

Przez następne kilka minut nie odkleja wzorku od telefonu. Dzielimy z Kell dom i los, ale na tym się kończy. Jesteśmy zupełnie inne, tak jak normalne ludzkie rodzeństwo.

Problem w tym, że ja jestem *zbyt* inna. Pieniądze, ciuchy i luksus powinny mnie zadowalać. Nikt nie rozumie, dlaczego postrzegam je jedynie jako udogodnienie, nic więcej. Obeszłabym się bez tego całego bogactwa, ale styl życia napędzany przez nieustannie rosnącą rodzinną fortunę to czek za posłuszeństwo.

Odmowa jego przyjęcia nie wchodzi w grę. Nie ma innej drogi.

Przyciskam książkę do piersi i wstaję. Nie chcę burzyć spokoju poranka, więc powstrzymuję się i nie dzielę tymi frustracjami z moją mrocznie oświeconą młodszą siostrą. Jej skazana na piekło światłość to niewiarygodna, jeśli nie smutna ironia losu.

– Daj mi dziesięć minut – mówię wreszcie. – Albo piętnaście.

Nie będę zaprzeczać: poświęcę trochę więcej czasu niż zwykle na zabiegi upiększające przed dzisiejszymi zajęciami. W końcu jestem demonem, nie zombie.



Maximus prawie od godziny na mnie nie spojrzął, choć sam od początku jest w samym centrum mojej uwagi. Zwłaszcza teraz, gdy czyta ostatnie strofy pieśni III głębokim, intensywnym głosem, którego jeszcze u niego nie słyszałam. Szczerze mówiąc, dziś rano wydaje się bardziej intensywny pod każdym względem.

Można by pomyśleć, że się nie wyspał, nie wypił porannej kawy albo po prostu ma kiepski dzień. Ale to, jak odwrócił ode mnie wzrok, gdy wchodziłam do sali, dało mi do myślenia i zaczęłam się zastanawiać, co naprawdę kryje się za jego niewidzialnymi murami.

Z tyłu głowy wciąż mam swoją poranną rozmowę z Kell i naszą planowaną wieczorną wizytę u dziadka, ale mogę się skupić jedynie na ściągniętych brwiach Maximusa i jego gestach – jakby jego palce dyrygowały symfonią czytanych słów. Nawet z tej odległości czuję bijącą od niego pasję, której ledwie wyczuwalna, acz groźna energia rozchodzi się po sali niczym nieustanne wibracje płyt tektonicznych pod naszymi stopami.

– „Co rychlej wszyscy rzekę przebyć skorzy, bo tak ich boska sprawiedliwość bodzie, że zmniejsza lęku, a pragnienie mnoży”^{*}.

Czyta dalej, kończąc strofę z idealną intonacją. Te słowa przeszywają mi serce niczym strzała; serce, które – jak wiem – mam, choć jego pragnienia i cele jakoś nigdy się nie pokrywają.

Maximus zamyka swój egzemplarz i na sali robi się cicho. Studenci wiercą się niespokojnie, bez wątpienia bojąc się pytań, na które nie będą umieli odpowiedzieć. Profesor przechadza się w milczeniu przed pierwszym rzędem, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy chce w ten sposób zbudować jeszcze większe napięcie, czy jest po prostu pogrążony w myślach. W końcu przystaje i odchrząkuje.

– Zatem Dante i Wergiliusz stają u bram piekieł. Charon czeka, by przewieźć potępione dusze na drugą stronę rzeki. Wergiliusz mówi: „Co rychlej wszyscy rzekę przebyć skorzy”. Dlaczego?

Wykręcam palce, aż odpływa z nich krew. Z jednej strony chcę zabrać głos, żeby na mnie spojrzał, ale z drugiej wzdragam się przed zwracaniem na siebie powszechnej uwagi. Poza tym przecież już postanowiłam, że będę siedzieć cicho, bo interakcja z profesorem, nawet z tylnego rzędu, jest groźniejsza niż jego miłość do Dantego. Zdecydowanie za bardzo mnie intryguje. Zupełnie jakby słyszał moje myśli, wreszcie wyławia z tłumu moje spojrzenie. Chyba go szukał, bo zatrzymuje na mnie wzrok. Krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach, a w zakończeniach nerwów czuję mrowienie. Moje zmysły wymykają się spod kontroli.

– Kara?

Po tym głośnym czytaniu moje imię w jego ustach nie powinno mnie tak poruszyć, ale jest inaczej. Serce chce mi się wyrwać z piersi. W końcu wydobywam z siebie głos, czując nagłą suchość w gardle.

– Wergiliusz wyjaśnia, że piekło nie jest dla nich karą. Potępione dusze naprawdę chcą się tam dostać. To ich świadomy wybór. – Przelykam głośno ślinę i mówię dalej: – I dlatego potępieńcy nie zasługują na współczucie Dantego.

Kilka dni temu podczas lektury zatrzymałam się na tym ustępie. W ustach Maximusa – ustach, o których tyle ostatnio myślałam – te słowa brzmią niemal jak oskarżenie, choć przecież nie może wiedzieć, dlaczego ten temat tak mnie porusza. Pomijam już uszczypliwe uwagi innych studentów. On nigdy nie zrozumie moich rozterek względem wyborów, które przede mną stoją. Które są mi narzucone.

Kiwa lekko głową.

– Bardzo dobrze ujęte.

Oddycham z ulgą i poczuciem satysfakcji, gdy profesor kończy wykład i zadaje nam kolejną lekturę.

– Gdybyście mieli jakieś pytania albo chcieli porozmawiać o tematach pierwszej pracy, którą musicie oddać za parę tygodni, zapraszam na dyżur. Poniedziałki i środy tuż po naszych zajęciach oraz wtorki po południu. Mój gabinet mieści się na trzecim piętrze Budynku Archera.

Wypuszcza nas z sali i choć mam ochotę jak najszybciej się ulotnić, tłum studentów korkuje wyjście. Czekam niecierpliwie, aż wszyscy ciepłokrwisci śmiertelnicy w końcu wyjdą. Gdy wreszcie opuszczam swoje miejsce, w sali rozbrzmiewa głos Maximusa:

– Karo, zaczekaj, proszę.

Odwracam się jak zahipnotyzowana nierówną wibracją tego ostatniego słowa. Drzwi się zamykają za ostatnim studentem, ale prawie tego nie zauważam. Usiłuję nie gapić się otwarcie na Maximusa, który przysiadł na brzegu biurka. Jego długie nogi są zgięte, napinają materiał spodni khaki. Z niedbałego węzła na karku uwolniło się kilka kosmyków, które opadają mu teraz przy twarzy. Jest jednocześnie swobodny i władczy – nie licząc dłoni zaciśniętych na krawędzi biurka, jakby się bał, że z niego spadnie.

Nieśpiesznie schodzę po stopniach, napawając się jego widokiem.

– O co chodzi? – pytam prawie bez tchu.

– Czemu zawsze siadasz na samym końcu? – odparowuje. Głos ma ściśnięty, jakby za tym jednym pytaniem kłębiła się setka innych.

Przez chwilę się zastanawiam, którą wersję prawdy mu zaserwować. Albo które kłamstwo.

– Ludzie lubią robić mi zdjęcia. Zdążyłeś się już przekonać, że moja obecność potrafi zakłócić zajęcia. Siadam na tyłach, żeby do tego nie dopuścić. Nic nie poradzę na to, kim jestem, ale nie pozwolę, żeby to przeszkodziło mojej edukacji.

Stuka skórzanym butem raz i drugi.

– Rzeczywiście potrafisz rozproszyć uwagę.

Wzdrygam się.

– Co dokładnie masz na myśli?

Kręci lekko głową.

– Wyobrażam sobie, że może być gorzej. To po prostu wielka szkoda, bo jako jedna z nielicznych jesteś naprawdę zaangażowana w zajęcia, a trudno prowadzić z tobą inteligentny dialog, gdy innych bardziej interesuje...

– Robienie sobie selfie? Wykrzykiwanie obelg?

– Tak. I widzę, jak na ciebie patrzą.

Przez dłuższą chwilę spoglądamy sobie w oczy. Moment ciągnie się w nieskończoność, aż w końcu cząsteczki powietrza na sali zamieniają się w atomy o ładunku nuklearnym. Niebieskie płomienie w jego oczach jeszcze potęgują to wrażenie. Nagle uzmysławiam sobie, że nie mówi tylko o krzykaczach. Przyciągam jeszcze inny rodzaj uwagi.

– Tak jak ty?

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Chyba po prostu chciałam wiedzieć, na czym stoję. Czy pociągam go tak, jak skrycie na to liczę?

– Przepraszam. Nie to miałem na myśli – odpowiada szybko chrapliwym głosem.

– Jak na akademika masz spore problemy z wysławianiem się.

Krzyżuje ręce na piersi, jakby chciał się przede mną obronić, choć sam mnie tu zatrzymał.

Robię wielkie oczy na widok niedużych wgnieceń w metalowej krawędzi biurka w miejscu, gdzie ją przed chwilą ścisnął. Zbliżam się

o krok, nie potrafiąc powstrzymać ciekawości. Pośpiesznie na powrót je przykrywa, idealnie wpasowując w nie dłonie.

Zerkam na jego udręczone zacienione oczy pełne odpowiedzi, których nie chce mi udzielić. Malujące się w nich niewytłumaczalne cierpienie przyciąga mnie o kolejny krok i niemal się dotykamy. Nie wiem, co pcha mnie do przodu. Przekora? Zwykła brawura? Wyciągam rękę i wstrzymując oddech, muskam opuszkami palców szorstki materiał jego kamizelki.

Jego oddech się zmienia, ale mnie nie odpycha. Kłękcie mu bieleją i słyszę, jak metal pod jego palcami cicho się zgina. To wystarczy, by wyrwać mnie z transu naszego kontaktu fizycznego. Zastanawiam się, czy on też to poczuł. Czy on też jest inny, tak jak ja.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń III (wszystkie fragmenty *Boskiej komedii* cytowane w tekście pochodzą z tłumaczenia Edwarda Porębowicza).

ROZDZIAŁ 6

Maximus

– KARO.

Nie wiem nawet, czy mnie słyszy. To słowo przypomina bardziej instynktowne uderzenie pulsu, szmer w krwiobiegu. Jakby pierwotna część mnie czekała właśnie na nią...

I jest tu. Tak blisko.

A potem jeszcze bliżej, gdy muśnięcie palców zamienia w dotyk otwartej dłoni. Bijące od niej ciepło jest niemal namacalne, jak płomień rozchodzące się w mojej piersi i sunące prosto do bijącego w niej narządu, który zdaje się rozciągać, by przyjąć więcej jej pięknego ognia. Jej dzikiego, zakazanego ciepła...

– Karo.

Tym razem mnie słyszy. Zatrzymuje dłoń, ale jej nie zabiera. Nagle znajduję się w samym środku poematu Dantego. Z własnej woli przepłynąć rzekę i wejść w płomień czy zostać na brzegu? Czy ominąć grzechy czyhające po drugiej stronie?

– Maximusie.

Jej odpowiedź także jest zaledwie szeptem. Otulonym w jej niepowtarzalny zapach cynamonu i przypraw korzennych, pod którego wpływem oblizuję wnętrze ust. A potem wargi.

Cholera. Wpadłem po uszy.

– Proszę... nie... – mówi cicho.

Wydaję z siebie groźny pomruk, wyginam krawędź biurka w dzieło sztuki współczesnej i wgniatam stopami podłogę.

– Żartujesz sobie, prawda? Bo jeśli będę się musiał jeszcze bardziej wysilać, żeby cię nie dotknąć...

– Nie... Nie odpychaj mnie.

Wypuszczam powietrze nozdrzami.

Kara przełyka głośno ślinę.

– Maximusie... – zaczyna ochrypłym głosem, ostatnią sylabę mojego imienia wypowiadając jak pytanie. Pytanie zrodzone z desperacji.

– Co? – szepczę. – O co chodzi?

– Powiedz, że nie tylko ja to czuję... Błagam... powiedz.

Przełykam jak ona, gdy kładzie mi dłoń na szyi.

– Wiedziałam – szepce.

Przez dłuższą chwilę nie mogę wydobyć z siebie głosu. Dla pewności jeszcze raz się jej przyglądam. Nie boi się mnie. Nie boi się siły, z jaką zgmiotłem metal w dłoniach i beton pod stopami. Jeśli już, moja utrata kontroli jeszcze bardziej rozpałała jej zmysły. Oddech ma przyspieszony i nierówny. Wodzi wzrokiem po mojej twarzy, a jej rozszerzone źrenice niemal pochłaniają ciemnoczekoladowe tęczęwki.

Ma przyśpieszony oddech, jakbyśmy siedzieli w spadającym samolocie, a ja oddał jej ostatnią sprawną maskę tlenową.

– Ale dlaczego usiłujesz to przede mną ukryć?

Spadam. Gwałtownie tracę wysokość. Gdzie jest góra, a gdzie dół? Czy to w ogóle ważne?

Nie. Nieważne.

Podnoszę z trudem rękę i przykrywam palcami jej palce, mocno ściskając.

– Bo nie możemy...

– Czego? Nawet się do tego przyznać?

Przyciska dłoń do mojej szczęki z zaskakującą siłą.

Przynajmniej nie muszę tego przed nią ukrywać. Na moje zmieszanie momentalnie odpowiada szerokim słodkim uśmiechem. Jakby to było zupełnie normalne, że ściska moją twarz niczym miniaturowy buldożer.

Zamykam oczy.

– Nie mam racji? – nie odpuszcza. – Otwórz oczy, spójrz w moje i powiedz, że się mylę, a w tej chwili odejdę i nigdy więcej o tym nie wspomnę. Na resztę semestru zaszyję się na końcu sali. Parę godzin w tygodniu możemy radośnie dyskutować o piekle i...

Wstrzymuje oddech, gdy wplątam palce w jej włosy na karku i ciągnę. Mocno. To by było na tyle, jeśli chodzi o kolor w jej oczach. Rodzący się w nich szok przysłania wszystko prócz czarnego jak atrament pragnienia.

– Sądzisz, że przy mnie piekło istnieje tylko na kartach książki? – pytam.

Rozluźnia uścisk i opuszkami palców szuka skóry pod moją brodą.

– Dopóki mnie nie dotknąłeś, myślałam, że wiem, czym jest piekło.

Po tych słowach nie jestem już w stanie niczemu zaprzeczyć. Ale jest jeszcze inna prawda, którą muszę się z nią podzielić. Jeśli wypowiem ją na głos, będzie mi łatwiej przy niej wytrwać.

Mam nadzieję.

– No dobrze. – Wyplątuje palce z jej jedwabistych hebanowych kosmyków. – Masz rację. To na pewno coś...

– Coś?

– ...innego.

– Okej – mówi cicho, zrezygnowana. – „Innego”... – Ale w tym powtórzeniu słycać także pytanie. Którego nie pozwoli mi zignorować.

– Tak. – Wykorzystuję pauzę, by poskładać myśli. – I niebezpiecznego – wyrzucam z siebie.

Odrywam się od niej i obchodzę biurko, którego rzadko używam, ale teraz dziękuję niebiosom za jego szerokość. Zaczynam zbierać papiery, przekładając je piętnaście razy, byle tylko zająć czymś ręce. Czymś innym niż jej jędrne kształty i gładka skóra.

– Bo jesteś moim wykładowcą? – Prycha cicho. – Nie jestem nastolatką tuż po maturze. Zresztą nawet kiedy byłam, życie nie szczędziło mi trudnych lekcji. I jestem pewna, że nie bylibyśmy tu pierwszą parą profesor–studentka, która...

– Nie o to chodzi.

Krzyżuje ręce na piersi, na moje nieszczęście naciągając bawełnianą bluzeczkę i eksponując dekolt w całej jego krasie. Znowu dziękuję w duchu za biurko, które tym razem zasłania mój wzwód.

– To o co?

– Nie wiem. – I to szczerą prawdą. – Wstyd się przyznać, ile razy o tym myślałem. O tym, co się między nami pojawiło i jak by to było kazać naszemu niewidzialnemu Charonowi przewieźć się na drugą stronę. – Mam ochotę roześmiać się z samego siebie. Przecież lubię analizować poezję, nie ją tworzyć.

Kara przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Robi równocześnie wrażenie niepewnej i zdecydowanej. Śmiałej, a po chwili gotowej do ucieczki. Moje pragnienia i potrzeby to dwie różne rzeczy i boję się, że w jej przypadku jest tak samo.

– I jak było? – Chwyta zębami dolną wargę. – Jak było, kiedy wyobrażałeś sobie nasz wspólny skok?

Z trudem wydycham powietrze nosem.

– Po tysiąckroć źle.

„I po milionkroć błogo”.

Pomimo grymasu na jej twarzy to ostatnie zachowuję dla siebie, choć oglądanie go sprawia mi niewypowiedziany ból. Ale nie mogę powiedzieć jej więcej. Nie potrafię wyjaśnić, skąd to wiem, lecz jestem tego pewien jak szpiku w kościach i włókien w mięśniach. Przeniknęła do najgłębszych zakamarków mojego ciała, budząc je do życia.

Poza tym będąc tym, kim jest, sama ma wystarczająco dużo problemów. Im dłużej przyglądam się jej drzewu genealogicznemu, tym bardziej się dziwię, że jeszcze nie postradała zmysłów.

Milczę za długo i Kara zakłada z powrotem swoją maskę surrealistycznej – a nawet odrobinę przeraźliwej – rezygnacji. Może tak będzie lepiej. Im więcej czasu z nią spędzam, tym trudniej mi się z nią żegnać.

Ale wiem, że tak musi być.

– Czy to wszystko, panie profesorze? Bo umówiłam się z siostrą, z Kell, w bibliotece, żeby się pouczyć. – Wysiwa biodro i przekrzywia wyzywająco głowę.

Unoszę sceptycznie brew.

– Wiesz, że to oksymoron, prawda? „Kell Valari” i „pouczyć się” w jednym zdaniu? – Moja próba rozładowania atmosfery przynosi odwrotny skutek. Przelykam z pokorą jej gniewne spojrzenie. – W porządku, to nie było fair. Nie znam Kell...

– Ani trochę, do diabła – poprawia mnie sucho.

– Takie chodzą plotki – próbuję się tłumaczyć. – Wykładowcy nie powinni ich powtarzać. – Pocieram szczękę. – *Ja* nie powinienem ich powtarzać.

W odpowiedzi rzuca mi tylko przelotne spojrzenie.

– Wychodzę – oznajmia beznamiętnym tonem i odwraca się na pięcie, a raczej na szpilce kozaczka, i wraca po rzeczy.

W krępującej ciszy pakuje się i wychodzi.

Po dwóch sekundach zaczyna mi jej brakować.

Przeskakując po dwa stopnie, wbiegam po schodkach w nadziei, że został choć jej zapach...

Znajduję coś innego. Tuż przed moim butem na szarej industrialnej wykładzinie błyszczy niczym krew kolczyk z rubinami.

Jej kolczyk.

Wiem to, bo wplotłem palce w jej piękne włosy tuż przy uchu, w którym tkwił drugi. Jest to nie byle jaki kolczyk. Przypomina stary herb rodowy w średniowiecznym stylu. Przedstawia groźnego wilka w biegu na tle usłanego diamentami nieba. Drapieżnik trzyma diamenty również w ostrych pazurach, a jego zwężone oczy i skręcony język są wysadzone szkarłatnymi rubinami.

To jedna z najbardziej unikatowych ozdób, jakie kiedykolwiek widziałem. Chwyta mnie za mroczną część duszy tak mocno, że jeszcze bardziej mrużę powieki, próbując odczytać łaciński napis na zaokrąglonej krawędzi...

Nagle uświadamiam sobie, że im dłużej tu stoję, tym bardziej Kara się ode mnie oddala.

Jednym susem dopadam do drzwi i w tej samej sekundzie jestem już na korytarzu.

– Kara!

Gdy ja byłem zajęty podziwianiem kolczyka, jego właścicielka zdążyła zniknąć. Korytarz jest pusty i nie wiem nawet, w którą stronę poszła. Co mnie strasznie wkurza, choć nie powinno.

Przecież za parę dni znowu się zobaczymy. W myśl wszelkich zasad po tym, co między nami zaszło, to i tak za wcześnie. Ale muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Choć rozsądek uruchomił każdy możliwy alarm w mojej głowie, świadomie zignorowałem wszystkie ostrzeżenia i przekroczyłem niebezpieczną granicę.

Nie jestem w stanie dłużej zaprzeczać faktom.

I wiem, że jeszcze nie raz tę granicę przekroczę. Będę to robić, dopóki się nie dowiem, dlaczego Kara Valari jest zupełnie inna od wszystkich, którzy kiedykolwiek stanęli na mojej drodze.

I dlaczego nie przeraża jej moja odmienność.

Kara

– CO SIĘ DZIEJE? Jesteś jakaś milcząca, nawet jak na ciebie – zagaduje Kell. Przewija piosenki na swojej playliście, dopóki nie znajdzie tej, której szuka, i dopiero wtedy patrzy na drogę.

Stoimy w korku. Gapię się przez okno jej wiśniowego bentleya na morze unieruchomionych aut, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć. Jestem za bardzo zajęta myślami. Myślami o Maximusie. Pewnie sądzi, że go odtrąciłam, więc powinnam być zadowolona. Gdyby tylko wiedział, że do ucieczki zmusiły mnie czysta desperacja i strach, że zrobię coś jeszcze bardziej lekkomyślnego... Na przykład przywrę wargami do jego ust tylko po to, by się przekonać, czy będę w stanie wyzwolić w nim jeszcze więcej siły.

Jego siły.

Zamykam oczy i wracam pamięcią do tamtej chwili. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Widziałam rzeczy... można powiedzieć: nie z tej ziemi. Ale jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, który kruszy stopami podłogę. Który trzymałby mnie z taką siłą, jakby nie chciał mnie nigdy puścić.

Nie powinnam pragnąć więcej, ale jest inaczej. Dałabym wszystko, by tam teraz wrócić, stanąć między jego udami, poczuć jego palce we włosach,

a w oczach zobaczyć wewnętrzną walkę, by mnie nie dotknąć, z góry skazaną na porażkę.

Nagle czuję, że moje myśli biegną do niego z powodu czegoś więcej niż ten niewytłumaczalny pociąg fizyczny. To fascynacja zarezerwowana dla uczonych i dawnych tekstów, tyle że jakies sto razy silniejsza.

Kim on jest?

Kręcę lekko głową, zastanawiając się, czyby mi to powiedział, gdybym nie uciekła.

– Kara – warczy Kell, gdy auta przed nami ponownie ruszają. Cud nad cudy o tej porze na Sunset Boulevard.

– Co?

– Od wyjścia z biblioteki bujasz myślami w obłokach. Rano też byłaś jakaś dziwna. Co ci się stało?

– Nic. Wszystko okej.

– To samo powiedziałaś, kiedy zapytałam cię o wrażenia z kursu literatury średniowiecznej.

– Bo też było okej.

Kell patrzy z powrotem na drogę, stukając lśniąco-czerwonymi paznokciami w kierownicę.

– Kręcisz z tym wykładowcą?

Wstrzymuję oddech, po części zaskoczona, że to podejrzewa. Nawet po tamtym przypadkowym spotkaniu w księgarni i pomimo tego, że mieszkamy razem i studiujemy na tej samej uczelni, jestem przekonana, że moja egocentryczna siostra nie kojarzy faktów z mojego życia osobistego. Pierwszy raz mam szczerą nadzieję, że to się nigdy nie zmieni.

– To mój wykładowca.

– Który również ocieka seksem, więc wcale bym ci się nie dziwiła.

– Kell!

– Co? Siostrzyczko, twoje święte oburzenie wszystkiemu zaprzecza, ale zapach mówi wyraźnie...

– Nic nie mówi – wchodzę jej w słowo. – Jestem po prostu głodna i zmęczona, okej? Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy.

– Hm. – Kell wykazuje się w tej sprawie zaskakującą dyplomacją. – Po prostu uważaj.

– Czemu miałabym uważać? – Idę w zaparte, bo instynkt podpowiada mi, że to najbezpieczniejsze. – Między nami nic nie ma.

Kell rzuca mi spojrzenie pełne niedowierzania.

– Jesteś najbardziej uczuciowa z nas wszystkich. Tylko za bardzo się do niego nie przywiązuj. Nie jest taki jak my.

– Wyciągasz całe mnóstwo pochopnych wniosków.

– Mówię tylko...

– Czy mam zacząć grzebać w twoim życiu osobistym?

Nic nie odpowiada, ale tym razem rzuca mi mroczniejsze ostrzegawcze spojrzenie, choć w powietrzu wyczuwam również nutę strachu.

Oddycham z ulgą, gdy korek nieco się rozładowuje i zbliżamy się do Beverly Hills. Normalnie droga do domu rodzinnego nie wywołuje u mnie takiej reakcji, ale dziś cieszę się na myśl o odwiedzinach u dziadka. Muszę tylko wymyślić, jak uniknąć spotkania z mamą.

W końcu podjeżdżamy pod szeroką, ciemną drewnianą bramę, która otwiera się przed nami niemal intuicyjnie, jakby dom wiedział, że jesteśmy mile widzianymi gośćmi. Na kamiennym podjeździe Kell dodaje gazu i zajeżdża pod rezydencję, jakby należała do niej.

Z wczesnowieczornego mroku niczym duch wyłania się kamerdyner.

– Panno Valari. – Kłania mi się lekko. – Panno Valari – wita się z Kell, uśmiechając się z zaciśniętymi wargami.

– Cześć, Dalton. – Kell odrzuca włosy na plecy i przemyka obok, nawet na niego nie patrząc.

Wchodząc do domu, dotykam przelotnie jego ramienia i ciemnoszare jak jego liberia oczy kamerdynera robią się ciepłe, a jego usztywniona sylwetka nieco się rozluźnia.

– Dziadzio jest? – pytam szeptem.

Kiwa głową i odprowadza Kell wzrokiem przez szerokie sklepione wejście.

– Cały dzień nie wyszedł z domku gościnnego. Ale matka oczekuje panienki.

Zaciskam zęby.

– Super.

W odpowiedzi wzrusza nieznacznie ramionami, więc tylko wzdycham i ruszam za siostrą, która musiała dać jej wcześniej znać. Co prawda nie odziedziczyłam rodzinnej żądzy zemsty, ale mam ochotę odpłacić mojej siostrzyczce za przygotowanie tej pułapki.

Na razie wchodzę za nią do rezydencji, która mimo że utrzymana w ciepłych tonacjach pasujących do tokańskiego wystroju, sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. Do zdecydowanego tupotu Kell na marmurowej podłodze hallu dołącza nieśpieszny stukot moich obcasów.

– Mamo! – woła siostra, kierując się prosto do ogromnego, ociekającego luksusem kremowo-złotego salonu.

Krzywię się na ten ogłuszający wrzask, czekając na następny nieuchronny atak. Moich uszu dobiegają niezrozumiałe szmery i wyraźne skomlenie futrzastych kompanów matki, przygotowuję się psychicznie na

spotkanie z moją rodzicielką. Nagle słyszę jej głos, ostry i nieprzejednany jak zawsze.

– Jaden dostanie tę rolę, nawet jeśli będę musiała sama pojechać do tej cholernej wytwórni.

Podwójne drzwi jej gabinetu po lewej otwierają się z impetem i ze środka wypada nasza matka w obstawie dwóch spanikowanych asystentek. Żadna nowość w przypadku Veroniki Valari.

Jak na zawołanie zgraja domowych chihuahua zaczyna chóralnie ujadać.

– Mam napisać do kogoś maila? – pyta tyczkowata blondynka, niemal przewracając się o jednego z piesków.

Współczuję tej dziewczynie. Jest tu stosunkowo nowa, ale skoro wytrzymała cały miesiąc, powinna już wiedzieć, w co się wpakowała.

– Nie. Masz do niego natychmiast zadzwonić, zanim da rolę temu beztalenciu – syczy moja matka i jej ciemne oczy ciemnieją jeszcze bardziej. – Szef wytwórni jest mi winny przysługę. Skontaktuj się z jego ludźmi i poinformuj go, że Veronica Valari chce z nim dziś rozmawiać. I nie daj się zbyć.

Blondynka kiwa skwapliwie głową i wraca do gabinetu. To zamyka temat i moja matka wreszcie nas zauważa.

Oczy jej się rozświetlają, a usta rozciągają w szerokim uśmiechu.

– Dziewczynki! – woła przeciągle i podchodzi do nas z otwartymi ramionami. Boki jej czarnej satynowej garsonki napinają się, ale guziki na piersi dzięki Bogu trzymają się dzielnie.

Kell spotyka się z nią w pół drogi, a na jej twarzy maluje się ulga, którą i ja odczuwam. Składa na jej policzku pozornie szczery pocałunek.

– Jak się miewasz, mammo?

W pierwszej kolejności odpowiada jej teatralny jęk.

– Wasz biedny brat biega z castingu na casting i już nie mogę patrzeć, jak jest ciągle odrzucany. I to w dodatku przez naszych *przyjaciół*.

Jedynym życiowym celem naszej matki jest stworzenie nowej marki wokół naszego nazwiska. Jako jej dzieci nie jesteśmy tylko ludźmi z krwi i kości. Jesteśmy towarami. Filarami imperium, które chce zbudować na bazie naszych talentów, urody, a przede wszystkim przebrzmiałej sławy dziadka. Już dawno zapomniano o skandalu sprzed lat, który prawie go zabił, i w Hollywood jego nazwisko wciąż otwiera niektóre drzwi. A te zamknięte mama taranuje niczym buldożer. Tak jak teraz.

W zamyśleniu przywołuje mnie do siebie. Niechętnie do niej podchodzę i poddaję się krótkiemu beznamiętnemu uściskowi. Tak jak przypuszczałam, jak zwykle jest pochłonięta dyrygowaniem ludźmi, którzy jej na to pozwalają, w tym Jadenem. Najmłodszemu z naszego rodzeństwa zdaje się brakować jakichkolwiek ambicji.

Gdyby poświęcił się czemuś przez pół roku, wszyscy bylibyśmy w ciężkim szoku. Ale mama jest zdeterminowana, by wypchnąć nas na środek sceny w ten czy inny sposób.

– A co, jeśli nie dostanie tej roli? – pyta Kell, przekrzywiając głowę, by sprawić wrażenie zainteresowanej. Dobrze wiem, że robi to tylko po to, by ją udobruchać. Jak my wszyscy.

W odpowiedzi Veronica uśmiecha się mrocznie i klepie ją lekko po policzku.

– Bez obaw, zajmę się tym. A teraz opowiedz mi o wieczorze autorskim w Recto Verso. Widziałam twoje zdjęcia z Piper. Fantastyczne.

Mama wsuwa Kell rękę pod ramię i prowadzi ją do gabinetu. Druga asystentka i trzy pieski posłusznie za nią podążają. Ja nie ruszam się miejsca, dopóki jej egzaltowany głos nie ginie w czeluściach domu. Mogłabym się poczuć zraniona jej oziębłością, gdybym miała choć cień

ochoty na tę wizytę. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli będę siedzieć cichutko jak mysz pod miotłą, to może o mnie zapomni. Tak jak o dziadku.

A właśnie. Dziadek.

Bezszelestnie odwracam się na pięcie i ruszam na tyły domu, na szczęście nie spotykając nikogo po drodze. Wychodzę przez kuchnię, przemierzam murawę otaczającą absurdalnie duży basen i docieram do położonego kilkanaście metrów dalej domku gościnnego.

Otwieram cicho drzwi i równie ostrożnie zamykam je za sobą, wszedłszy do środka.

– Dziadziu?

Moich uszu dobiega z salonu cichy dźwięk telewizora. Dziadek drzemie na sofie. Głowę ma odwróconą w drugą stronę, ale przy każdym oddechu na guzikach jego koszuli połyskuje gasnące światło dnia.

Uśmiecham się i zerkam na stary czarno-biały film na płaskim telewizorze nad kominkiem. Choć niepotrzebnie odizolowany, domek gościnny jest oczywiście znakomicie urządzone.

Delikatnie zdejmuję mu z kolan pilota i ściszam telewizor.

Dziadek chrząka i pociera się energicznie po nosie.

– Co? – Mruga parę razy i bruzdę na jego czole zastępuje zdumiona mina. – Kara!

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dziadziu.

– Och... – Wzdycha ciężko, a ja udaję, że nie widzę jego wilgotnych oczu. – Dziękuję, skarbie. Ale wiesz, nie musiałaś przyjeżdżać z życzeniami aż tutaj.

„Nie musiałam. Nie powinnam była. Ale przyjechałam”.

Siadam na sofie obok niego.

– Jak ci minął dzień?

– Ech. – Kręci głową i pokazuje na telewizor. – Świętowaliśmy we dwóch z Libertym Valance'em. Ale to nic. Jest jednym z moich ulubieńców.

– Pamiętam. – Patrzę na ekran, na którym pojawia się końcowa migawka z młodym Jimmym Stewartem.

Dziadek rzuca pilota na drewniany stolik.

– Co cię gryzie, biedroneczko?

Gdy słyszę ten czuły przydomek, robi mi się ciepło na sercu, choć nie powinno. Nie powinno nawet mnie tu być. A już na pewno nie powinnam pękać w szwach od pytań, których nie mam prawa zadawać.

Dotyka mojej brody i unosi ją, bym spojrzała mu w oczy. Jego tęczy są bladoniebieskie jak morze podczas sztormu albo dżdżysty dzień. Jednocześnie odbijają się w nich cała jego dobroć i cierpienie. Ujmuję jego dłoń i wkładam ją w swoje, koncentrując się na jego delikatnej wiotkiej skórze i wystających żyłach.

– Hej – mówi delikatnie, nie dając za wygraną.

– Hej – powtarzam ochrypłym głosem i wychodzi to dość żałośnie. Nie stać mnie jednak teraz na nic lepszego.

– Karo. To ja. Co się dzieje?

Wzdycham. Właściwszym pytaniem byłoby: co się *nie* dzieje. Ale unikam odpowiedzi, stawiając na coś łatwiejszego. Na słowa, które powtarzałam mu miliony razy.

– Nie cierpię, że musisz tu ciągle siedzieć.

Ściska mi dłonie. Ten gest mówi więcej niż tysiąc słów. Pewnie sam ucieka przed gorzkimi myślami.

– Wiesz, że wymykałem się już z gorszych miejsc. Mogę wyjść, kiedy tylko chcę. – Mruga do mnie, ale serce i tak mi krwawi.

– Żałuję, że mama nie jest dla ciebie miłsza. Nie powinno tak być.

Kiwa w zamyśleniu głową.

– Gdy się dowiedziałem, że wasza babcia jest... – Krzywi się przez moment, po czym zagląda mi w oczy. – Posłuchaj. Miałem wybór, Karo. Zawsze jest wybór. A kiedy powiedziała mi w końcu o swoich planach względem naszych dzieci i wnuków, miałem szansę odejść. Ale nie chciałem myśleć o rodzinie, którą razem stworzyliśmy, jak o karze. I choć Veronica i reszta nie grzeszą serdecznością, wolę być tu niż gdziekolwiek indziej. Jesteście moją rodziną. Wszyscy jesteście moją rodziną, bez względu na to, co ludzie mówią.

Zwieszam głowę, by ukryć łzy w oczach. Wpatruję się w nasze złączone dłonie, przełykając z trudem, ale nic nie jest w stanie zatamować wzbierających we mnie emocji.

Nie cierpię tego. Tak bardzo. Wiem, że na swój sposób dziadek również tego nienawidzi, ale jest dużo lepszy w tłumieniu tego wszystkiego. W ukrywaniu powagi sytuacji.

Jestem na świecie tylko dzięki oszustwu babci. To dzięki niej noszę nazwisko Valari i płynie we mnie krew demona. I choć już dawno wróciła tam, skąd ją przysłano, to jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pewnego dnia ja też będę miała dzieci nienawidzące swojego człowieczeństwa, czego i mnie uczono.

Triumf i kara w każdym pokoleniu. Lekcja dla wszystkich, którzy myślą, że uciekną przed piekłem, nie zapłaciwszy za to wysokiej ceny.

– Dziadziu... – Próbuję ułożyć słowa w zdanie, choć wiem, że nie ma szans, by to dobrze zabrzmiało. – Po... poznałam kogoś.

Bruzda między jego brwiami się pogłębia.

– Kogo? Przyjaciela?

Waham się.

– Jeszcze nie wiem, co do niego czuję. I to mnie przeraża.

Dziadek wysuwa rękę spomiędzy moich dłoni, sznuruje usta i masuje się po karku. Mój kłębek lęków o nazwie „Maximus” boleśnie się zaciska.

– Znam go od niedawna. Poznaliśmy się zaledwie parę dni temu.

Dziadek przymyka oczy.

– Och, Karo...

– Wiem – szepczę.

– Proszę, *proszę*, bądź ostrożna. Twoja matka...

– *Wiem*. Zaufaj mi. Powiedziałam o tym tylko tobie. Jak nikt inny zdaję sobie sprawę, o co toczy się gra.

Patrzy na mnie poważnie.

– Oprócz mnie. Ja też to wiem. I zależy mi na tobie bardziej niż...

Przerywa, ale oboje znamy prawdę. Nasza więź jest jednym z nielicznych skarbów, jakie mu zostały. Więź, do której nie możemy się przyznać. Nie w krzykliwej rezydencji nieopodal, a już na pewno nie przed światem zewnętrznym.

Ale ten sam instynkt, który sprowadza mnie do domku gościnnego dziadka, ciągnie mnie do Maximusa. Niektórzy mogą to nazwać buntem, ale dla mnie to wolna wola. Oczywiście tamte siły ujrzą to w zupełnie innym świetle.

W duchu mogę się za to rugać, ile tylko chcę, ale będąc w jednym pomieszczeniu z mężczyzną, który wygląda jak bóg, tracę całą wolną wolę.

Maximus. Moje zmysły chcą bezustannie powtarzać sylaby jego imienia, a ciało pożąda niewysłowionych dreszczy, które na mnie sprowadzają.

– Jest w nim coś takiego... – mówię, nie potrafiąc ukryć błagalnej nuty w głosie. – Jest między nami jakaś dziwna, nieopisana energia. Zupełnie jakby był jednym z nas, choć wiem, że nie jest. *Czuję to. To... to coś innego.*

Dziadek wpatruje się we mnie intensywnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie jest człowiekiem?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Nie jestem nawet pewna, czy sam to wie.

– Pytałaś go o to?

Kręcę głową. Byłam zbyt zajęta powstrzymaniem się od wspinaczki po jego imponującej sylwetce. Zbyt zajęta udawaniem, że w jego obecności zachowuję choć odrobinę samokontroli. Ale po tym, co się dziś stało, chyba nie będę w stanie dłużej udawać, bez względu na jego zaprzeczenia.

– Jeszcze nie. Rozgryzę to, ale nie sądzę, bym wcześniej dała radę trzymać się od niego z daleka.

Maximus

JESSE NUCI POD NOSEM, fałszując jak potępiony, a dźwięki jego zawodzenia odbijają się echem od ścian. Krzywię się ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu, głównego mebla w aneksie jadalnianym mojego mieszkania w centrum Los Angeles.

Metraż jest idealny, kiedy chcę sięgnąć po następny kawałek pizzy na kuchennym blacie, ale w takich chwilach jak ta, gdy zastanawiam się nad założeniem słuchawek, by nie słyszeć jego popisów wokalnych podczas weekendowego maratonu sprawdzania prac, żałuję, że nie wynająłem czegoś większego.

Ale mieszkając na najwyższym piętrze, mogę się cieszyć sklepionymi sufitami i balkonem bez dachu, za co każdy centymetr mojej sylwetki olbrzymia jest wdzięczny każdego dnia. Niemniej teraz, gdy mój przyjaciel raz po raz udowadnia, że kariera muzyczna nie jest mu pisana, mieszkanie dosłownie kurczy się w oczach.

– Stary – mówię, w końcu nie wytrzymując. – Jeśli to zemsta za naszą popołudniową sesję na siłowni...

– Jasne, że nie – odpowiada Jesse, nie przestając stukać w klawiaturę laptopa. – Nigdy nie marnuję czasu na zemstę. Przecież wiesz. Gdy tylko pada to słowo, zaczynasz podejrzewać najgorsze.

– Niepotrzebnie pytałem. – Niektóre rzeczy, takie jak śmierć, podatki, wiatr Santa Ana czy złośliwości mojego najlepszego przyjaciela, nigdy się nie zmieniają. Bez pierwszych trzech mógłbym przeżyć, zwłaszcza bez wichru na moim balkonie, ale bez tego ostatniego życie nie byłoby pełne.

Porusza brwiami.

– Ale zapytasz mnie, jak mi wczoraj poszło ze Stacey, prawda?

– Ze Stacey? – Kołyszę do tyłu głową. – Kto to?

– Stary, orientuj się. Stacey? Z Sacramento? Przyjeżdża co miesiąc w sprawach służbowych i na spotkania ze swoim ulubionym ciachem na wózku? Poznałeś ją.

Po jego opisie coś mi się majaczy, ale zostaję przy swojej pierwszej myśli.

– A co się stało z twoją truskaweczką sprzed tygodnia? Misty, jeśli dobrze pamiętam.

– Nie zabiłem jej, jeśli o to pytasz. Chociaż gdy wylądowaliśmy u niej po imprezie w Recto Verso, parę razy miałem ochotę to zrobić. Cholera, ta dziewczyna przypomina rozpędzony pociąg metra, gdy szczytuje. Jej sutki robią się twarde jak...

– Okej, okej. Łapię. – Gdy tylko odmalowuje ten sugestywny obraz, na miejscu Misty wyobrażam sobie Karę Valari.

Kara...

Uwodzicielka o ognistym spojrzeniu, o której nie mogę przestać myśleć. Jej palący dotyk, którego nie potrafię z siebie zmyć. Łącząca nas zniewalająca energia, która na dobre opętała moje zmysły. Nie zmienia tego nawet jej nieobecność na wczorajszych zajęciach. Przez co wszystko oczywiście się wydaje jeszcze bardziej żałosne.

Jesse w gryza się w pizzę, która jest kolejnym stałym elementem naszych weekendowych maratonów.

– A jak tobie poszło z Kristy? – W jego szarych oczach pojawia się złośliwy błysk.

– Oto i zemsta.

Chichocze.

– Mógłbym być teraz prawdziwym dupkiem i wbić nóż jeszcze głębiej...

– Albo nie – odparowuję.

– Lub po prostu zmienić temat. – Przekrzywia bezczelnie głowę, co mnie wcale nie uspokaja. – Ale może uda mi się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu... Jeśli tym tematem będzie pewna członkini rodziny Valarich.

Do nowego grymasu na mojej twarzy dochodzą obnażone zęby. Przesadna reakcja, ale nie mogę się opanować.

– Do czego do cholery pijesz, North?

– Przystopuj, kowboju. Jeśli nie chcesz mówić o Karze Valari i o tym, jak rozbieraliście się wzrokiem na imprezie w Recto Verso, to nie mów. Mam tylko nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że zamieniasz się przy niej w reaktor jądrowy.

– Do diabła. – Nawet przygarbiony i z odwróconym wzrokiem czuję w piersi uderzenie komety, którą we mnie cisnął. Ściskam przód koszulki, nie chcąc przyznać prawdy, która wyziera z każdego słowa następnego zdania mojego najlepszego przyjaciela.

– A niech mnie, Maximusie Kane, czyżbyś naprawdę był zauroczony śliczną panną Valari?

Podnoszę wzrok i się krzywię.

– Nie mam pojęcia, co to, stary.

– To znaczy?

– To znaczy, że słowo „zauroczony” nie bardzo tu pasuje.

– Mam wrócić do metafory o reaktorze jądrowym?

– Może. Chyba tak. – Podnoszę wyżej rękę i przeczesuję palcami włosy. – To moja studentka, na litość boską. I należy do tej dziwnej rodziny...

– Dziwnej. – Z nieznanych mi powodów jego odpowiedź jest zaprawiona goryczą. – A skąd taka opinia?

– Nadal rozmawiamy o Valarich, zgadza się? – pytam ironicznie.

– Wykorzystują lukratywne okazje biznesowe. Co w tym dziwnego? Budują swoją markę, póki mogą. Młodość i popularność mają ograniczony termin ważności. Jeśli są na tyle mądrzy, by o tym wiedzieć, i dobrze wykorzystają swoje pięć minut, brawo dla nich.

Podczas gdy on się wymądrza, ja sięgam do bocznej kieszeni torby i wyjmuję z niej kolczyk Kary. Gdy tylko odbija się w nim światło i zaczyna błyszczeć w mojej dłoni, Jesse porzuca swoje tyrady na temat rodziny jego właścicielki.

– Co... to...

– Mówiłeś coś? – pytam przeciągle. – Słyszałem coś o młodości i popularności.

– Co to do diabła jest?

– Należy do Kary. Ale zanim wyciągniesz jakieś pochopne wnioski, wiedz, że zgubiła go w mojej sali wykładowej. Pobiegnę za nią, żeby go zwrócić, ale nie zdążyłem jej złapać.

– Czemu po prostu nie zaniósłeś go ochronie?

Zadawałem sobie to samo pytanie, stojąc na pustym korytarzu i zachodząc w głowę, jak udało jej się tak szybko zniknąć. To chyba zabrzmiało jak wariactwo i może trzeba mi to powiedzieć bez ogródek.

– Coś, a w zasadzie wszystko w tym kolczyku do mnie przemawia. – Cholera, to naprawdę kretyńsko zabrzmiało. Ale nie ma już odwrotu. – Raczej nie kupiła go na Rodeo Drive ani nie zwędziła z łoży VIP-ów na jakimś rozdaniu nagród.

Wypuszczam powietrze, przesuwając opuszką kciuka po ostrych krawędziach odlanego z metalu wilka. Zatrzymanie kolczyka nie było świadomą decyzją, podobnie jak wypowiedzenie następnych słów.

– A jak na rodzinę młodych i popularnych to cacko sprawia wrażenie bardzo starego, jakby pochodziło sprzed wieku.

– Albo i sprzed kilku – szepcze Jesse. – Zdecydowanie – dodaje, bierze ode mnie kolczyk i przygląda mu się pod światłem. – Musi ważyć tyle samo co ona.

Z trudem odrywam myśli od kuszącej filigranowej figury Kary.

– Zapięcie jest chyba z litego złota, ale haczyk się poluzował – ciągnie Jesse. Diamenty i rubiny skrzą się, gdy obraca kolczykiem. – Pewnie dlatego jej spadł. Ten wzór jest... wow...

– Prawda? – Nie mówię nic więcej. Nie muszę. To nie jest coś, co się zostawia w kantorku ochrony. To coś więcej niż zwykły kawałek metalu czy nawet ponadczasowe piękno. To część historii. Rodzinne opowieści. Ukryte znaczenie. Czuć je już w samym dotyku złota i kamieni szlachetnych.

– Cerber – mruczy pod nosem Jesse po niemal minucie przyglądania się cacku.

– Jesteś na bakier z mitologią, North. Cerber ma trzy głowy, nie jedną.

– I nie zawsze był psem – mówi.

Odsuwam laptop na bok.

– Skąd ten pomysł? – To nie wyraz sceptycyzmu, tylko pytanie o konkretne źródło informacji. Widać, że Jesse przełączył się na tryb

profesora Northa, i jestem mu za to wdzięczny.

– Od faceta o nazwisku Heweliusz – odpowiada. – Siedemnastowiecznego astronoma. Z dziesięciu zidentyfikowanych przezeń gwiazdozbiorów siedem uznaje się po dziś dzień. Z pozostałych trzech jeden nosi nazwę Cerbera, trzygłowego węża w dłoni Herkulesa. Układ kamieni tego kolczyka odwzorowuje właśnie tę konstelację.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale na te rewelacje serce zaczyna mi bić mocniej.

– Skąd to wszystko wiesz? O ile się orientuję – i wiem to od samego Jessego – astronomia to nie astrologia.

– Gwiazdozbiory to ich wspólna domena – wyjaśnia. – Dzięki temu znam trochę łaciny, ale żeby odczytać napis na tym kolczyku, trzeba mieć iście sokoli wzrok.

– *Ex ignes* – recytuję z pamięci, bo zdążyłem mu się przyjrzeć z każdej możliwej strony. – Taki napis jest na górze. A pod spodem: *victoria*.

– Z płomieni zwycięstwo – tłumaczy. – Pewnie rodzinne motto zaczerpnięte z herbu. – Oddaje mi kolczyk. – Przyznaję, to trochę dziwne, ale jeszcze nie dziwaczne. Obejrzawszy to cacko i oceniwszy pierwszy esej panny Kell Valari, muszę przyznać, że ta rodzina naprawdę zaczyna mnie fascynować.

Zamieram z kolczykiem w rękę w pół drogi do kieszeni torby.

– Był aż tak zły?

– Był aż tak *dobry*. – Rozpiera się na krześle i robi piramidkę z palców. – Wiesz, że od dziecka mam bzika na punkcie kosmosu. Ta dziewczyna pisze o Drodze Mlecznej, jakby przez nią przelatowała. – Śmieje się tęsknie. – A ja myślałem, że jedyne interesujące ją gwiazdy to te, które śledzi w mediach społecznościowych.

Unoszę brwi.

– To rzeczywiście fascynujące.

– Prawda? Ta rodzina otwiera mi oczy na to, czego się zupełnie nie spodziewałem.

– Mnie też, przyjacielu. – „I to jak”.

Im dłużej tak siedzę z tą pamiątką rodzinną w dłoni, tym bardziej dociera do mnie ta prawda, wbijając się coraz głębiej w moją duszę.

Przyzywając mnie.

Co jest absolutnie niepojęte.

Zawodowo zajmuję się odkrywaniem alegorycznych znaczeń – nie prawdy – w prastarych układach gwiazdnych, postaciach mitologicznych bestii czy łacińskich frazach, które brzmią jak obietnica zemsty. Albo okrzyk bojowy. Jedna interpretacja prowadzi do następnej.

Ale teraz nic się nie spina. Hollywood i brokat w parze z łaciną i pradawnymi gwiazdozbiorami? Czerwone dywany i pokazy mody ze starą biżuterią?

Pełno tu rozdzwięków. Ale gdy myślę o największym z nich – o różnicy między tym, jak świat postrzega Karę Valari, a mrocznym lękiem w jej oczach – wszystko przestaje być takie nielogiczne. I mam wrażenie, że oboje jesteśmy dokładnie tam, gdzie mieliśmy się znaleźć.

Teraz muszę się tylko dowiedzieć... dlaczego.

Kara

PRZYCISKAM DŁOŃ DO METALOWYCH DRZWI. Nagrzewają się pod moim dotykiem. Daję sobie kilka sekund na zmianę zdania. Jeśli nie ma go w domu, zmarnowałam tylko godzinę w internecie i chwilę nerwowej jazdy udowadniającej, co jestem w stanie zrobić, by odkryć zakazaną tajemnicę, którą się stał.

Z drugiej strony drzwi dochodzą stłumione głosy i cofam się o krok. Poznaję głęboki tembr Maximusa. Nagle ktoś się śmieje. Inny mężczyzna.

„Cholera”.

To był głupi pomysł. Muszę się stąd zmyć, zanim...

Metalowe drzwi otwierają się z lekkim podmuchem powietrza i cichym skrzypnięciem zawiasów. Odgradząca nas bariera znika i moim oczom ukazuje się swobodnie oparty o futrynę Maximus.

Jego ciemnowłosego towarzysza zauważa mnie pierwszy i w jego oczach pojawia się błysk zaintrygowania.

– Proszę, proszę.

Wygląda znajomo, choć nie mam pojęcia dlaczego. Ale moje zdenerwowanie szybko spycha te myśli na drugi plan. Sądziłam, że Maximus będzie sam. W obecności świadka ta konfrontacja może przybrać bardzo zły obrót.

Wreszcie i on mnie zauważa. Odrywa się nieznacznie od futryny, jakby właśnie otworzył posłańcowi ze złą nowiną.

– Kara. Co...

Jego towarzysz pośpiesznie się wcina:

– Jestem Jesse.

Unosi dłoń z chromowanego koła swojego wózka inwalidzkiego i wyciąga ją do mnie. Zmuszam się do uśmiechu i podaję mu rękę.

– Mam na imię...

– Kara. Wiem. W jednej ze swoich grup mam Kell. Nazywam się North.

Zamykam na sekundę oczy, w myślach obrzucając się stekiem przekleństw. To stąd znam jego twarz. Ta rewelacja jeszcze pogłębia moje rosnące zestresowanie. Że też musiałam trafić akurat na...

– Co ty tu robisz? – Ostre pytanie Maximusa brzmi jak oskarżenie.

Powtarzam je w duchu. Właśnie, co ja tu robię? Choć mój mózg zna odpowiedź, system nerwowy ma problemy z dotrzymaniem mu kroku. Zmuszam się, by wytrwać w swoim postanowieniu. To jest zbyt ważne, by odpuścić.

Unoszę brodę i napotykam przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu. Ostatnim razem nie do końca ciepło się z nim pożegnałam, więc nic dziwnego, że jest wkurzony, gdy się u niego zjawiam. I to w sobotę.

– Przepraszam, ale chyba masz coś, co należy do mnie.

Oczy Jessego się świecą.

– A. Kolczyk.

– Tak – potwierdzam, ale mój ton mówi wyraźnie: „A ty skąd o tym wiesz, do diabła?”.

– Właśnie go oglądaliśmy. Ładne cacko. Zaraz, jak to szło? *Ex ignes victoria?*

– Zgadza się – wykrztuszam przez zaciśnięte zęby.

Przekrzywia głowę.

– Rodzinna pamiątka?

– Można tak powiedzieć.

Kiwa głową, choć w jego rozbawionych oczach widzę całe morze pytań. Ale jestem mu niemal wdzięczna, bo w tamtej chwili zdaje się być przeciwwagą dla posępnego Maximusa, który wciąż patrzy na mnie wilkiem.

– Właśnie wychodziłem – mówi. – Zostawię was samych. – Mruga do mnie i przenosi wzrok na Maximusa, unosząc znacząco brwi. – To na razie.

„Super. Po prostu fantastycznie”.

Cofam się, by przepuścić Jessego w drzwiach. Jak błyskawica przejeżdża przez korytarz i w mig dociera do windy. To oznacza, że jestem zmuszona stawić czoło jego koledze, choć chyba przeszła mi cała ochota na to spotkanie. Maximus staje w progu z nieodgadnionym wyrazem twarzy, zajmując całą przestrzeń.

– Przepraszam – powtarzam.

Unosi brew.

– Za co?

Mówi to tonem nauczyciela zwracającego się do niereformowalnego ucznia. Jakby chciał, żebym w ramach kary napisała odpowiedź kilkanaście razy na tablicy:

Nigdy więcej nie pojawię się nieproszona w mieszkaniu swojego wykładowcy.

Nigdy więcej nie pojawię się nieproszona w mieszkaniu swojego wykładowcy...

Wciągam wewnątrz wargi między zęby i stwierdzam, że gorycz ponownych przeprosin jednak da się przełknąć.

– Przepraszam za tę niespodziewaną wizytę. Byłam w dyżurce ochrony, ale nikt nie zwrócił kolczyka. Pomyślałam, że może ty go znalazłeś po... – „Po tym, jak ciągnąłeś mnie za włosy, jakbyś nie był w stanie się powstrzymać”. – Po prostu pomyślałam, że może być u ciebie.

Przez chwilę w milczeniu patrzymy sobie w oczy, po czym bezwstydnie taksuję go wzrokiem. Dziś postawił na dzinsy i cienki biały podkoszulek. Włosy ma rozpuszczone i zmierzwione. Moje palce aż się rwą, by się w nie zagłębić.

– Wejdz – mówi wreszcie i się odwraca.

Wchodzę za nim, zamykam drzwi. Mieszkanie jest przestronne, ale skromne. Dzięki nieotynkowanym ceglany ścianom i sklepionym sufitom kawalerka sprawia wrażenie przestronnej, nawet gdy w środku znajduje się taki olbrzym jak jej właściciel. Mój wzrok pada na łóżko w rogu. Puszysta biała kołdra jest zmięta z jednej strony. Zatrzymuję na nim spojrzenie dłużej, niż powinnam.

Ale nawet teraz wyczuwam ślady płynącej stamtąd energii. Ciepło charakterystyczne dla sypialni, gdzie mieszkają sekretne sny pomieszane z ciepłem jego ciała. Ciała tego człowieka...

Jeśli jest tylko człowiekiem. Bo teraz moje wątpliwości są silniejsze niż kiedykolwiek.

Odrywam wzrok od łóżka i napotykam jego spojrzenie. Intensywne. Muszę się złapać kuchennego stołu, by nie upaść pod naporem jego emocji. Jest ich tyle, że zanim opadają, moje policzki mają czas, by się zaczerwienić.

– Wiesz, na świecie istnieją dwa rodzaje ludzi.

– Tak? – Krzyżuje ręce na piersi.

– Ci, którzy ścielą rano łóżko... i ci, którzy nigdy tego nie robią.

Nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu.

– A ty do której grupy należysz?

W pierwszej kolejności odpowiadam mu w myślach.

– Jestem taka jak ty – powtarzam na głos. Ale gdy wypowiadam te słowa, ich znaczenie się zmienia i przypominam sobie, po co przyszłam. Między innymi... – Bardziej, niż ci się wydaje.

Udając, że nie zrozumiał podtekstu, podchodzi do stołu i sięga do kieszonki wiszącej na krześle torby.

– No tak, akademicy to też pewien typ. – Gdy wraca, z jego smukłych długich palców zwisa mój kolczyk. – Proszę.

Wyciągam otwartą dłoń, na którą go upuszcza, nie dotykając mnie. Co mi się wcale nie podoba.

– Dzięki.

Przelotnie ściąga usta na jedną stronę.

– Wygląda na drogą rzecz, więc pomyślałem, że go zatrzymam i oddam ci w piątek. Ale nie pojawiłaś się na zajęciach.

Patrzę na skrzące się w mojej dłoni kamienie świadoma, że powinnam powiedzieć coś więcej niż „dzięki”, zwłaszcza że oszczędzono mi przyznania się przed mamą, że go zgubiłam. Ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Masz do dyspozycji tylko dwie nieusprawiedliwione nieobecności w semestrze – dodaje.

Moje nozdrza się rozszerzają i podnoszę wzrok, spodziewając się napotkać wystudiowane spojrzenie rozczarowanego profesora. Nie mam przesadnych wyrzutów sumienia z powodu nieobecności. Przeczytałam zadane pieśni, zastanawiając się, z jaką intonacją zaprezentuje je na

zajęciach. To wystarczyło, żebym prawie się na nich pojawiła pomimo innych planów.

– Bez obaw, panie profesorze. Odrobiłam lekcje. – Wyjmuję z torby spięte kartki eseju, wyciągając je w jego stronę. – Przyszłam nie tylko po kolczyk, ale i porozmawiać. Sala wykładowa chyba nie jest do tego najlepszym miejscem.

Porusza szczęką.

– W przeciwieństwie do mojego mieszkania?

W piersi zaczyna mi wibrować niedosłyszalny pomruk frustracji, którą zbyt długo w sobie dusiłam.

– Tu przynajmniej nie zniszczysz uczelnianej własności, jeśli zrobi się między nami za gorąco.

Wypuszcza cicho powietrze, po czym idzie do kuchni i wyjmuje butelkę wody z lodówki.

– A czego się dokładnie spodziewasz?

Nie wiem, czy mówi to z nadzieją, czy zwyczajnie sobie kpi. Pragnie tych chwil ze mną czy coś sobie uroiłam? Biorę głęboki wdech, powtarzając sobie, by przede wszystkim ufać instynktowi.

– Czymkolwiek to jest, nie zamierzam udawać, że tego nie ma.

Kolejna pauza. Długa. Za długa.

– Nie powinno cię tu być, Karo.

– Dlaczego? – Nie daję za wygraną. – Bo tracisz przy mnie kontrolę?

Wypija prawie całą butelkę.

– Może.

– Może ja mam tak samo. Nie przyszło ci to do głowy?

– Tym bardziej powinnaś się trzymać ode mnie z daleka. Nie wdam się w romans ze studentką bez względu na to, jaka jesteś kusząca. – Przerywa,

pośpiesznie taksując mnie wzrokiem. – Proszę, idź już, Karo.

– A co, jeśli nie chcę?

Wyrzuca pustą butelkę i powoli rusza w moją stronę.

– Proszę po raz ostatni. *Idź sobie.*

Innych może i onieśmiela, ale ja widzę w jego spojrzeniu cierpienie. Nie boję się go ani nie jest mi go żal. Myśl o skruszeniu muru, za którym się ukrył, lub o rozbudzeniu w nim gniewu tylko mnie dopinguje. I znam na to najlepszy sposób.

– Zmuś mnie – szepczę.

– Przestań – odpowiada niskim głosem.

– Mówię poważnie, Maximusie. Widziałam, jak gniesz w rękach metal, jakby to był kit. Nie powinienes mieć problemu z wyrzuceniem mnie z mieszkania.

– Właśnie dlatego...

Gdy jego ostatnie słowa zawisają w powietrzu, coś we mnie pęka. Łapię go za koszulkę i przyciągam do siebie, wspinając się na palce, by go pocałować. Wszystko dzieje się w mgnieniu oka, jakby niebo przecięła oślepiająca błyskawica.

Zderzenie naszych ust. Moje palce w jego włosach. Gorączkowa wspinaczka w jego ramiona. Jego silne dłonie łapią mnie za uda tuż pod szortami i podciągają. Oplatam go nogami w biodrach. Czując go całym ciałem, wydaję z siebie jęk zduszony naszym pocałunkiem.

Otwieram usta, pragnąc więcej. Bierze je w posiadanie, brutalnie mnie do siebie przyciskając. Rezygnuję z oddychania, by nasz pocałunek trwał jak najdłużej. Z chaosu w mojej głowie rodzi się myśl, że tak mogłaby wyglądać wieczność.

Gdy w końcu odrywam usta od jego warg, by zaczerpnąć powietrza, wbijam wzrok w sufit i wystawiam szyję do pocałunków. Czując na

delikatnej skórze jego szorstki zarost, zamykam oczy. Rozgorączkowana wciągam powietrze przemieszane z jego męskim zapachem. Wbijam paznokcie w jego muskularną łopatkę.

Warczy i podchodzi do ściany, uderzam o nią plecami. Mocno.

Spuszczam wzrok, napotykając jego płomienne spojrzenie. Od razu widać, że jest zły i tak samo podniecony jak ja. Ta mieszanka emocji bije z jego skóry, nasycając cząsteczki powietrza wokół nas i wsiąkając we mnie tam, gdzie jesteśmy połączeni.

Jego klatka piersiowa faluje w nierównym oddechu. Czekam na kolejny pocałunek, ale zaskakuje mnie, chwytając mój nadgarstek i splatając nasze palce, które następnie przyciska do ceglanej ściany nad moją głową. Gdy tylko na powrót wpija się w moje usta, zapominam o szczypaniu otartej skóry.

Cała płonę. Prawie nie zauważam, gdy to samo robi z moim drugim nadgarstkiem, przyciskając mnie do ściany swoim masywnym boskim ciałem. Ale to siła jego pożądania mnie unieruchamia. Uderza mi do głowy niczym najlepszy szampan. Jęczę w jego usta, bo dobrze wiem, że właśnie tracę resztki samokontroli. I żegnaj się z nią bez najmniejszego żalu.

Do tej chwili myślałam, że wiem, co to pożądanie.

Gdy nagle się ode mnie odrywa, mam wrażenie, że wbija się we mnie tysiąc gwoździ. Nie rozluźnia uścisku, dopóki nie dotykam stopami podłogi, po czym cofa się o krok. Oboje łapiemy powietrze jak ryby wyjęte z wody, ale wyraz jego oczu każe mi wstrzymać oddech. Wygląda, jakby właśnie kogoś zabił.

– Co się stało? Czemu tak na mnie patrzysz?

Kręci głową, błędząc wzrokiem po pokoju, i w końcu wbija go w podłogę. Zaczynam zauważać szczegóły. Ceglany pył wokół moich stóp.

Czerwono-różowe otarcia na grzbietach dłoni. Podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy.

– To nic takiego, Maximusie.

– Nic takiego? – powtarza z niedowierzaniem.

– Nie ma żadnej różnicy, zobacz.

Zbliżam się o krok i podciągam jego rękaw, chcąc mu pokazać krwawe ślady po moich paznokciach, ale w miejscu, gdzie były jeszcze przed chwilą, widzę tylko gładką skórę.

Odsuwa mnie od siebie i robi kolejny krok w tył.

– Naprawdę powinnaś już iść, Karo.

– Nie – wrywa mi się tonem świadczącym raczej o zaskoczeniu niż o sprzeciwie.

– *Kara*.

– Nie – powtarzam. – Dopóki mi nie powiesz...

– Stop – warczy. – Nawet nie zaczynaj...

– Ty się... uleczyłeś.

Ucieka wzrokiem.

– A ty nie. Kolejny powód, żeby z tym skończyć.

Czuję, jak zaczyna we mnie kipieć złość. Resztki pożądania walczą z pragnieniem, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Nie jesteś w stanie mnie skrzywdzić – nie ustępuję.

– Wygląda na to, że jednak jestem.

– Nie tak, jak myślisz. – Odwracam się i widzę w ścianie wgniecenie w kształcie mojego ciała. Prawda, człowiek moich gabarytów mógłby nie wyjść z tego w jednym kawałku. Odwracam się z powrotem do niego. – Powiesz mi, o co tu chodzi? O co tu *naprawdę* chodzi?

Milczy odwrócony do mnie plecami. Nawet gdy wyrównuje oddech, jego imponująca postura potrafi przerazić. Moja torba upadła na podłogę i teraz schyla się, by ją podnieść. Odwraca się powoli, by mi ją zwrócić, subtelnie dając do zrozumienia, że powinnam sobie iść.

Mija kolejne dziesięć sekund napiętej ciszy, zanim wreszcie się odzywa. Sylwetkę ma usztywnioną, wyraz twarzy zastygły.

– Chcesz wiedzieć, o co tu chodzi?

Słyszę jego niski, złowróżbny ton i czuję, jak przeszywa mnie dreszcz przerażenia. Nagle zauważam, że trzęsą mu się ręce.

– Tak – szepczę, choć teraz już nie jestem tego taka pewna.

– Gdy miałem osiem lat, zafundowałem najlepszemu przyjacielowi wózek inwalidzki, bo nie zdawałem sobie sprawy ze swojej siły... z przemocy, jaka we mnie tkwi. I na tym się nie skończyło. – Na sekundę zamyka oczy, a między jego brwiami pojawia się głęboka bruzda. – Każdy dzień mojego życia upływa pod znakiem kontroli. Która wyparowuje, kiedy się dotykamy. Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. Gdybym coś ci zrobił, nie mógłbym dłużej żyć. Więc błagam, Karo, odejdz dla dobra nas obojga.

Maximus

DŁUGO SIĘ OPIERAŁA, ale w końcu zrobiła to, o co ją prosiłem. Co nie znaczy, że od jej wyjścia sześć godzin temu jestem w lepszym humorze. W komputerze czeka na mnie reszta esejów do sprawdzenia, a wszelkie próby zajęcia czymś myśli spaliły na panewce, począwszy od moich ukochanych książek, a skończywszy na widoku wgniecenia w ceglanej ścianie o niepokojąco znajomym kształcie.

Zaczynam się przechadzać w tę i z powrotem po mieszkaniu. Po setnym obejściu przestaję liczyć. Czy to w ogóle ważne?

Około północy zjadam dwa ostatnie kawałki pizzy. Zastanawiam się, czy nie zejść z nią do Jessego w ramach żalosego pretekstu, by zapytać go o radę, której chyba nie bardzo potrzebuję. Zawsze dostaje ostatni kawałek. To nasza tradycja. Gdy pojawiła się Kara, zmył się, jakby jego wózek był wyposażony w silnik rakietowy, posyłając mi po drodze znaczący uśmiezek. Co było jak najbardziej zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że w progu mojego mieszkania stanęła oszałamiająca, opalona piękność pachnąca słońcem i cynamonem. W ciągu dwóch sekund wyczytałem w jego spojrzeniu tysiąc wiadomości.

Wiesz, gdzie mnie szukać, kiedy już się obrobisz, stary.

Choć mam nadzieję, że zejdzie ci do rana.

Małe przypomnienie: jestem tylko trzy piętra niżej.

Pożegnalne spojrzenie Kary było dużo bardziej rozdzierające. Wyszła bez słowa, jakby wiedziała, że jej przesycone smutkiem milczenie totalnie mnie rozbija. Jestem o krok od podejrzeń, że przewidziała mój niespokojny spacer po mieszkaniu i wewnętrzną walkę po tym, co jej powiedziałem – i co uznała za koślawe usprawiedliwienie mętlika w głowie. Mętlika, z którym wciąż walczę. Wciąż szukam odpowiedzi, których nie ma... których nigdy nie było. Już dawno się z tym pogodziłem. Z ukrywaniem do końca życia tkwiącego we mnie potwora.

Czemu więc wciąż mam w głowie taki chaos? I czemu do teraz snuję się po mieszkaniu, rozmyślając o tym? Przecież już dostałem odpowiedź. Kara obudziła we mnie wszystkie instynkty. Ogień. A nawet agresję. Tyle że się nie przeraziła. Ani odrobinę. Nie widzi we mnie potwora. Nie odpycha mnie ze strachu. Na mój „atak” odpowiada lawiną pytań.

Tym samym otwiera drzwi do tego, co trudno mi zaakceptować. Do emocji, które dawno temu pogrzebałem. Mojej własnej ciekawości. Głęboko zakorzenionej potrzeby znalezienia odpowiedzi.

Myśli kotłują mi się w głowie, prowadząc zażartą walkę. Wylewają się na zewnątrz, namacalnie elektryzując powietrze.

Jest już trzecia w nocy i ostatecznie machnąłem ręką na sen. Przebieram się i biegnę do położonej osiem przecznic od mojego mieszkania całodobowej siłowni. Trzej inni lunatycy, których tam spotykam – kaskaderzy filmowi – otwarcie się na mnie gapią. Innego dnia mogłoby mi to przeszkadzać. Ale nie dziś.

Gdy wracam do domu i biorę prysznic, dochodzi pora otwarcia Recto Verso. O tak wczesnej godzinie jestem tam pierwszym klientem, zazwyczaj z tego samego powodu, o który pyta Sarah, kiedy moje przybycie oznajmia mosiężny dzwonek nad drzwiami.

– Koszmary?

W oświetlających przednią część księgarni pierwszych promieniach słońca tańczą drobinki kurzu. Sarah się odwraca, robi mi latte i podaje mi. Sięgam za długi bar do podajnika z syropem cynamonowym, którym zaprawiam aromatyczny brązowy płyn.

Sarah unosi brew.

– Czyli wszystko w porządku?

Zdmuchuję pianę z kawy.

– Może pozwól mi najpierw zebrać myśli, zanim zaczniesz przesłuchanie?

W odpowiedzi tylko cicho chichocze. Dobre posunięcie, zważywszy, że jestem tak nabuzowany jeszcze *przed* zastrzykiem kofeiny.

– Dlaczego od razu tak zakładasz? – bąkam w końcu. – Te koszmary?

W pierwszej chwili tylko lekko się uśmiecha. Na ogół spojrzenie Sarah może znaczyć wszystko, od „wynieś śmieci” po „wiem, jak zaprowadzić pokój na świecie”. Mam cichą nadzieję, że teraz to żadne z wymienionych.

– Masz taką minę – wyjaśnia w końcu.

– Minę? – powtarzam, mrużąc oczy i wykrzywiając usta. – To znaczy?

– Taką jak zawsze. – Wzrusza ramionami, ale niezbyt przekonująco. Cekiny na jej koszulce z Davidem Bowie połyskują w świetle witrażowych lamp. Bar kawowy jest słabiej oświetlony od części czytelniczej, za co dziś jestem wdzięczny. W półmroku łatwiej ukryć zamęt w głowie, choć w tym pewnie też nie jestem zbyt dobry. – Jakbyś nie miał zwykłych snów.

– Och?

To jedno słowo jej wystarczy. Podobnie jak Reg dobrze wie, by nie bawić się ze mną w gadkę szmatkę, kiedy mam za sobą zarwaną noc.

– Jakby przyśniło ci się coś złego i po przebudzeniu wyżyłeś się na swoich pluszakach.

Nie wiem, czy się roześmiać, czy zakląć pod nosem. Ostatecznie znajduję dziwny kompromis między jednym i drugim.

– Nigdy nie miałem pluszaków, Sarah.

– Wiem.

Nagle przy barze robi się jeszcze ciemniej. Aż za bardzo. Prostuję się na stołku i klaszczę w dłonie, zgłaszając się do poprawy nastroju w kawiarni. Trzeba się w końcu odwdzińczyć za kawę.

– To co nowego?

Odpowiada mi znacząca cisza, która tylko wzmacnia moje złe przeczucia. W przeciwieństwie do Reg Sarah jest zazwyczaj pierwsza do rozładowania napiętej atmosfery. I umie to robić jak nikt. Śledzi wszystkie ploteczki ze świata popkultury, od list przebojów po wpadki modowe gwiazd.

– Cóż – szepcze w końcu – to chyba ja powinnam cię o to spytać, nieprawdaż?

– Hm. – Upijam kolejny łyk latte, przyglądając się jej zza brzegu kubka. Ta kobieta potrafi być królową opanowania, czego jaskrawy irytujący dowód mam właśnie przed sobą.

– „Tak sądzisz”, hę?

Usztywnia sylwetkę, ale to tylko tło dla jej zdecydowanego spojrzenia.

– Ach, już rozumiem. – Unosi gwałtownie brodę. – Nie śniłeś, bo nawet nie zmrużyłeś oka, mam rację?

Odstawiam gwałtownie kubek.

– Nie mogę zaprzeczyć.

– Mydlenie oczu – mruży. – Miałam nadzieję, że się myłę.

– Ale i tak wiedziałas, że masz rację. – Unoszę brew. – Prawda?

Marszczy czoło, znowu się prostując.

– Ale to dopiero początek semestru. Co się dzieje?

Nuta zatroskania w jej głosie jest dziwnie kojąca. Właśnie tego potrzebuję. Od wielu godzin, a może i dłużej jestem wytrącony z równowagi. Pęknięcie w tamie łatwo zignorować. Dopiero gdy przez szczelinę tryska woda, człowiek zdaje sobie sprawę, pod jakim ciśnieniem żyje.

Upijam kolejny łyk cynamonowego naparu, zyskując jeszcze jedną sekundę. Jego smak dodaje mi odwagi do wyrzucenia z siebie następnych słów.

– Powiedz mi, co wiesz, Sarah.

Jestem przygotowany na jej reakcję, która jednak nie nadchodzi.

– Eee... co wiem? A o czym? – odpowiada po kilku długich sekundach.

– O mnie – odparowuję. – Cokolwiek. Chryste, nawet wszystko, jeśli wiesz aż tyle. I nie mam na myśli powtórki tego, co oczywiste, tylko to, o czym mama nigdy nie chce mówić.

Zaciska usta, zanim jeszcze kończę zdanie. Pochyla się nad ladą, by zetrzeć nieistniejący brud.

– Twoja mama nie lubi się wywnętrzać, Max.

– Wiem o tym, ale czy naprawdę przez te wszystkie lata nic jej się nie wymknęło?

– Przykro mi. – Kąciki jej oczu się napinają i już wiem, że nie jest ze mną szczerą. – Parę razy próbowałam ją o to spytać, ale zawsze ucinała temat. I... – Kręci powoli głową. – I miała przy tym tak zbolaną minę, że po prostu głupio mi było dopytywać. To pewnie brzmi dziwnie, ale...

– Nie. – Patrzę w kubek. Mam to samo, gdy widzę, jak Jesse się męczy. Na szczęście zdarza się to rzadko, ale zawsze wtedy sobie przypominam,

kim jestem i do czego jestem zdolny. – Wcale nie. – Wzdycham sfrustrowany, żałując, że moja latte to nie whiskey. – Zapomnij, że pytałem.

Zanim jeszcze kończę zrzędzić, Sarah obiega bar i siada na stołku obok mnie.

– Maximus, na Boga, co się dzieje?

Zatroskanie w jej chrapliwym głosie jest coraz intensywniejsze. Czuję je nawet w dotyku jej dłoni na ramieniu. Ale co mam jej powiedzieć? Jak wyjaśnić, że gdyby to Kara mnie dotykała, krew zaczęłaby mi buzować w żyłach, a umysł się rozjaśnił? Jak jej powiedzieć, że nie jestem w stanie dłużej ignorować tych uczuć? Że łatanie tamy już nie wystarcza?

– Muszę po prostu poznać odpowiedzi – warczę, czego natychmiast żałuję, widząc jej płomienny wzrok. – Czy nikt tego nie rozumie? W wieku ośmiu lat zrobiłem z Jessego kalekę. To było niespełna rok po naszej przeprowadzce do Los Angeles, ale nie pamiętam nic z naszego wcześniejszego życia. Nie mam ani jednego mglistego wspomnienia.

– Może odwiedzasz te miejsca właśnie w snach.

– Wielkie mi pocieszenie.

Odwracam się do wnętrza księgarni. Panująca w niej ciemność jest idealnym odzwierciedleniem mojego wewnętrznego mroku. Mroku, w którym tonę.

– Muszę to wiedzieć, Sarah. Chryste, zasługuję na to.

Nagle odzywa się mosiężny dzwonek nad drzwiami, odrywając mnie od naszej rozmowy. Odwracam się, mrużąc oczy w oślepiającym blasku słońca wlewającego się przez otwarte drzwi.

Sarah także się krzywi, ale szybko oddycha z ulgą.

– Dzięki Bogu.

Wybuch śmiechu dochodzący z tonących w świetle drzwi momentalnie koi moje nerwy. Czemu mnie to nie dziwi?

– Mam się bać czy śmiać? – Moja matka krzyżuje ręce na piersi, naciągając rękawy grubego roboczego swetra, do połowy zakrywającego jej różowe pielęgniarskie spodnie i crocsy w kwiatuszki.

– Jeśli powiem, że to pierwsze, ale zrobię ci rumianku, to zostaniesz? – odpowiada Sarah.

– O-o – mruczy pod nosem mama, skupiając wzrok na mnie.

Spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu wbija mnie w poczucie winy. Nikt nie powinien być w takiej gotowości, by wesprzeć bliźniego, nawet własnego syna, po dwunastu godzinach niesienia pomocy innym.

Zawsze odkładałem te odczucia na inny dzień. Ten „dzień” zamienił się w lata, a lata w dekadę z hakiem. A ja muszę się dowiedzieć, co we mnie drzemie i próbuje się wydostać, gdy w pobliżu jest Kara Valari.

– Czyżby ktoś potrzebował rozmowy? – dopytuje mama, czym zaskarbia sobie uśmiech wdzięczności Sarah w komplecie z tacką herbacianą, na której już czeka okrągły zaparzaczek z rumiankiem i parujący imbryczek.

Nie muszę nawet potwierdzać. Nancy Kane czyta we mnie jak w otwartej księdze od niepamiętnych czasów – a więc w sumie krócej, niżbym sobie życzył.

– Chodźmy na tyły – proponuję. – Będziemy mieli trochę prywatności.

– Ooo, zatem temat wymaga prywatności, he? – Mama ściąga gumkę, którą związała włosy w ciasny kucyk. – Boże, jak dobrze – wzdycha, potrząsając gęstymi blond falami. Choć ostatnimi czasy co parę tygodni farbuję odrosty, nie ma wątpliwości, że to po niej odziedziczyłem swoją złocistą grzywę. Ale po kim mam wplecione w nią pasemka umbry? I ciemnoniebieskie obwódki tęczęwek?

Oraz umiejętność mimowolnego gniecienia metalu i niszczenia wszystkiego na swojej drodze?

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności – mówi parę minut później, gdy siedzimy na nowoczesnej sofie wstawionej do tego nowego kącika przez Reg. Przed nami stoi długa czarna ława i dwa okrągłe fotele ratanowe nie do kompletu.

– Zbieg okoliczności to boski sposób na pozostanie anonimowym.

– Dziękuję za przypomnienie, Einsteinie – mówi żartobliwie, podnosząc do ust filiżankę. Zrzuca crocysy, siada na podwiniętych nogach i opiera się łokciem o sofę. – A czy teraz usłyszę parę autorskich sentencji Maximusa Kane’a? Na przykład z wyjaśnieniami, dlaczego zjawia się tu kilka godzin wcześniej niż zazwyczaj? Myślałam, że wczoraj urządziliście sobie z Jessem maraton sprawdzania prac. Powinieneś jak zwykle paść ze zmęczenia i teraz wciąż spać.

Wiem, że jeszcze nie skończyła mówić. Mimo to próbuję wejść jej w słowo.

– Mamo...

– Ojej, naprawdę jesteś wykończony. – Pociera kciukiem pod moim okiem. – Semestr dopiero się zaczął, a ty już masz te ciemne obwódki. Ile masz kursów? Wcisnęli ci w końcu ten intensywny o Szekspirze?

– Nie. Mamo...

– Momencik. – Przerywa, bacznie mi się przyglądając. – Zaraz, zaraz. – Odstawia w zamyśleniu filiżankę. – Max... chodzi o dziewczynę? Widujesz się z kimś?

Biorę głęboki wdech.

– W moim wieku mówi się raczej „kobieta”.

Łapie mnie za rękę, nie posiadając się z radości.

– Opowiedz mi o niej. Wszystko.

– Nie. – Uwalniam dłoń z jej uścisku. – Wszystko to ty mi musisz teraz opowiedzieć.

Jej twarz się ściąga i pojawia się na niej zmieszanie.

– Mamo... musisz mi powiedzieć prawdę. Prawdę o mnie. Dlaczego jestem... taki. – Przy ostatnim słowie podnoszę ręce, choć bynajmniej nie w poddańczym geście. Owszem, jestem zagubiony, ale mam tego serdecznie dość.

Mama zrywa się na równe nogi. Z pozorowaną wesołością odwraca się na pięcie. Tak samo jak ściera z twarzy łzy, udając, że odgarnia niesforne kosmyki. To jej popisowy numer i myśli, że opanowała go do perfekcji. Ale ja nigdy nie daję się nabrać. Rozpaczliwie i nieudolnie próbuje ukryć swój niemy smutek.

– Nie ma o czym opowiadać, Max – zaczyna ochrypłym głosem. – Urodziłeś się inny.

– Kłamiesz. – Zaciskam pięści na udach, bojąc się o poduszki nowej sofy.

Tak długo – za długo – nakładałem na siebie jarzmo samokontroli, opanowania... ukrycia. Po raz pierwszy w życiu ktoś pozwala mi je zdjąć. I domagać się odpowiedzi.

– Nie chodzi tylko o Jessego. – Od jak dawna chciałem wyrzucić z siebie te słowa? Przynoszą ukojenie, ale i ból. – Musisz wiedzieć, że od tamtej pory z tym walczę. Ze swoją siłą. Z tym... przekleństwem.

– Przestań. – Opuszcza ręce. Twarz ma znowu ściągniętą gniewem. – To nie przekleństwo. Ty nie jesteś przekleństwem!

– W takim razie powiedz mi, czym jestem! – krzyczę i też wstaję. Nie chcę tego, bo w tym stanie w każdej chwili mogę wybić dziurę w ścianie albo zdemolować któryś ze stylowych regałów Reg. Ale krew gotuje mi się w żyłach ze wściekłości.

Mama wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

– Dlaczego teraz, Max? Dlaczego chcesz...

– Czy mój ojciec był kiedyś z nami? – Już zadawałem jej to pytanie. Powtarzam je w rozpaczliwej próbie poznania prawdy. Może tym razem się uda. „Boże, błagam, niech tym razem się uda”. – Był, mammo? W ogóle wie o moim istnieniu? Żyje?

Odwraca się i przygarbiona wczepia dłonie w regał z książkami, aż jej kłykcie bieleją.

– Już ci o nim opowiadałam. Poznaliśmy się w Egipcie, kiedy byłam wolontariuszką Healers with Heart. Twój ojciec też tam był. Był... zupełnie inny od całej reszty. Jak nie z tego świata. Jednym spojrzeniem potrafił zwalić kobietę z nóg. – Gdy znowu się do mnie odwraca, uśmiecha się przez łzy. – I zwałił mnie z nóg. Zakochałam się w nim, ale to była przelotna przygoda. Po kilku tygodniach zniknął, a ja zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży.

– I nigdy się nie dowiedziałaś, dokąd wyjechał? Ani skąd pochodził? Jej uśmiech blednie.

– To był szalony romans. Nie mieliśmy czasu na opowiadanie o sobie. Nie mówię ci tego z dumą, ale niekiedy... robi się rzeczy pod wpływem chwili, dając się porwać namiętności. Co nie znaczy, że nie ucieszyłam się na wieść, że jesteś w drodze. Kochałam cię bez pamięci, jeszcze zanim poczułam twoje pierwsze kopnięcie w brzuchu, zanim wzięłam cię w ramiona.

– Wiem, mammo.

Kończę zdanie z zaciśniętymi szczękami – ale nie dlatego, że jej nie wierzę. Wprost przeciwnie. Wiem, że mnie kocha. Że zrobiłaby dla mnie wszystko. Gdyby wpadli tu teraz włamywacze z bronią w rękę, zasłoniłaby mnie własnym ciałem. Nie pojmuję jednak tajemniczej siły, która nie pozwala jej wyjawić wszystkich szczegółów dotyczących mojego pochodzenia. Tej gigantycznej części prawdy o mnie.

Prostuję się, przyklejam stopy do podłogi i chowam ręce do tylnych kieszeni.

– To się zdarza. Byłaś sama, daleko od domu. Zakochałaś się w nieznanym w obcym miejscu.

– W Aleksandrii – szepcze z tęskną nutą w głosie.

Gdy tylko to słowo pada z jej ust, ziemia usuwa mi się spod stóp. Zastygam w bezruchu.

– W Kairze. Ostatnim razem mówiłaś, że w Kairze.

Mama przełyka z trudem.

– To było tak dawno.

– Czy to w ogóle było w Egipcie?

Milknie i unosi brodę.

– Bombardujesz mnie pytaniami, Max. To nie fair.

– *Sabah al hir* – warczę.

Przygląda mi się badawczo.

– Słucham? Co mó...

– *Sabah al hir* – powtarzam. – „Dzień dobry” w egipskim dialekcie języka arabskiego. Gdybyś naprawdę spędziła tam trochę czasu, tobyś wiedziała.

– Czemu mi to robisz? – pyta z płomiennym wzrokiem. – Dlaczego mnie karzesz?

– A dlaczego ja muszę naciskać, żeby poznać prawdę?!

Znowu krzyczę, ale nie dbam o to. W księgarni i przy barze nie ma żywej duszy – Sarah dyskretnie się ulotniła – więc obojgu nam puszczają hamulce. Jeszcze nigdy tak zażarcie się nie kłóciliśmy, ale też nic nigdy nie było dla mnie tak ważne. Zwłaszcza teraz. Zwłaszcza gdy zaczyna dosłownie gotować się ze złości.

Jestem gotów się nienawidzić za nowe łzy w jej oczach, ale pośpiesznie mruga i znikają. Z otwartych ust wyrzywa się jej dziwne westchnienie.

– Kto to? – pyta stanowczo.

– Słucham?

– Kto. To. Jest.

– O kogo pytasz?

– O tego, kto znowu nabija ci głowę tymi pytaniami. Ktoś musi za tym stać. I każe ci rozdrapywać tę ranę. Która i mnie boli, zapewniam cię. Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Kręcę głową i mam ochotę odparować, że moja wyobraźnia jest bujniejsza, niż jej się wydaje.

– Ta rana nigdy się nie zasklepiła – mówię zamiast tego. – Bo nigdy nie poznałem całej prawdy. – Słyszę smutek w swoim głosie, choć jestem od niego oderwany zmysłami. Jeszcze chwila, a synapsy się połączą i stracę nad sobą resztki kontroli.

– Powiedz mi tylko kto to – naciska.

– Nikt.

Do diabła, jeśli mama chce twardo obstawać przy ukrywaniu przede mną prawdy, ja mam prawo do tego samego. Na domiar złego wszystko, co reprezentuje sobą Kara – jej status w moim życiu zawodowym i dominacja nad uczuciowym – za bardzo przypomina metaforyczną nić mojej samokontroli. Jest delikatna, wyjątkowa i nieprzyjemnie napięta.

– Nikt, hę? – Mama przekrzywia głowę i krzyżuje ręce na piersi. – To czemu wbijas wzrok w podłogę, „niczyj synu”?

– Okej, zrobmy tak. Ty powiesz mi wszystko, o co proszę, a ja odpłacę się tym samym.

– Odpłacanie się nie ma tu nic do rzeczy! – odpiesza, gniewnie szlochając. – Tu chodzi o twoje...

Przerywa i znowu wzdycha, tym razem z głębi siebie. Sprawia wrażenie niemal... spanikowanej.

– O moje co, mamó? Po prostu mi powiedz!

Przez chwilę kołysze się w miejscu, a jej oddech przypomina huragan emocji. Zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy, i próbuję odczytać płonące w nich rozgorączkowanie.

O cholera. Jest naprawdę przerażona.

– Mu... muszę już iść.

– Dokąd? – wyrzucam z siebie. – Dlaczego, mamó?

– Wybacz mi, Max – mówi ochryłym głosem. – Przepraszam... jeśli cię zawiodłam.

– Zawiodłaś? – To brzmi niedorzecznie. Owszem, jestem na nią wściekły, ale na pewno w niczym mnie nie zawiodła.

Nie mam jednak szansy jej o tym powiedzieć, bo odwraca się i rusza prosto do drzwi. Część mnie chce za nią pobiec i zatrzymać ją, ale inna część wie, że to niczego nie zmieni. Oboje musimy ochłonąć, a to się nie uda, kiedy żadne z nas nie chce ustąpić pola – ani rozwiązać języka.

Chwilowo może to i lepiej. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

Nie mam pojęcia, jak rozmawiać o Karze, zwłaszcza z mamą. Gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że albo brakowałoby mi słów, albo wprost przeciwnie. Tak czy siak nie potrafiłbym opisać niezmierniej mocy, którą ma nade mną ta kobieta.

Ale jak to możliwe? I *dlaczego*?

Przecież nadal ledwo ją znam. Ta świadomość dzwoni mi w głowie nawet teraz, gdy skosztowałem każdego milimetra jej języka, desperacko

wędrując dłońmi po jej drobnym gibkim ciele, jakby od tego zależało moje życie. To dzwonienie staje się coraz głośniejsze jeszcze długo po tym, jak milknie mosiężny dzwonek nad drzwiami po wyjściu mamy...

Zostawiła mnie samego z gniewnym zamętem i czarnymi dziurami w pamięci. Z niesłabnącą obsesją na punkcie kobiety, która stawia mi opór swoim ogniem, szczerością, prawdą... nawet kiedy nie znajdujemy się w tym samym pomieszczeniu.

Opuszczam głowę na sofę i zamykam oczy. Przy odrobinie szczęścia złapię parę minut snu. Ale coś mi mówi, że to marzenie ściętej głowy. Coś, co ma związek ze świeżym obrazem Kary, który pojawia się pod moimi powiekami.

Chyba już mogę go nazwać oficjalną konkluzją tej nocy i poranka.

Mam przechłapanie.

Kara

ZAJĘCIE MIEJSCA w pierwszym rzędzie mogło być błędem. Szepty i szmery w sali wykładowej jak nigdy nie chcą ucichnąć. Ale czy mogę się dziwić? Odpowiedź to ciężkie, pełne rozczarowania „nie”.

Jeszcze bardziej rozprasza mnie Maximus, który za wszelką cenę stara się na mnie nie patrzeć. Gdy już to robi, jego spojrzenie rozpala mi zmysły do czerwoności, niemal dorównując pasji, z jaką czyta na głos pieśni poematu, jak wcześniej dyrygując sobie palcami. I jego nieme zmieszanie, gdy zadaje pytanie i wywołuje kogoś do odpowiedzi, za każdym razem mnie pomijając.

Próbuję stłumić rosnącą frustrację. Czemu zmusił mnie do wyjścia z cienia tylnych ław, skoro teraz mnie ignoruje? Tak mija nam połowa zajęć i wreszcie godzę się z tym, że jestem dla niego niewidzialna. Rzuca łatwe pytania i otrzymuje łatwe odpowiedzi.

– Dusze skazane na drugi krąg piekła porzuciły rozsądek na rzecz swoich żądz. Ich grzechem było uleganie zmysłom, więc teraz targa nimi wieczna wichura. Co symbolizuje ten huraganowy wiatr?

Tym razem nikt nie zgłasza się do odpowiedzi, pewnie z powodu erotycznego podtekstu. Przewracam oczami i podnoszę rękę.

Po chwili wymownej ciszy Maximus odchrząkuje.

– Kara.

– Pożądanie – odpowiadam sucho.

Kilka siedzących za mną osób chichocze pod nosem.

Maximus zaciska usta, kiwając głową.

– Zgadza się. Naturalnie Dante rozpoznaje najznamienitszych mieszkańców tego kręgu. Semiramida, Dydona, Helena Trojańska, Parys. Wreszcie Paolo i Francesca, którzy w chwili wytchnienia opowiadają mu swoją smutną historię. Niektóre z tych postaci i ich opowieści są wam znane, inne nie. Na pierwszy rzut oka łączy je jedno, prawda? Namiętny romans, który źle się kończy. – Przerzywa, gładząc brodę palcami aż po sam koniuszek. – Czy ktoś zauważył wyjątek od tej reguły?

Na sali zalega cisza. Pośpiesznie przypominam sobie historie wszystkich wymienionych postaci. Cudzołóstwo, zdrada, namiętność, żądza, wojna, dramatyczne samobójstwo na niedokończonym stosie pogrzebowym.

„Mam”.

Moja ręka wystrzeliwuje w górę. Maximus udaje, że szuka wzrokiem innych ochotników. Ale nie ma szans, żeby ktoś jeszcze to wiedział. Wreszcie wraca do mnie z zaciśniętymi wargami. Jego usta nieznacznie się rozszerzają i raz jeszcze wywołuje mnie do odpowiedzi.

– Dydona.

Nic nie mówi. Wiem, że to poprawna odpowiedź, ale zastanawiam się, czy w duchu ma nadzieję, że się w końcu pomylę. Wyzwanie karmi mojego wewnętrznego potworka. Może to uśpiony instynkt... a może coś tkwiącego głębiej. Wiem tylko, że to coś lubi być pobudzane. Bardzo.

– Dlaczego ona?

– Popełniła samobójstwo – wyjaśniam. – Miała romans, ale kiedy Eneasza ją zostawił, zabiła się.

– I co to oznacza?

Wzruszam ramionami.

– Minos się pomylił, przypisując ją do drugiego kręgu. Albo wysiadła na złym piętrze. Samobójcy to siódmy krąg. – Uśmiecham się, widząc, jak sam powstrzymuje się od uśmiechu.

– Albo Dante miał po prostu słabość do kochanków. – Patrzy na moje usta, a potem w oczy. Wreszcie. – Nie doszliśmy jeszcze do siódmego kręgu. Przeczytałaś na zapas?

Odgarniam włosy za ucho i opieram się na łokciu.

– Nie. Przystudiowałam mapę.

– No jasne – woła ktoś wrednym głosem.

Maximus rzuca wkurzone spojrzenie w kierunku krzykacza, ale po jego strzelających oczach widać, że nie potrafi wskazać winowajcy. Niech się zacznie przyzwyczajać. Chociaż nadal nie jestem przekonana co do tego pierwszego rzędu, więc może nie będzie musiał.

Okrąża biurko i podnosi gruby plik materiałów. Z ulgą opieram się plecami o krzesło, gdy zaczyna rozdawać wydrukowane komentarze do eseju zadanego na zajęciach, które mnie ominęły.

Tu i ówdzie na sali rozlegają się szepty oburzenia i się uśmiecham. Więc jednak jest surowy przy ocenianiu prac.

– Jak widać, większość z was mogłaby się nieco bardziej poświęcić pracy nad tekstem i zarazem poprawić swoje oceny. Radzę przeczytać dokładnie moje uwagi. Nikt nie lubi, gdy się go poprawia, ale moim celem jest nauczyć was krytycznego myślenia. To jedna z umiejętności, które warto w życiu rozwijać. Co piątek czekam na wasze streszczenia. Poślij ze złożeniem skutkuje tym samym, co jego brak. Bez wyjątków. Jeśli macie jakieś pytania, chętnie odpowiem na nie na dyżurze.

Po tych słowach kończy zajęcia i wypuszcza nas z sali. Uśmiech zadowolenia schodzi mi z ust, bo nie dostałam z powrotem swojej pracy. Myślałam, że złożenie jej osobiście zniweluje spóźnienie, ale wygląda na to, że się przeliczyłam.

Gdy sala się opróżnia, podchodzę do niego.

– Maximusie?

Zero odpowiedzi. Nawet kiwnięcia głową.

– Panie profesorze? – próbuję dalej. – Nie dostałam z powrotem swojego streszczenia.

Unikając mojego wzroku, wpycha do torby swój egzemplarz *Boskiej komedii* i jakieś papiery.

– Powiedziałem, że na pytania o prace zaliczeniowe odpowiadam na dyżurze.

Wyrywa mi się ironiczne parsknięcie.

– Który zaczynasz po tych zajęciach. Co za różnica?

Podnosi wzrok.

– Różnica jest taka, że nie jesteś moją jedyną studentką, Karo. A dyżur odbywa się w moim gabinecie. – Unosi brew, patrząc na mnie jak na idiotkę, która w bezczelny sposób domaga się wyjaśnień od wykładowcy.

Zaciskam szczęki i zmuszam się do uśmiechu.

– Dobrze, panie profesorze. Chyba możemy tam przejść razem.

Wzdycha ciężko i wymija mnie. Próbuję dotrzymać mu kroku w drodze do Budynku Archera. Gdy wreszcie docieramy do jego gabinetu na trzecim piętrze, z ulgą widzę, że plastikowe krzesło przed jego drzwiami jest puste.

– Wow – mówię, wchodząc za nim do niewielkiego pokoju. – Naprawdę myślałam, że kolejka będzie dłuższa.

Opada na fotel za biurkiem.

– Zamknij drzwi.

Robię, o co prosi, starając się nie myśleć o tym wszystkim, co wolałabym z nim robić za zamkniętymi drzwiami, zamiast prowadzić śledztwo w sprawie mojej zaginionej pracy.

Gdy się odwracam, wygląda przez okno, w zamyśleniu gładząc się kciukiem po dolnej wardze. Tyle wystarczy, żebym wróciła pamięcią do tych ust i ich dotyku na moich wargach. Do tego, jak ich szukałam. I jak one szukały moich...

Siadam naprzeciwko niego.

– To o co chodzi?

– Wypisuję cię z grupy.

Serce przestaje mi na chwilę bić.

– Słucham?

– Opuściłaś ważne zajęcia i nie zaliczyłaś zadanego na piątek streszczenia.

Otwieram usta, ale jest szybszy.

– A nawet gdybyś się nie spóźniła ze złożeniem, praca była... – Podnosi długopis i zaczyna pośpiesznie nim pstrykać. – Poniżej normy.

Podrywam się z miejsca.

– Bzdura.

– Literatura nie jest twoją najmocniejszą stroną, Karo. To widać po tym, jak formułujesz myśli. Lepiej będzie, jeśli zapiszesz się na seminarium ze swojej specjalizacji. Jestem pewien, że masz znakomitą średnią. Nie ma sensu jej obniżać na sam koniec.

Obchodzę jego biurko. Moja skóra płonie, ale z zupełnie innych powodów, niż kiedy byliśmy tak blisko siebie poprzednim razem. Wykręca się z krzesłem twarzą do mnie.

– Kłamiesz. – Wymierzam w niego oskarżycielsko palec. – A poza tym czekałam trzy lata, żeby zapisać się na te zajęcia. Nie możesz mnie z nich wyrzucić bez powodu.

Nie przestaje pstrykać długopisem, więc wyrywam mu go z ręki i rzucam przez pokój. Zamyka oczy, jakby modlił się o opanowanie do mistrza zen.

– To się nie uda – mówi cicho. – Dobrze wiesz dlaczego. Nie muszę ci tego mówić jak dziecku.

– Od dziesięciu minut traktujesz mnie pretensjonalnie, więc czemu teraz to przerywać?

– Karo... Musimy z tym skończyć, zanim oboje zrobimy coś, czego będziemy żałować.

– Na przykład?

Oczy mu ciemnieją, przemieniając mój gniew w coś równie intensywnego. W coś, przez co mogłabym wylądować w drugim kręgu piekła, gdybym już nie była skazana na gorszy los. Biorę uspokajający wdech, krzyżuję ręce na piersi i opieram się biodrem o krawędź jego biurka.

– Pociągam cię – mówię.

– Nie da się ukryć – ucina cicho.

– W porządku. – Wciągam głęboko powietrze. Z jakiegoś powodu nie spodziewałam się jego odpowiedzi. Nie tak bezceremonialnej. – Ty mnie też. A w moim przypadku to... rzadkość.

Marszczy brwi.

– Pociąg fizyczny nie jest mi obcy – dodaję – ale generalnie nie mam problemów z ignorowaniem go. Przyciąganie między nami jest silniejsze od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczyłam, ale to coś więcej. Jest w tobie coś wyjątkowego i nie potrafię tego rozgryźć. Choć to

niebezpieczne i teraz doprowadza nas oboje do szaleństwa, nie mogę z tego zrezygnować, dopóki się nie dowiem, co to takiego.

Przez dłuższą chwilę tylko na mnie patrzy, jakby się zastanawiał, co ze mną począć. Przygotowuję się psychicznie na kolejne odrzucenie, ale mam nadzieję, że już wie, że to ze mną nie przejdzie.

– Wiem, że jestem inny – mówi wreszcie.

To krótkie wyznanie odbiera mi mowę. Boję się powiedzieć coś, przez co nabierze wody w usta, więc milczę i czekam.

– Tylko nie wiem dlaczego. I dopóki nie zaczęłaś ładować mi się w przestrzeń osobistą, nie zaprzętałem sobie tym głowy.

– Czego się boisz?

– A kto powiedział, że się boję?

Rozplątam ręce i powoli wędruję opuszkami palców po grzbiecie jego dłoni. Czekam, aż ją zabierze, ale tego nie robi, więc nabieram jeszcze większej śmiałości.

– Ja też jestem inna, Maximusie. Choć w twoich oczach nie widziałam strachu, kiedy odsunąłeś się ode mnie w sobotę, czułam go. – Gdy sztywnieje, postanawiam otworzyć przed nim drzwi do mojego świata odrobinę szerzej, choć wiem, że nie powinnam tego robić. – Istoty ludzkie... – „Zły początek”. – Od ludzi biją wibracje. Niektórzy umieją odczytywać język ciała albo wyczuwają feromony, a ja wyczuwam wibracje, co w tłumie potrafi być przytłaczające. Podobnie jak w towarzystwie kogoś, od kogo biją silne emocje. – Oblizuję usta, bojąc się, że powiedziałam za dużo. – Na przykład w twoim.

– To brzmi jak jakieś szaleństwo. Wiesz o tym, prawda?

Opieram się chęci, by czymś w niego rzucić.

– Cóż, gdybyś ty zaczął rozpowiadać, że umiesz giąć metal jak słomkę, ciebie też uznano by za wariata. Proponuję ustanowić między nami strefę

wolną od osądów, co ty na to?

Wzdycha.

– Niech będzie. Nie wiem. Powiedzenie tego na głos sprawia, że to takie...

– Realne?

– Może. Nie powinienem być zdolny do tego, do czego jestem.

– A ja czuć tego, co czuję. A jednak.

– To co teraz? Będziemy się pławić w naszych dziwactwach na moich dyżurach? To niezbyt konstruktywne.

Przekrzywiam głowę.

– Może kolacja?

Źrenice lekko mu się rozszerzają.

– Gdybyśmy się pokazali razem publicznie...

– Paparazzi mieliby używanie, a twoja twarz znalazłaby się we wszystkich brukowcach jak kraj długi i szeroki. Wiem. To dla mnie normalka, pamiętasz? Umiem robić uniki.

Łypie na mnie podejrzliwie.

Nachylam się nad nim, sięgając po drugi długopis, i na marginesie mojej niesprawdzonej pracy zapisuję swój adres.

– Spotkajmy się tam o szóstej. Kolacją ja się zajmę.

Oczy mu błyszczą, a mnie przeszywa nowy dreszcz podekscytowania.

– Hm. Kobieta z planem.

– Może. – Uśmiecham się półgębkiem. – No dobra, na pewno. Tylko ubierz się w coś wygodnego.

Mam już wyjść, gdy nagle łapie mnie za rękę i zatrzymuje przy sobie. Nasze spojrzenia się spotykają.

– Jesteś pewna?

Unoszę brwi.

– Co do kolacji?

– Nie.

Muska kciukiem mój nadgarstek. Ten gest jest tak słodki i delikatny, że muszę się powstrzymać przed wejściem mu na kolana i dogłębnym zbadaniem jego ust, dotyku, wszystkiego...

– Jesteś zdeterminowana, by mnie rozgryźć. A nie przeszło ci przez myśl, że może ci się nie spodobać to, co odkryjesz?

– Nie. – „Ani razu”.

– To cię nie martwi?

Kręcę głową.

– Gdybym chciała cię widzieć tylko z najlepszej strony, nie byłoby mnie tu.

– Ale co, jeśli...

– Poradzę sobie, Maximusie. – To także nie jest kłamstwem. Uspokajam go pewnością w oczach, gdy nasze spojrzenia znowu się spotykają. – Dam sobie z tobą radę.

„Z całym tobą”.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek tak bardzo pragnęłam wyzwania. Mam nadzieję, że widzi to w moich oczach, choć nie mam pewności. Bo gdy tym razem się od niego odsuwam, pozwala mi odejść.

ROZDZIAŁ 12

Maximus

– TO JEST... WOW.

Mówiąc to, nie patrzę na Karę, ale jej ciche przytaknięcie oznacza, że mnie usłyszała.

– Cóż, stąd nie wydaje się takie przytłaczające, to na pewno.

Wychwytyję mroczną nutę w jej odpowiedzi, gdy przyglądamy się z góry zabudowaniom modnego Los Feliz i Hollywood. Panorama śródmieścia kilka kilometrów dalej tonie w barwach parnego wrzesniowego zachodu słońca. Z tej wysokości ogromne budynki przypominają miniaturki na filmowej makiecie do efektów specjalnych.

Po chwili milczenia przechodzi przez ubitą ziemię duktu Griffith Park, żeby stanąć trochę bliżej mnie. Jest na wyciągnięcie ręki i nie mogę się oprzeć pokusie. Choć raz czuję, że tak trzeba. Przyciągam ją do siebie i przytulam. Czuły dotyk jej rozpostartej dłoni na moim brzuchu tylko potwierdza, że dobrze zrobiłem. Obejmuję ją i wyciągając palce, muskam niesforne kosmyki, które oswobodziły się z jej uroczego kucyka.

Pod każdym względem ta chwila jest bardziej intymna niż erotyczna, choć przecież cały dzień na nią czekałem. Ale teraz... po prostu jesteśmy razem. Zupełnie jakbyśmy się znali dłużej niż te osiem dni.

Przytula policzek do mojego ramienia.

– Miałam przeczucie, że ci się spodoba.

– „Przechucie”, tak?

Każdą sylabę wymawiam znaczącym tonem. Może jej dar należy bardziej do sfery intuicji niż parapsychologii, ale nie zapomniałem o tym, co mi wyznała dziś rano w gabinecie. O wibracjach, które wylapuje. Że czuje je ode mnie. Nieprzepraczone. Ja z kolei wciąż nie umiem znaleźć słów, by opisać, jak się przy niej czuję.

– Ten szlak jest trochę mniej popularny – ciągnie, ignorując mój komentarz. – Ludzie z reguły wybierają łatwiejszą trasę z drugiej strony wzgórza, zamiast się męczyć na dukcie.

– Trudniejsza droga mnie nie odstrasza – zapewniam ją, chichocząc. – Ale co do tego też miałaś przeczucie, prawda? – dodaję i słyszę jej śmiech, cieplejszy od zachodzącego słońca.

Odchyła głowę i rzuca mi lekki uśmiech.

– Niektóre rzeczy w tobie łatwiej zrozumieć od innych.

– To znaczy? – pytam pół żartem, pół serio. Dopiero po fakcie zdaję sobie sprawę, że mój lekki ton to niepotrzebny trud. Przenikające na zewnątrz emocje pewnie już mnie zdradziły. Moja energia. Moje oczarowanie nią. Radosne zdziwienie, że wybrała drzewa i ziemię zamiast jakiejś sztywnej snobistycznej restauracji.

Tak jak można się było spodziewać, odpowiadając, starannie dobiera słowa.

– Twoje upodobanie do wysiłku fizycznego trudno nazwać pilnie strzeżoną tajemnicą. – Przetyka ślinę i przesuwając dłoń na moją klatkę piersiową. – Nie żebym narzekała.

Krew momentalnie zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

– Karo Valari – zaczynam cichym żartobliwym tonem. – Czy ty ze mną flirtujesz?

Odrzuca głowę do tyłu, wybuchając śmiechem. W jej aksamitnych brązowych oczach dostrzegam złote plamki. Jej dolna warga znika pod zębami.

– A chcesz, żebym z tobą flirtowała? – pyta, przerywając mój moment fascynacji.

Szurając stopami po ubitej ziemi, odwracam się, by spojrzeć jej w oczy.

– Nie wiesz?

Przesuwam dłoń na jej biodro, jakbym to robił setki razy. Mam cholerną ochotę zejść niżej, zwłaszcza że ta kusicielka ubrała się w tak krótkie dzinsowe szorty, że Daisy Duke mogłaby się schować. W duchu dziękuję jej, że nie zdejmuje dłoni z mojej piersi, bezwiednie pomagając mi trzymać pożądanie na wodzy.

Ale żadna siła na świecie nie jest w stanie powstrzymać tego, co się dzieje w moim wnętrzu.

Po raz kolejny budzę się pod jej dotykiem. Czuję ją każdą komórką ciała. Ten przepływający między nami płomienny impuls światła i barw, niczym złociste niebo o zachodzie słońca...

Na którym nagle roi się od wirujących gwiazd.

Zachowuję ten romantyczny obraz dla siebie. To myśl, nie emocja, więc powinna być przed nią bezpieczna. Wieczorny wietrzyk przybiera na sile, zdmuchując z pobliskiego skupiska kostrzew pierzaste baranki i Kara chichocze, gdy nas obsiadają.

– Ma pan gwiazdy we włosach, panie profesorze.

– Pani również, panno Valari. – Strzepując jej z brwi pyłek, nie mogę powstrzymać uśmiechu. – I tu... i tu.

Usunąwszy puch z jej dolnej wargi, nie zabieram palców.

Rozkoszuję się jej urywanym oddechem. Blaskiem zachodzącego słońca i pożądaniem w jej oczach. Przyciskając kciuk do kącika jej ust,

ujmuję w palce jej policzek.

– Gwiazdy – powtarzam, dostrajając emocje do słów. Wiem, że mnie rozumie. Wiem, że mnie czuje. Upaja się moją adrenaliną i zachwytem, odwzajemniając się tym samym. Zupełnie jakbyśmy byli dla siebie narkotykiem. Po raz pierwszy bez oporów wzlatuję wyżej niż latawiec.

– Myślisz, że gdzieś nas prowadzą? – pyta ciepłym jak wiatr szeptem.

Dopasowuję się do jej ciała.

– Jeśli do nieba, to jestem już w połowie drogi – odpowiadam równie ciepło chrapliwym głosem. Wydaje mi się, że te słowa idealnie pasują do tej chwili, dopóki Kara nie odsuwa się ode mnie, niemal potykając się o własne nogi.

„Co, do diabła?”

– Za parę minut zajdzie słońce – mówi pośpiesznie. – Ścigamy się do obserwatorium? Dokończymy rozmowę przy kolacji. – Przekrzywia głowę i mruga, ewidentnie starając się rozładować ciężką atmosferę, która spadła na nas niczym ołowiana chmura.

Mam ochotę wziąć ją w krzyżowy ogień pytań o tę nagłą zmianę, ale intuicja mnie przed tym powstrzymuje. Próba wyciągnięcia z niej czegoś, czym nie chce się podzielić, zwłaszcza na tym szlaku, jest z góry skazana na niepowodzenie.

Tu trzeba się wykazać sprytem. I wyczuciem czasu. Innymi słowy dwiema umiejętnościami, którymi nijak nie mogę się pochwalić. Co oznacza tylko jedno: muszę sobie zadać niewyobrażalne pytanie.

„Co zrobiłby Jesse?”

To nie do wiary, ale owo pytanie staje się moim kołem ratunkowym, gdy wspinam się za nią na szczyt wzgórza. Ostatni fragment szlaku jest naprawdę stromy, więc Kara musi używać mięśni pośladkowych, ukazując

je w całej ich wyrzeźbionej krasie – i w tych zabójczo seksownych szortach.

Przed wzwodem ratuje mnie tylko wyobrażenie sobie, jak Jesse ugryzłby ten temat. Co za ironia losu. Ja mam dwie sprawne nogi i brak języka w gębie. Jesse z kolei do końca życia jest skazany na wózek, ale gadkę ma taką, że namówiłby zakonnicę do wyskoczenia z majtek.

Jak da się zauważyć, Kara Valari raczej nie włożyła dziś majteczek. Nie żeby moim celem było skłonienie jej, by z nich wyskoczyła. Wystarczy, jeśli się przede mną otworzy. Bo zapomniawszy o własnych lękach, zaczynam podejrzewać, że ma cały worek tajemnic.



Rozsiadam się wygodnie i patrzę na resztkę uczyty, którą spałaszowaliśmy.

– Nie do wiary, że udało ci się to wszystko przygotować w parę godzin. Nie, cofam to. Nie do wiary, że udało ci się to wszystko przygotować.

Choć jej uroczy kucyk pozwala mi podziwiać każdy milimetr powabnego rumieńca na jej policzkach, mam ochotę ściągnąć jej gumkę i uwolnić te gęste fale. I to niejedyna pokusa, z jaką od godziny walczę.

– Naprawdę się cieszę, że dobrze się bawisz – odpowiada ze słodkim uśmiechem, od którego robi mi się sucho w ustach, a zmysły zamieniają się w papkę. W dobrym tego słowa znaczeniu. Bardzo dobrym. Choć zza stoliczka, który jakimś cudem udało jej się rozstawić na tarasie, widok jest jeszcze lepszy niż ze szlaku, nie mogę oderwać oczu od siedzącej naprzeciwko mnie piękności.

– Czy się dobrze bawię? – Prycham. – Dobrze się bawić to można na plaży albo w teatrze. Ale ten wieczór jest...

„Romantyczny. Ważny. Najwspanialszy” – myślę, lecz nie mówię tego na głos.

Kara uśmiecha się z zaciekawieniem.

– Jaki?

Znowu mam ochotę ubrać swoje uczucia w słowa, ale wciąż czuję gorycz po jej reakcji, gdy odważyłem się na to wcześniej, na szlaku. Zamiast tego wrzucam więc do ust oliwkę i wpatruję się w panoramę miasta.

– Upajający.

Jej melodyjny śmiech z powrotem ściąga na nią moją uwagę.

– Więc jak ci się to udało?

W odpowiedzi uśmiecha się kokieteryjnie i absolutnie urzekająco.

– Co takiego?

– Wiesz co – odparowuję. – W poniedziałki obserwatorium jest zamknięte. W dzieciństwie, kiedy mieliśmy z Jessem wolny poniedziałek, wkurzaliśmy się, bo trzeba było znaleźć sobie inne zajęcie. Obserwatorium zawsze było najfajniejszą opcją.

– Powiedzmy, że znam kogo trzeba – odpowiada z uśmiechem zawstydzenia. Sięga przez stół i splata palce z moimi. – To często tu przychodziliście?

– Można tak powiedzieć. Wstęp wolny, klimatyzacja i fantastyczne prezentacje o kosmosie. Dla dwóch chłopaczków ze śródmieścia, którzy już wiedzieli na ten temat więcej od nauczycieli i których matki nie mogły sobie pozwolić, by wziąć wolne w pracy, nie było nic lepszego.

– To dopiero brzmi upojnie.

W podziękowanie za ten niewymuszony żarcik ściskam jej dłoń.

– Nawet jazda do obserwatorium była przygodą. Ładowałem Jessego i jego wózek do autobusu numer dwa i w drogę. – Na te wspomnienia się uśmiecham i kręcę głową. – Niektóre postacie z tego autobusu... nie uwierzyłybyś, gdybym zaczął ci opowiadać.

– Powtórz to po godzinie na jednym z przyjęć mojej babci.

– Jest aż tak źle? – Mój czuły ton jest odpowiedzią na jej posępne słowa. – Należę do rodziny Valarich? – precyzuję. – Blaski pewnie są trochę na wyrost, stąd tylu hejterów. Ale prawda pod całą tą otoczką jest trochę inna, mam rację?

Kara rozplata nasze dłonie i opiera się plecami o krzesło. Oczy ma błyszczące jak księżyc na ciemnym niebie tuż nad kopułą obserwatorium.

– Wybacz. Wściubiam nos w nie swoje sprawy. – Sfrustrowany przeczesuję palcami włosy, bojąc się, że zepsułem idealny wieczór. – Ludzie pewnie ciągle próbują wyciągnąć z ciebie jakieś informacje. Cholera...

– Nie o to chodzi. – Twarz ma ściągniętą, ale widać, że mówi szczerze. – Po prostu chyba jeszcze nigdy nie pytał mnie o to ktoś, komu na mnie... zależy.

Nachylam się, oparłszy łokcie na stoliku.

– Tak, zależy mi na tobie. – „Aż za bardzo”. – Jeśli będziesz chciała porozmawiać, na jakikolwiek temat, zawsze cię wysłucham.

Śmieje się cicho.

– Na przykład na temat blasków mojego bajkowego życia?

– Jak mówię, na jakikolwiek temat. – By podkreślić swoją szczerłość, wyciągam rękę i opuszkami palców muskam jej kłykcie, przesuając się powoli ku nadgarstkowi.

Wzdycha ciężko.

– Moja rodzina jest... skomplikowana.

– Jak większość rodzin.

– Pewnie można odnieść wrażenie, że media roztrząsają każdy szczegół naszego życia. To dopiero zniekształcenie rzeczywistości. Prawie nic nie jest takie, jakie się wydaje. Poza tym jesteśmy pełni sprzeczności. Niby chronimy swoją prywatność, ale wcale tak nie jest. Niby jesteśmy ze sobą zżyci... ale to też nieprawda.

Marszczę brwi.

– A Kell? Wydajesz się z nią bardzo zżyta.

Kara kiwa głową.

– Bo jestem. A w każdym razie bardziej niż z resztą.

– Jesse ma ją w jednej ze swoich grup. – Uśmiecham się półgębkiem, przypominając sobie jego słowa. – Był zdziwiony, że reprezentuje sobą coś więcej niż tylko profile w mediach społecznościowych.

Kara chichocze.

– To prawda... – Macha ręką w powietrzu, jakby chciała w ten sposób przywołać prawdę. – W naszej rodzinie wszystko ostatecznie sprowadza się do wizerunku. Albo prawie wszystko.

– Nie wyobrażam sobie ciągłego życia na świeczniku. – Nie odpowiada, ale czuję, że ma ochotę na więcej zwierzeń, mimo że ten temat ją stresuje. – Chyba jesteś jedyną osobą noszącą to nazwisko, która nie chce, żeby cały świat o tym wiedział.

– Nie mylisz się. – Ucieka wzrokiem i zmusza się do lekkiego uśmiechu. – A ty, dlaczego postanowiłaś zostać profesorem literatury?

Ani na sekundę nie oderwałem wzroku od jej twarzy, więc dobrze wiem, że to celowa próba zmiany tematu. Pewnie myśli, że powiedziała mi więcej, niż powinna. Choć dopiero ją poznaję, po tym, jak przygryza usta, widzę, że się denerwuje. Jestem dla niej kimś prawie obcym, kto za odpowiednią cenę mógłby sprzedać jej wyznania.

Udowodnię jej, że nie ma się czego obawiać. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że sam będę musiał się przed nią bardziej otworzyć.

– Zostanie wykładowcą nie było moim marzeniem z dzieciństwa ani nic w tym guście – odpowiadam. – Ale nie narzekam. Lubię tę pracę.

– Czyli po prostu tak ci się w życiu ułożyło? – Mruga i przygląda mi się badawczo, jakby chciała wyciągnąć ze mnie lepszą odpowiedź.

– Jeśli można tak powiedzieć o pracy uniwersyteckiej. To pewnie możliwe, gdy zdajesz sobie sprawę, że twoją jedyną prawdziwą pasją jest czytanie.

Jej spojrzenie tężeje, ale nie potrafię go odczytać. Zaczyna się bawić serwetką i wiem, że mógłbym teraz skierować rozmowę z powrotem na nią, ale coś mi mówi, żeby tego nie robić. A w zasadzie parę „cosi”.

Wzdycham głęboko.

– Kiedy byłem młodszy... po wypadku Jessego... zagrzebałem się w książkach. Były bezpieczne. – Przerywam. – Przewracając kartki, nie mogłem nikogo skrzywdzić.

Kiwa głową. Nie ze współczuciem, lecz z milczącym zrozumieniem.

– Zrezygnowałem ze sportu i potrzebowałem czegoś do zabicia czasu. Czegoś, czym zajmę rozbiegane myśli. Więc zacząłem spędzać mnóstwo czasu w księgarni.

– W Recto Verso?

– Tak. Reg i Sarah opiekowały się mną, kiedy mama była zajęta. Ich księgarnia w gruncie rzeczy stała się moją osobistą biblioteką. Dobrze się składało, bo pochłaniałem książki jak większość dzieciaków gry wideo.

– I? – W jej oczach pojawia się błysk, jakby wiedziała, że jest ciąg dalszy.

– I... W tych wszystkich klasykach literatury było coś, co mnie wciągnęło. Lubiłem rozgryzać ukryte znaczenia. Wyławiać perełki, którymi

męczę was na zajęciach.

– Każda opowieść ma swoją historię – dodaje Kara.

– Otóż to! – Jak dobrze móc to wreszcie zawołać z nieskrywanym entuzjazmem. – A poza tym bez względu na komplikacje bohater zawsze znajduje wyjście z sytuacji. Za każdym razem. – Dla uspokojenia patrzę w zamyśleniu na linię horyzontu, rozkoszując się ostatnimi gasnącymi barwami nieba. Gdy wreszcie odrywam od nich wzrok, napotykam jej spojrzenie. – Po tym wszystkim, co się stało, potrzebowałem tego. Potrzebowałem wiary, że z tego wyjdę. I że...

– Co? – dopytuje, gdy przerywam i stukam palcami w stół.

– I że... Jesse też z tego wyjdzie.

Upija duży łyk wina.

– Jak rozumiem jesteś fanem szczęśliwych zakończeń.

Uśmiecham się półgębkiem.

– A kto nie jest?

– Hm... Może paru bardzo poważnych profesorów.

– Ja też podchodzę do teksów literackich bardzo poważnie. Ale snobem akademickim nie jestem.

– Twoje blezery z łatami na łokciach sugerują co innego.

Znowu się śmieję, tym razem odrzucając do tyłu głowę, a uśmiech, który posyła mi w odpowiedzi, jest niezaprzeczalnie najwspanialszym elementem wieczoru. Nagle żałuję, że nie mogę zatrzymać czasu, by dłużej cieszyć się tą chwilą. Zachwycać się delikatnym rumieńcem na jej policzkach. Widokiem zawiewanych na twarz włosów. Tą ucieczką we dwoje z dala od wścibskich oczu.

Zupełnie jakby czytała mi w myślach, rumieni się bardziej i spuszcza wzrok.

– Wejdziemy do środka?

– Tak.

Wstajemy, zostawiając kolację. Podbiegam do drzwi i przytrzymuję je Karze. Razem wchodzimy do rotundy i mijamy kolorowe ekspozycje.

– Chcesz poznać pewien sekret? – Jej głos odbija się echem od gładkich ścian i wyłożonych kafelkami podłóg.

Na dźwięk jej uwodzicielskiego tonu zatrzymuję się tak gwałtownie, że podeszwy moich sportowych butów skrzypią na marmurowej podłodze. Biorę ją za rękę i przyciągam z powrotem do siebie. Czując na piersi jej pierś, prawie zapominam o jej pytaniu. Jestem zbyt oszołomiony jej widokiem. Dumnie ściągniętymi szczupłymi ramionami. Pełnymi piersiami kontrastującymi z wcięciem w talii. I... – Boże dopomóż – tym, co skrywa się poniżej, o czym przez cały wieczór próbowałem nie myśleć... a o czym myślę obsesyjnie.

Wyraz jej twarzy chyba odzwierciedla mój. Oszołomienie, pociemniałe od pożądania oczy...

– Co to za sekret? – pytam szeptem. – U mnie wszystkie twoje tajemnice są bezpieczne.

Przez chwilę nic nie mówi, jakby powtarzała sobie w myślach moją szczerą obietnicę.

– Jeszcze nigdy tu nie byłam. W środku obserwatorium.

Robię wielkie oczy.

– Jaja sobie... to znaczy żartujesz sobie ze mnie?

Mruży powieki, posyłając mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Wszystkie sekrety jak kamień w wodę, panie Kane. Obiecałeś.

– Nadal jestem twoim sejfem – zapewniam ją. – Ale jak to możliwe, że tu dorastałaś i nie znasz tych wszystkich skarbów?

Jak na zawołanie odchyła do tyłu głowę i patrzy w górę.

– Wow.

Nie muszę podążać za jej wzrokiem, by wiedzieć, co zrobiło na niej takie wrażenie.

– Tutejszy sufit ma to do siebie, że wywołuje u ludzi taką reakcję – potwierdzam. – A ponieważ jesteśmy tu sami...

Kładę się na podłodze i pociągam ją za sobą. Teraz widzimy mural w całej okazałości.

– To dopiero życie pełne blasku – szepcze z niemałym zachwytem.

– Malowidło pochodzi z lat trzydziestych ubiegłego wieku, a jego autorem jest Hugo Ballin. Duży środkowy okrąg przedstawia bogów i boginie zodiaku na barkach Atlasa. – Mówiąc, wskazuję kolejne części muralu. – Mamy tu również Plejady i Zeusa bądź Jowisza, w zależności od tego, którą mitologię wolisz: grecką czy rzymską.

– Zeus. Hm. – W jej pełnym zamyślenia szepcie zdają się kryć nowe pokłady znaczeń. A może to tylko moje rozgorączkowane zmysły? Błędna interpretacja tonu w pustej sali? Moja wewnętrzna walka, bardziej zażarta niż wcześniej, by przycisnąć ją do siebie i całując do nieprzytomności, szeptać obietnice tego, co z nią zrobię?

W efekcie przełączam się na tryb profesorski. Ale gdy tylko nadarzy się okazja...

– Ballin nie wykazał się tu wielką oryginalnością – ciągnę. – Wiele konstelacji nosi imiona bogów, gdyż starożytni wierzyli, że chodzą między nimi. Każdy bóg i bogini otrzymali swoje miejsce na niebie jako wyraz czci i strachu przed ich gniewem. Im ważniejsze bóstwo, tym większa konstelacja. – Spoglądam na ogromną kopułę utrzymaną w stylu sztuki katedralnej. – To tak samo prawdopodobne jak bajeczka o bogach chodzących po ziemi i zadających się z ludźmi.

Kara siada, by na mnie spojrzeć.

– Bajeczka? Czemu? – dopytuje. – Tylko dlatego, że wierzyła w nią starożytna cywilizacja? Bo nazywa się „mitologia”, a nie „literatura”? Bo nie znajduje bezpośredniego potwierdzenia w nauce jako historia?

W pierwszej chwili nic nie mówię. Chyba czekam, aż się uśmiechnie i powie „tylko żartowałam”. Ale milczy, więc zaczynam się z nią spierać.

– Co ty mówisz? Chyba nie wierzysz, że zgraja nadprzyrodzonych istot hasa sobie po niebie w przerwach między popijaniem nektaru na Olimpie?

– Mówię, że na świecie i we wszechświecie jest wiele rzeczy, których nie da się objąć rozumem.

– No dobrze – odpowiadam powoli. – Na przykład?

– Na przykład Trójkąt Bermudzki – rzuca z marszu. – Albo rysunki z Nazca, Wielka Stopa czy zjawisko *déjà vu*. – Nachyla się nade mną, na nowo splata ze sobą nasze palce i znowu zaczyna przepływać między nami ta piękna, jasna energia. – Na przykład my, Maximusie – dodaje szeptem. – I... to.

Jest już za późno, gdy zdaję sobie sprawę, że nie oddycham. W Karze Valari jest coś dziwnego, zakazanego i innego. Ale też ciepłego, znajomego i dobrego.

„Tak cholernie dobrego...”

Kimkolwiek ona naprawdę jest, ten wspólnie spędzony czas tylko spotęgował moje pragnienie, by ją rozszyfrować. I odkryć wszystkie jej sekrety, choć jak na razie to ona pomaga mi odkrywać moje. Ale najpierw muszę zaspokoić jeszcze silniejsze pragnienie, by ją pocałować. Do utraty tchu. Bez względu na to, jak mnie to przeraża.

Wyciągam rękę, rozpuszczam jej włosy i przeczesuję palcami jedwabiste pasma, łapiąc ją za tył głowy. Powoli zbliżam ją do siebie. Nie mogę dłużej czekać na usta, które właśnie wypowiedziały te słowa. W tej

chwili dźwięczą mi w głowie niczym deklaracja wolności, a w sercu niczym manifest prawdy.

Gdy nasze wargi się stykają, coś mi mówi, że ledwie się ślizgamy po powierzchni głębszej prawdy, bojąc się zrobić kolejny krok – ale jeszcze bardziej boimy się, co będzie, jeśli go nie zrobimy.

Kara

CAŁOWANIE MAXIMUSA KANE'A odbiera jasność myślenia. Choć piekielnie stymuluje mój umysł, taka bliskość sprawia, że szybko zapominam o tym, jak bardzo do siebie pasujemy pod innymi względami. Jeszcze kilka sekund temu głowę miałam pełną gwiazdozbiorów, mitologii i tajemnic wszechświata – wszystkiego tego, co wraz ze znanymi mi prawdami roztrząsam od lat nauki.

Teraz krew się we mnie burzy, moja skóra płonie, a rozum zastąpiła wszechogarniająca żądza. Ludzka. Demoniczna. Możliwe, że niebezpieczna mieszanka tych dwóch. Ośmielona wędruję dłonią po jego piersi i wsuwam mu opuszki palców pod koszulę. Im wyżej, tym jego mięśnie mocniej się naprężają. Na ułamek sekundy nasze wargi odrywają się od siebie i jego cichy jęk ogrzewa mi usta. Zastanawiam się, czy wywołał go pocałunek czy mój dotyk. Nagle wolną ręką przyciąga mnie do siebie i moje udo wsuwa się między jego nogi, a na biodrze czuję jego twardy wzwód. To mogłoby być krępujące, gdyby nie upajająca świadomość, jak bardzo go podniecam. Powinnam się odsunąć. Dać nam ochłonąć. Ale mam przemożną ochotę wystawić na próbę jego samokontrolę, tak jak on poczyna sobie z moją, więc pogłębiam pocałunek i podciągam się na jego ciele, jeszcze mocniej się o niego ocierając.

Maximus łapie mnie poniżej pośladków, pod podciągniętymi szortami, i przyciska moją miednicę do swojego penisa. Zalewa mnie oślepiająca fala pożądania. Wszystko dzieje się za szybko, zbyt gwałtownie.

Och, jak cudownie. Jęczę mu w usta, zaciskając palce przy jego piersi.

– Te szorty mnie wykończą – szepcze z urywanym oddechem. – Powinniśmy przestać. Każ mi przestać.

– Przestań. – To słowo brzmi jak najgorsze przekleństwo, więc całuję go mocniej, nie pozostawiając wątpliwości, że jego plan mi się nie podoba. Ani trochę.

– Karo. – Jego chrapliwy głos jest pełen desperacji, pożądania i obaw.

– Nie chcę przerywać. Chcę, żebyś nie przestawał mnie dotykać. Całować. – Pozostałe błagania zostawiam dla siebie, bo pragnę czegoś więcej. Ale tego nigdy nie będzie nam dane doświadczyć.

Ta myśl mnie otrzeźwia.

Powinnam natychmiast przestać. Podkręcanie tempa to jedno, ale wciskanie gazu do dechy i pościg zakazanymi drogami to zupełnie co innego. Przynajmniej z Maximusem.

Przerywam pocałunek, lecz zanim mam szansę otworzyć usta, by coś powiedzieć, przekręca mnie na plecy i zawisa nade mną, wsunąwszy mi dłonie pod głowę, by ochronić ją przed twardymi kafelkami.

Delikatnie muska ustami moje wargi. Wyginam się w łuk, szukając jego ciała. Spełnia moje życzenie i opuszcza się, uważając, żeby mnie nie zmiążdżyć. Nie żebym miała coś przeciwko temu. Jestem złaźniona jego ciała. Chcę poczuć na sobie jego ciężar. Ciepło i deszczowy zapach.

Wędruje wzdłuż mojej szczęki, najpierw palcami, a później ustami, aż jego oddech łaskocze moje ucho.

– Ja też nie chcę przestawać. Chyba nigdy nie zechcę. Nie z tobą, Karo.

To wyznanie wystarczy, by zdławić wszelkie próby oporu, których wizje rodzą się w moim mózgu. Przebija się nawet przez szal zmysłów, który mną owładnął. Gdy nasze spojrzenia znowu się spotykają, jego oczy płoną, pełne zachwyty.

Gdy mnie całuje, w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu rodzi się myśl, że mogłabym się zakochać. Marzę o takich urywanych szeptach, gorących spojrzeniach i nabożnych pocałunkach składanych na każdym skrawku mojej skóry.

Wpłatałam palce w jego włosy i mrużąc oczy, spoglądałam w sufit. Jedynymi świadkami tej intymnej chwili są namalowane na nim postacie. Nie są moimi bogami, ale i tak mam wrażenie, że patrzą na mnie krytycznie.

Maximus wędruje w dół mojego ciała, skubiąc mi ustami sutki przez materiał krótkiej bluzeczki. Gdy jego gorące wargi docierają do mojego odsłoniętego brzucha, prawie nie jestem w stanie oddychać. Jeszcze nikogo tak nie pragnęłam. I chyba już nigdy nie zapragnę. Ale nie możemy. Ja nie mogę...

Mimo to nasze westchnienia i jęki wciąż odbijają się echem od ścian. Tak jak pstryknięcie rozpinanego guzika moich szortów i jego imię na moich ustach niczym modlitwa.

Nagle gdzieś w oddali słychać grzmot. I kolejny, głośniejszy. Dudnienie przybiera na sile, ostrzegając o zbliżającej się burzy. Oboje nieruchomiejemy i cichniemy. Otwieram gwałtownie oczy, gdy Maximus unosi się nade mną.

W jego niebieskich oczach pojawia się to samo pytanie co w mojej głowie. Uciekamy przed burzą czy zostajemy i migdalimy się na podłodze obserwatorium przy dźwiękach deszczu?

Sinoblady Zeus łypie na mnie okiem znad ramienia Maximusa. Bóg piorunów we własnej osobie. Nie wiem, czy mu teraz dziękować, czy go przeklinać.

– Wracamy?

Przenoszę spojrzenie odrobinę w lewo, na wpatrującego się we mnie pięknego mężczyznę, który sam z łatwością mógłby uchodzić za boga. Wyciągam do niego rękę, już żałując, że ten wieczór dobiega końca. W chwili gdy moje palce dotykają jego twarzy, ciszę przecina kolejny gniewny grzmot.

Podnosi się na kolana i podaje mi rękę, by pomóc mi wstać.

– Chodźmy stąd, zanim złapie nas burza. – Odwraca się w stronę tarasu. – Cholera. Jedzenie.

– Nie przejmuj się tym.

– Na pewno?

– Znam kogo trzeba, pamiętasz?

Na widok jego uśmiechu czuję ulgę w sercu. Mam taki mętlik w głowie... Pięć minut temu zgubiłam gdzieś rozum i nie wiem, czy w ogóle go kiedyś znajdę. Jeszcze większa ulga przychodzi, gdy Maximus bierze mnie za rękę i wyprowadza z budynku. Bez słowa biegniemy na łatwiejszy szlak, by zdążyć zejść ze wzgórza przed burzą.

Jesteśmy szybcy, ale nie tak szybcy jak deszcz. Właśnie docieramy do podnóża wzniesienia, gdy spadają na nas pierwsze krople. Na ostatniej prostej do jego furgonetki łapie nas oberwanie chmury. Zdyszani wskakujemy do środka. Deszcz dudni o auto, zagłuszając wszystkie inne dźwięki i przesłaniając widok z przedniej szyby.

Trzęsę się z zimna, więc Maximus uruchamia silnik i włącza ogrzewanie. Widzę, jak rozbiera mnie wzrokiem z przemoczonych ubrań.

Sama nie jestem lepsza. W przylegającej do umięśnionej klatki mokrej koszulce wygląda nieziemsko seksownie.

– Dziękuję – mówię, rozcierając ramiona, by się trochę ogrzać.

– Żaden problem. – Z ciężkim westchnieniem opiera głowę o zagłówek. – Dzięki, tato. Idealne wyczucie czasu.

Unoszę brwi.

– Tato?

Odwraca się do mnie, uśmiechając się półgębkiem.

– To taki mój osobisty żart. Udaję, że bóg piorunów jest moim tatą. – Wskazuje palcem w niebo.

– Zeus?

Śmieje się cicho.

– Wiem, to głupie. Ale lepsze niż rozmyślanie, co się stało z tym prawdziwym.

Potrzebuję chwili, by jego słowa do mnie dotarły.

– A co się z nim stało?

– Znakomite pytanie. Nie mam zielonego pojęcia, a mama nie chce mi powiedzieć. Niezbyt dobry punkt wyjścia, gdy się chce zrozumieć samego siebie, wiesz?

Przez dłuższą chwilę milczę, zaskoczona głębokim współczuciem, które nagle budzi się dla niego w moim sercu. Nie potrafię też zrozumieć, dlaczego ktoś zataja takie informacje przed swoim dorosłym dzieckiem. Moje drzewo genealogiczne gnije od zrad i fałszu, ale przynajmniej wiem, jak wygląda. Życie w nieświadomości byłoby dużo gorsze. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– To trochę niesprawiedliwe.

Wpatruje się w przestrzeń, jakby był w stanie dostrzec coś przez ociekającą deszczem szybę.

– Musiałem się pogodzić z niesprawiedliwością już dawno temu. – Włącza wycieraczki. – Odwieźmy cię do domu. Musisz się wysuszyć, bo przemoczona wyglądasz zbyt seksownie jak na moje nerwy.

Gdy wrzuca bieg, przykrywam jego dłoń swoją. Nieruchomieje i patrzy na mnie.

– Świetnie się dziś bawiłam. Cieszę się, że się zgodziłeś.

– Ja też. – W jego oczach dzieje się tyle, że nie sposób nic z nich wyczytać. A może oboje jesteśmy za bardzo przepełnieni emocjami. Nie potrafię go rozgryźć.

Gdy już zaczynam się bać, że żałuje tego wieczoru, łapie mnie za rękę i lekko się rozluźniam. Przez całą drogę powrotną ani na chwilę jej nie puszcza.

Niespełna godzinę później podjeżdża pod mój dom i zatrzymuje się za bentleyem Kell.

– To do zobaczenia w środę – mówię, żałując, że nie będziemy się widzieć wcześniej.

Może i on żałuje, ale nie patrzy na mnie i to mi się zupełnie nie podoba.

– Do zobaczenia w środę – powtarza cicho.

Nie zważając na jego nagły chłód, nachylam się nad siedzeniem i całuję go w policzek. Cofam się, zanim mogłoby dojść do czegoś więcej, i biegnę w deszczu do głównej bramy.

W domu od razu biorę gorący prysznic. Przyjemnie jest rozgrzać zmarznięte kości, ale w głowie mam tylko Maximusa, a przed oczami przewijają mi się migawki z naszego wspólnego wieczoru. Idealna kolacja. Jego czuły dotyk. I ten śmielszy. Jęczę z frustracji, susząc się ręcznikiem i wbijając się w koszulkę i wygodne dresy.

Kell stoi na tarasie z kieliszkiem wina. Biorę drugi i dołączam do niej. Zapadł już zmrok, ale przestało padać. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

– Co tu robisz? Wszystko jest mokre – mówię, zasuwając za sobą drzwi tarasowe.

– Internet wysiadł. Nudzę się jak mops. A ty? Gdzie byłaś?

– Zostałam dłużej w bibliotece – kłamię.

Rzuca mi niewzruszone spojrzenie.

– To dlatego twoje auto nie ruszyło się z garażu?

– Ktoś mnie podrzucił.

Unosi brew i upija łyk wina.

– Nie umiesz kłamać, Karo. Musisz się tego poduczyć, jeśli masz zamiar się wymykać ze swoim panem profesorem. Albo po prostu mów mi prawdę.

Zamiast odpowiedzieć, upijam duży łyk wina.

– No więc? – nie daje się zbyć.

– Jeśli nie robi ci to różnicy, to chyba zostanę przy przemilczeniu prawdy.

Odwraca się do mnie, opierając się o balustradę.

– Pewnie nie robiłoby, gdyby nie przypadło mi w udziale wybicie ci go z głowy. Próbuję tylko udzielić ci siostrzanej rady. Obie wiemy, że to tylko kwestia czasu.

– Co takiego?

Przekrzywia głowę.

– Kiedy kogoś po ciebie przyślą. Koniec zabawy. Nade mną też wisi ta czarna chmura. Wierz mi, rozumiem cię.

– To czemu suszysz mi głowę?

– Bo mi na tobie zależy. Nie bardzo wiem, dokąd zsyłają buntownicze kobiety-demony, które nie zachowują cnoty dla odpowiedniej osoby, ale naprawdę nie chcę, żebyś tam trafiła.

– Na pewno do piekła. I tak wszyscy tam pójdziemy.

Skubie wargę i spogląda na migoczące światła miasta.

– Tak, ale jeszcze nas tam nie ma. Wiem, że nienawidzisz tego życia i wszystkiego, co mama nam szykuje, ale mogło być dużo gorzej. Wiesz, piekielnie gorzej.

– To życie to ułuda. Nic z tego nie jest prawdziwe.

Prostuje plecy i rozrzuca ręce, rozlewając wino.

– Ja jestem prawdziwa. Ty też. Czy nie warto tego chronić?

Mam ochotę się z nią dalej spierać, ale czuję jej narastającą frustrację. Co więcej, wypływa z nietypowej dla naszej rodziny dobroci serca. Łącząca nas więź, jakkolwiek krucha, to wciąż więź.

– Budzimy w ludziach taką bezduszość i egocentryzm, jakimi sami jesteśmy przesiąknięci. Na tym właśnie polega istota noszenia nazwiska Valari. Wybacz, jeśli mi się do tego nie śpieszy.

– Problem w tym, że ty się przed tym zapierasz rękami i nogami. I... – Zamyka oczy i wypuszcza powietrze ze ściśniętych płuc. – Po prostu nie chcę cię stracić, Karo.

Przelewam trochę wina do jej prawie pustego kieliszka.

– Nie stracisz mnie – uspokajam ją lekkim tonem, choć robi mi się ciężiej na sercu.

Wzdycha teatralnie.

– Zakochujesz się w tym facecie czy co?

– Co mam ci powiedzieć?

– Prawdę.

Unoszę brodę, przeczesując duszę w poszukiwaniu odpowiedzi. Przed dzisiejszym wieczorem nie miałam pewności. Ale teraz Maximus wniknął do mojego krwiobiegu niczym narkotyk. Zawsze byłam uzależniona od książek, a on jest opowieścią sam w sobie. Tętniącą życiem tajemnicą. To najbardziej fascynujący bohater, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam. I nie chcę, żeby ta historia dobiegła końca. Nigdy.

Kell przekrzywia głowę, zaciskając zabarwione winem usta. Czeka na moją szczerą odpowiedź, choć nie to chce usłyszeć.

– Tak – mówię wreszcie. – Zakochuję się w nim.

Maximus

– OCH, OCH. CÓŻ ZA PIĘKNY DZIEŃ.

Słyszac ten komentarz Jessego, jak zwykle nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem utkwionym w trzech dziewczynach wygrzewających się w południowym słońcu na trawniku za oknem jego gabinetu.

– Jest pan beznadziejnym przypadkiem, profesorze North.

Ale po włączeniu telefonu nie jest mi już tak wesoło. Moje media społecznościowe są pełne fotek Kary Valari: ubrana w modną bluzeczkę i czerwone džinsy uświetnia swoją obecnością obiad charytatywny na rzecz miejscowego schroniska dla zwierząt.

Po prostu super.

Wszystkie moje wysiłki, by przestać o niej myśleć, w tym dwa zimne prysznice, przebieżka wzdłuż wału w Santa Monica i dwugodzinny lunch z moim najlepszym przyjacielem, zostały obrócone wniwecz w ciągu dwudziestu sekund gapienia się na kotki, pieski i jej pupę w obcisłych czerwonych džinsach.

A ja myślałem, że przy jej wczorajszych szortach Daisy Duke może się schować.

Jezu. Chryste.

Wczorajszy. Wieczór.

– Halo! Ziemia do Maximusa Kane’a.

Jestem wdzięczny za okazję do oderwania się od telefonu.

– He? Co?

– I kto tu jest beznadziejnym przypadkiem? – Gdy skupiam się na jego słowach, Jesse strzela superprzylepną gumką, która przykleja mi się do telefonu. W mgnieniu oka wyrywa mi z rąk aparat. – Proszę, proszę.

– Do cholery, Jesse.

– Maximusie Kane, czyżbyś się ślinił do fotek Kary Valari?

– Oddawaj telefon.

Podnosi go wysoko, jakbyśmy byli dziećmi wyklócającymi się o to, kto będzie graczem numer jeden na konsoli.

– Dopiero jak puścisz farbę, co jest grane z tą ślicznotką.

– Nie nazywaj jej tak. – Ten gniewny, obronny ton jest mi całkiem obcy.

– Zróbmy tak. – Unosi brew. – Przestanę mówić, gdy ty zaczniesz. Zaczniemy od zeszłej nocy... u ciebie.

Przeczesałem włosy, drapiąc się po głowie.

– Co ci się stało? O inne dziewczyny nigdy mnie tak nie wypytywałeś.

– Bo żadna z nich nie pojawiła się przed twoimi drzwiami w sobotni wieczór.

– I co to niby zmienia?

W odpowiedzi tylko wkurzająco macha sobie nad głową moim telefonem.

– Max nie dostanie swojego telefonu, jeśli Jesse nie usłyszy szczegółów. – Ani drgnie, bo dobrze wie, że bez ważnego powodu nie naruszę jego przestrzeni osobistej. – Stary, rzuć mi parę pikantnych szczegółików. Bo już mi ręka cierpnie. I fiut.

– Dziękuję za ten przerażający obraz.

– Wiesz, co jest jeszcze bardziej przerażające? Że jedynymi kobietami, jakie u ciebie widziałem przez trzy lata mieszkania w tym budynku, były sprzątaczką i stara pani Worthington z brownies.

Teraz to ja unoszę brew.

– Czyżbyś zazdrościł mi tych brownies? O to chodzi?

Jesse mruży oczy.

– Chodzi o zdrowy kontakt z drugim człowiekiem. No, poza mną. Takim, któremu będą się podobały twoje wąsiska między jedwabistymi...

– Okej, zamilcz. – Podrywam się ze swojego ulubionego fotela uszaka i zaczynam okrążyć jego biurko. – Cholera, Jesse. Czemu tak naciskasz?

Odchyła głowę z poważną miną.

– Bo trochę się o ciebie martwię, stary.

– Chodziłem na randki, okej? – Odwracam się i przysiadam na krawędzi biurka. – Przecież wiesz, że w moim życiu było kilka... ważnych kobiet.

– Jaaasne – przeciąga Jesse. – Ale Wendy ze studiów, Therese z wyjazdu edukacyjno-rekreacyjnego i Renee z Recto Verso się nie liczą.

– Dlaczego?

– Bo to zamierzchłe czasy. – Prycha. – Stary, Wendy wyszła za mąż, Therese ma dzieci, a Renee wróciła do Anglii.

– W porządku, niech ci będzie. – Pocieram sobie kłykciami brodę. – Byłem zajęty.

– Nie – odparowuje Jesse. – Nie zajęty, tylko cholernie wybredny.

– Wiesz, jest taki termin, którym paru facetów na świecie nadal się określa. Brzmi on: dzentelmen.

By było zabawniej, sylabizuję ostatnie słowo. W ramach odwetu Jesse wybucha przesadnym śmiechem. Zgrzytam zębami. Jest tak radośnie pewny swoich sądów, zna mnie na wylot. Dobrze wie, że od dawna nie zabiegałem o niczyje względy, bo byłem pusty w środku. I zapełniałem tę pustkę tysiącem rzeczy, z którymi tak naprawdę nie mam nic wspólnego. Bo przecież sam siebie nie znam, jak pokazała moja ostatnia nieudana konfrontacja z mamą w księgarni. Zawsze kończy się tak samo.

Złością. Frustracją. Chaosem. Rozczarowaniem. Głębszym skokiem w mroczną pustkę.

– Okej, ustalmy fakty, tak dla jaj. – Głos Jessego odrywa mnie od posepnych myśli. – Chcesz powiedzieć, że w twoich drzwiach stanęła Kara Valari, ociekając seksem i pachnąc jak ocean, a ty się zachowałeś jak *dżentelmen*?

Spuszczam wzrok, porzucając myśl o odzyskaniu telefonu. Mam teraz większą zagwozdkę: jak dużo prawdy mogę mu wyjawić. Nie chcę go okłamywać, ale to, co łączy mnie z Karą, jest jeszcze zbyt świeże i ważne, by się tym dzielić bez ogródek.

– Tego nie powiedziałem.

– Aha! Takkk. – Jesse unosi triumfalnie pięść. – A ja myślałem, że twój rażny krok to zasługa kofeiny.

– I się nie pomyliłeś.

– To znaczy?

– To, co słyszałeś. – Rzucam się z powrotem na fotel. – Jestem dżentelmenem, a nie jakimś napalonym zwierzęciem.

– A nie przyszło ci do głowy, że ona może mieć ochotę na napalonego zwierza?

– Nie odeszła rozczarowana. – „No dobra, może trochę”. – Ale tylko się całowaliśmy. – „I obmacywaliśmy. I ocieraliśmy. I pieściliśmy.

I wpatrywałem się w jej ogromne ciemne oczy, jakbym chciał w nich zatonać”. – To jak na razie tyle.

– Na razie? – Jesse uznaje moje wyznania za wartę zwrotu telefonu, bo przesuwa go po biurku w moją stronę. – Jakaż głębia kryje się w tych dwóch krótkich słowach!

Pośpiesznie podnoszę głowę.

– Powiedzmy.

W jego oczach widzę dalsze pytania, ale zanim otwiera usta, ktoś puka do drzwi gabinetu. Jednocześnie wbijamy wzrok w ciemnowłosą czarnooką piękność, która staje spokojnie w progu.

Kell Valari jest o rok młodsza od Kary, ale teraz, gdy na nią patrzę, wygląda mi na starszą, i to nawet o więcej niż ten rok, który je dzieli. Nie chodzi tylko o jej nienaganny styl typowy dla dynastii Valarich, ale o królewską sylwetkę, władcze spojrzenie i pewność siebie, z jaką robi jeden krok w stronę Jessego.

– Przychodzę nie w porę, panie profesorze?

Głos ma jednocześnie podobny i inny od głosu siostry. Kara wciąż niekiedy zawiesza go jakby z wahaniem – a może z nadzieją? – Kell mówi zdecydowanie, jakby znała odpowiedź na swoje pytanie. A w zasadzie na wszystkie pytania świata.

Mówiąc krótko, to ideał kobiety według mojego najlepszego przyjaciela. Ma to teraz wypisane na twarzy, zbyt pięknej jak na mężczyznę.

Mimo to Jesse zdobywa się na odpowiedź.

– Bynajmniej, panno Valari. Co mogę dla pani zrobić?

Zwykle w takiej sytuacji udaję wielce zainteresowanego swoim telefonem, ale siostra Kary za bardzo mnie ciekawi. Jej ciemne oczy są

teraz skupione na moim przyjacielu. Wciąga powietrze przez lekko rozszerzone nozdrza, nieznacznie unosząc kącik ust.

– Przychodzę tu nieoficjalnie – przyznaje. – Coś mnie zaciekawilo i pomyślałam sobie, że będzie pan najlepszym źródłem informacji. – Mówiąc to, wyjmuje telefon z bocznej kieszeni modnej torby.

– Eee... świetnie. – Jesse skołowany rozkłada ręce. – Jestem cały twój. To znaczy jestem do pani dyspozycji. Proszę śmiało pytać.

– Zrobiłam to zdjęcie podczas tej wczorajszej dziwnej burzy – mówi Kell, stając obok niego. – Po grzmotach, błyskawicach i ulewie pojawiło się... to.

W pierwszej chwili Jesse jest zdezorientowany, ale przypatrzwszy się ekranowi jej telefonu, wybałusza oczy.

– Czy to...

– Gwiazdozbiór, prawda? – pośpiesznie kończy za niego Kell. – Ale nie potrafię go zidentyfikować. Pomyślałam, że może pan będzie umiał mi pomóc.

Jesse powiększa palcami obraz.

– Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Zauważyłam go dopiero rano, przeglądając zdjęcia – dodaje Kell. – Nie pamiętam go z wczoraj. Wygląda, jakby wisiał na chmurach. Albo... w nich?

– To może być złudzenie optyczne. Odbicie telefonu w szybie?

– Byłam wtedy na balkonie swojego pokoju – wyjaśnia. – Otworzyłam drzwi, żeby zrobić zdjęcia.

Gdy oboje się pochylają nad ekranem telefonu, pomnażają się dziwne igielki w moich żyłach. Nie chodzi tylko o widok mojego najlepszego przyjaciela niemal przytulonego do kobiety tak bardzo przypominającej tę, za którą szaleję, ale i o temat ich rozmowy. Wczorajsza burza. Momentalnie

wracam myślami do wszystkiego, co podczas niej robiłem. I czułem. Do doznań, które nie opuszczały mnie jeszcze przez wiele godzin po odwiezieniu Kary. Gorących i nowych, choć jednocześnie dziwnie znajomych.

Tak jak teraz.

– Zostawię was samych z waszymi złudzeniami optycznymi – mówię, znowu wstając. – Za piętnaście minut zaczynam dyżur, więc...

– Tak, tak. Do wieczora – odpowiada zamyślony, zafascynowany Jesse, nie odrywając wzroku od ekranu. Ale reakcja Kell jest inna. Gdy tylko wychodzę z gabinetu, materializuje się trzy kroki za mną.

– Panie profesorze, ma pan sekundę?

Igiełki w moich żyłach, które teraz zamieniają się w sztylety, podpowiadają mi, by udać głuchotę i się nie zatrzymywać. Ale szacunek do Kary, która z pewnością darzy siostrę miłością, każe mi przystanąć.

– Panno Valari. – Robię pół obrotu. – Czym mogę służyć?

Przyspiesza, stukając eleganckimi szpilkami. Resztę stroju ma zdecydowanie casualową, choć detale jej džinsów są włoskie, a na błyszczącym złotym łańcuszku na szyi wisi trzykaratowy rubin.

– Proszę posłuchać – zaczyna zaskakująco cichym, wręcz delikatnym głosem. – Moja siostra jest dla mnie bardzo ważna.

„No to jest nas dwoje”.

Odchrząkuję.

– Dziękuję, że się pani tym ze mną podzieliła – odpowiadam z grzeczności.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Ona też się czymś ze mną wczoraj podzieliła.

– Odnośnie do...?

– Pana.

Na szczęście się tego spodziewałem.

– Mnie? W jakim sensie? – pytam lekko z udawanym zaskoczeniem.

Przekrzywia głowę i nachyla się, by mi się przyjrzeć.

– Myślę, że pan wie.

Prostuję ramiona, zaciskam szczęki.

– Wiem, że jestem wykładowcą literatury, z którym pani siostra ma zajęcia. Cokolwiek pani sugeruje...

– Proszę przestać.

– Co mam przestać?

– Po prostu proszę przestać. – Cofa się i bierze szybki głęboki oddech. – I niech to będzie jasne: nie proszę, żeby przestał pan zaprzeczać, co jest przekomiczne, skoro już wszystko zwęszyłam, że się tak wyrażę. – Macha ręką, by podkreślić swoje słowa. – Może udawanie przed resztą świata pomoże panu przystopować z moją siostrą również za kulisami.

Mam wrażenie, że przełykam ołowianą kulę.

– Mówiąc czysto teoretycznie, gdybym nawet widywał się z Karą... na gruncie towarzyskim... dlaczego miałbym „przystopować”? O ile wiem, pani starsza siostra jest osobą dorosłą z pełnią władz umysłowych.

– Umysłowych tak. – Kell przestaje naciskać. W jej głosie pojawia się jakaś nowa nuta. Smutku? Rezygnacji? – Ale o resztę musi się martwić.

Ołów zalega mi już na żołądku.

– Co to do diabła znaczy?

Kell potrząsa głową, jakbym wyrwał ją z transu.

– Proszę posłuchać. Błagam, niech pan... pozwoli jej odejść. I to szybko. Im dłużej będzie ją pan zwodził, że ma realny wybór, tym gorzej, dużo gorzej dla niej.

Mimowolnie zaciskam szczęki. Sztyleciki w mojej krwi zdążyły się zamienić w oślepiające błyski przed oczami. Od gimnazjum nie miałem migreny, ale pierwsze symptomy nadal potrafię rozpoznać.

– Wybór? – warczę, choć mógłbym przysiąc, że wychodzi mi bardziej ryknięcie. Czy może to uderzenie pioruna na zewnątrz? – To inteligentna młoda kobieta. Może zrobić ze swoim życiem, co tylko zechce.

– Jasne. – Śmieje się gorzko, rzucając ponure spojrzenie na ciemniejące za oknami niebo. – Ma cały wachlarz opcji. Wypisz wymaluj życie kobiety z rodziny Valarich.

Przypatruję się jej profilowi, mrugając szybko, by nie stracić ostrości widzenia. Gdy patrzę na nią pod tym kątem, w gasnącym świetle jeszcze bardziej przypomina Karę. Dumny podbródek. Drobnny nosek. Gładkie wysokie czoło.

– Gorzki podtekst to jeden z moich ulubionych motywów literackich – wyznaję. – O czym na Boga pani mówi? Rozumiem, że wasze życie nie zawsze jest usłane różami, ale obie jesteście dorosłe i same możecie decydować o własnym losie.

W pierwszej chwili odpowiada mi tylko jej przeciągły śmiech, choć tym razem pozbawiony cierpkiego zabarwienia.

– Los? – odparowuje. – Z tym też się zgodzę: los będzie miał z nas wszystkich używanie. – Spogląda na mnie z jeszcze bardziej posępną miną i płonącymi udręką oczami. – Ale dla pana, panie profesorze, nie ma miejsca w życiu mojej siostry. I nigdy nie będzie. Im szybciej wbije pan to sobie do tej tępej łepetyny, tym lepiej.

Jej ognista deklaracja idzie w parze z płomiennym wzrokiem, którym przepala mnie niczym miotaczem ognia. Ale nie uciekam spojrzeniem. Nie mogę. Każda nabuzowana komórka krwionośna rozsadzająca mi żyły zabrania mi ustąpić pola, nakazując opór wobec wszystkiego, co właśnie

powiedziała. A za oknem huczy od grzmotów, które zdają się mnie wspierać.

Kara

GDY ZATRZYMUJĘ SIĘ NA PODJEŹDZIE, Dalton otwiera drzwi frontowe. Wita mnie głębokim, pełnym gracji ukłonem.

– Dobry wieczór, panienko.

Podchodzę do niego zamaszystym krokiem.

– Cześć. Jest mama?

– Przykro mi, ale wybrała się na kolację do Nobu.

I całe szczęście, bo nie miałby kto jej zająć.

– A kogóż to tym razem nagina do swojej woli? – mruczę pod nosem, niemal podejrzewając pobliskie palmy o skrywanie urządzeń podsłuchowych pod liśćmi. – Niech zgadnę. Nowego reżysera Jadena?

– Nie rozpoznałem tego pana – odpowiada chłodno Dalton, wchodząc za mną do hallu.

Okręcam się na pięcie, robiąc wielkie oczy.

– Widziałeś go?

– Spotkali się w gabinecie pani matki i chwilę później razem wyszli.

Kusi mnie, by go jeszcze podpytać, ale newsadzenie nosa w sprawy mamy jest bezpieczniejsze. Ma już swoją świętą, która zna dosłownie każdy szczegół jej życia – i która na szczęście też jest dziś nieobecna.

Niemniej ciekawi mnie, co to za „pan” zabrał ją dziś na kolację. Mój ojciec – jeśli w ogóle można go tak nazwać – zabawił w mieście na tyle długo, by spłodzić naszą trójkę, po czym się zmył. Nie mam zbyt wielu wspomnień z nim związanych. Był inkubem, który zniknął równie szybko, jak się pojawił, by spełnić swój obowiązek. Ni mniej, ni więcej. Dokładnie tak, jak nakazuje tradycja. Tradycja, którą teraz się pocieszam, rozmyślając o własnym losie. Pewnego dnia znów będę się cieszyć jakąś namiastką wolności.

Pewnego dnia...

Który nie nadejdzie zbyt prędko.

Z ciężkim westchnieniem zerkam na tyły domu i przenoszę spojrzenie z powrotem na Daltona.

– Zobaczę, czy dziadzio nie śpi.

Odpowiada skinieniem głowy. Zostawiam go samego w dosłownie i symbolicznie pustej rezydencji.

Przemierzam urządzone w stylu tropików podwórze w kierunku skromnego domku gościnnego. W szybach odbija się migotliwe światło telewizora. Przez kuchenne okno dostrzegam sylwetkę dziadka. Gdy otwieram drzwi, odwraca się od kuchenki z drewnianą łyżką w dłoni. Na mój widok świecą mu się oczy.

– Kara!

Uśmiecham się i podchodzę, by go objąć.

– Cześć, dziadziu. Co na kolację?

Dostrzegam na blacie pustą puszkę po zupie i odpowiedź staje się jasna. Krzywię się.

– Zupa z puszek? Chyba stać nas na lepszy wikt dla ciebie.

– Nonsens – prycha. – Uwielbiam ten rosół z kluskami. Nie narzekam.

Nie jestem przekonana, ale biorę od niego łyżkę i mieszam zupę w rondelku.

– Przynajmniej ładnie pachnie.

– Jest pyszny.

Śmieję się.

– To na pewno zasługa glutaminianu sodu.

– E tam. – Macha lekceważąco ręką. – Wystarczy dla dwojga. Sama się przekonasz.

Odsuwa mnie, żeby nalać dwie miski, które zanosimy kilka stóp dalej na mały stół kuchenny.

– Co cię dziś do mnie sprowadza, cukiereczku?

Nabieram niepewnie łyżkę słonawej zupy. Nie jest zła. Nawet smaczna. Wypełnia mnie takim samym ciepłem jak jego kochające kojące spojrzenie.

– Chciałam zobaczyć, co porabiasz.

– Mhm – mruczy bez przekonania. Podnoszę wzrok i napotykam uniesioną siwą brew.

– Co?

Chłepcze kolejną łyżkę zupy.

– Cieszę się z twojej wizyty, biedroneczko. Ale zastanawiam się, czy coś cię przypadkiem nie gryzie.

– Na przykład?

– Na przykład twój tajemniczy przyjaciel, jeśli nadal go tak nazywamy.

Z cichym brzękiem odkładam łyżkę, opierając ją o miskę.

– Znowu się z nim widziałaś? – pyta lekkim tonem, w którym wyczuwam jednak poważną nutę.

– Tak. Ale nie wiem, czy nadal mogę go nazywać przyjacielem. – Dociera to do mnie, gdy tylko te słowa wychodzą z moich ust.

Niezaprzeczalna prawda. Maximus błyskawicznie staje się dla mnie kimś więcej. Dużo więcej.

– Pokłóciliście się?

Wzdycham.

– Często się kłócimy. – Jak wtedy, gdy myślał, że może mnie wypisać z zajęć.

– I?

– I to jakoś nas od siebie nie oddała. – Często wprost przeciwnie. Przyciąga do siebie jak magnes...

Podczas gdy mój rozgrzany do czerwoności umysł zapełnia się wspomnieniami z Maximusem w roli głównej, dziadek wymownie milczy. Z reguły nie lubię się doszukiwać znaczenia w ciszy, a odnośnie do Maximusa dręczy mnie więcej pytań niż odpowiedzi, zwłaszcza teraz. Ale rozmawianie z kimkolwiek o mętliku, który mi zafundował, wydaje się niebezpieczne. Nawet z dziadkiem. Nie wspominając o Kell, która prawie się do mnie nie odzywa, odkąd się jej przyznałam do uczuć względem zniewalającego profesora.

– Dowiedziałaś się o nim czegoś więcej? – dopytuje dziadek.

Widać, że od mojego przyjścia jest spięty, co teraz odzwierciedla się w panującej w jego domku atmosferze i co zapewne ma związek z moim niebezpiecznym flirtem z mężczyzną niebędącym demonem, dla którego zachowuję cnotę.

– Nie wie, kim jest jego ojciec – mówię, przypominając sobie jego wyznanie. Ta rana pewnie nie staje się mniej bolesna bez względu na upływ lat. – Jego też dręczą pytania. Wie, że nie jest taki jak inni.

– A wie o *tobie*?

– Oczywiście, że nie – zapewniam z mocą. – Nigdy bym mu nie powiedziała o naszej rodzinie.

Nie wiedzieć czemu wyznanie Maximusowi, że jestem demonem – choć i tak by mi nie uwierzył – wydaje mi się dużo gorsze niż wylądowanie z nim w łóżku. Co byłoby szaleństwem. Pod wieloma względami.

Pod wieloma niebezpiecznymi względami.

Ale niewinne fantazjowanie jeszcze nikogo nie zabiło. Przecież i tak nigdy się o tym nie dowie. I nigdy się nie dowie, co naprawdę znaczy należeć do klanu Valarich. Podobnie jak nikt inny spoza naszego kręgu. Co nie zmienia faktu, że milczenie w tej kwestii upodabnia mnie do nadąsanej bogatej dziewczynki przekonanej, że należy jej się specjalne traktowanie. Jak zdążył mi powiedzieć, jego dzieciństwo nie było usłane różami. Moje wygląda przy tym jak rozlane mleko czekoladowe.

Mimo to chcę się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Najlepiej wszystkiego.

Za każdym razem, gdy uchyla mi rąbka swojego życia osobistego, pragnę wiedzieć więcej. Może on ma tak samo. Może chce odkryć prawdę o mnie tak samo jak ja o nim.

– Co zamierzasz zrobić, Karo?

Dziadek powtarza pytanie, które dręczy mnie, niemal odkąd poznałam Maximusa. Co zrobić z tą niemożliwą do spełnienia pokusą? Z tym uzależniającym pragnieniem, któremu na imię Maximus...

– Nie mogę przestać się z nim widywać – mówię wreszcie.

Odpowiedzi dziadka są dziwnie neutralne.

– Wydajesz się tego niemal pewna – szepcze w końcu.

– To prawda – odpowiadam żarliwie. – Nawet gdybym chciała przestać, moja fascynacja już przerasta siłę woli.

Między nami znowu zapada ciężkie milczenie. Dziadek odsuwa od siebie pustą miskę i opiera plecy o drewniane krzesło, które cicho skrzypi.

– Wyczułaś, że jest kimś więcej, niż się wydaje. Co sprawia, że jest inny?

– Niektórych aspektów trudno nie zauważyć – mówię. – Po pierwsze, jest... ogromny. Niczym bóg między ludźmi.

– Może ma wyjątkowe geny.

Tym razem to ja unoszę brew.

– Jak my wszyscy.

Dziadek się uśmiecha.

– Nie to miałem na myśli.

– Nie chodzi o same gabaryty. Widziałam, do czego jest zdolny. Ma potężną siłę. I zdolności błyskawicznej regeneracji. Próbował to zbagatelizować, ale nie było w tym nic ludzkiego.

Dziadek znowu mruży pod nosem. Tym razem bardziej w zamyśleniu, jakby próbował rozwikłać tę zagadkę.

– Jego matka musi znać odpowiedź.

– Maximus jest pewny, że jego matka wie więcej, niż mu mówi.

– Maximus?

Mrugam, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy wymówiłam przy dziadku jego imię.

– Maximus Kane. – Wydaję z siebie kolejne ciężkie westchnienie. – Równie dobrze mogę ci już powiedzieć wszystko. Wykłada literaturę na University of Alameda.

Dziadek przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy.

– Igrasz z ogniem.

Ogarnia mnie nagłe skrępowanie i zaczynam wiercić się na krześle. Dziadek wpatruje się we mnie z taką mocą... jeszcze nigdy tak na mnie nie patrzył. Robi mi się na przemian gorąco i zimno.

– Wiem.

– Czy aby na pewno?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam obcesowo, czując się zepchnięta do narożnika.

– Ryzykujesz wszystko, Karo.

Prycham, ale zdradza mnie drżący głos. To, co rodzi się między mną a Maximusem, jest silniejsze od strachu, który powinnam czuć po przestrodze dziadka. Jak mu wytłumaczyć, że Maximus jest wszystkim, czego od zawsze potrzebowałam, nie wiedząc o tym? Że nie patrzy na mnie tak jak inni? O tym, jak działa na mnie jego spojrzenie? I że to chyba nigdy mi się nie znudzi?

– Może jestem skłonna poświęcić życie pełne kłamstw dla jednej prawdziwej chwili.

Nie wiem, czy byłabym w stanie to zrobić, ale samo wypowiedzenie na głos tych słów dodaje mi odwagi, by wcielić je w życie.

Dziadek zamyka oczy i pociera twarz dłonią.

– Karo... Nie wiesz, co mówisz.

– Mówię, że nie wiem, czy potrafię zaakceptować życie, jakie dla mnie wybrano. To niesprawiedliwe.

– To prawda. Ale nie będziesz miała wyboru, jeżeli...

– Jeżeli co? Sam mówiłeś, że każdy na wybór.

– Nie w tej kwestii.

– Dlaczego nie? – odpowiadam ze złością, ale to i tak tylko ułamek gniewu, jaki się we mnie burzy. – Czemu to ma być wyjątkiem od reguły?

– W naszym świecie decyzje niosą ze sobą konsekwencje – mówi ze ściśniętym gardłem. – Konsekwencje, które będą cię ścigać na sam koniec

świata. Ja za swoje płacę całe życie, skarbie. Nie chcę, żebyś powtórzyła moje błędy.

Milknę, słysząc żarliwość w jego głosie. Zawsze stał za mną murem. Był cichym orędownikiem mieszkającego we mnie dobra. Ale dziś coś się zmieniło. Boję się, że za sprawą jego własnego strachu. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co zgasiło w nim radość życia. Jak w przypadku wielu innych historii rodzinnych, wszyscy znają ogólny zarys, ale brakuje zbyt wielu szczegółów.

– Dziadziu?

– Słucham? – pyta ochrypłym głosem.

– Co tak naprawdę cię spotkało? – szepczę. – Nie rozumiem, jak wszyscy mogą myśleć, że na to wszystko zasługujesz.

– Wiesz wystarczająco dużo, Karo. Oszczędzę ci nieprzyjemnych szczegółów.

– Ale ja *chcę* wiedzieć. Może nawet muszę.

– To długa historia.

Reszta świata zna już jej część. Giovanni Valari powinien był zginąć, gdy czterdzieści lat temu Malcolm Caulfield, mąż jednej z ówczesnych najpopularniejszych gwiazdek ekranu, strzelił do niego z zimną krwią, po czym wymierzył z rewolweru w swoją żonę i siebie. Gio zapadł w krótką śpiączkę, przeszedł śmierć kliniczną i cudem wrócił do świata żywych. Malcolm i Penelope Caulfieldowie nie mieli tyle szczęścia.

Przez wiele tygodni huczało od plotek, jakoby powodem tej krwawej jatki był romans Gio i Penelope, ale Caulfield zabrał tajemnicę do grobu. Co w żadnej mierze nie wyjaśniało, jak mojemu dziadkowi udało się uniknąć śmierci i wiecznego potępienia oraz dlaczego w ogóle trafił w zaświaty.

– Dziadziu? – nie daję za wygraną. – Proszę. Wciąż powtarzasz, że nic nie wiem i nie rozumiem. Więc pomóż mi zrozumieć. – Wyciągam do niego ręce.

Moje palce ledwie muskają jego dłonie, gdy nagle wstaje i zaczyna pośpiesznie sprzątać kuchnię.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że nie jestem dumny z tego, jak się w to wszystko wplątałem?

Przez chwilę zastanawiam się nad jego pytaniem.

– Biorąc pod uwagę, że wychowałam się w rodzinie demonów, nie sądzę, by cokolwiek było w stanie zmienić moją opinię o tobie.

Ściera energicznie czyściutki blat.

– Nie byłem święty. Duma. Zazdrość. Chciwość. Co tylko chcesz. Można by pomyśleć, że zajrzenie w otchłań piekielną i otrzymanie drugiej szansy zmienia człowieka. Najwidoczniej tylko twoja babcia to potrafiła. Ci, którzy pociągają za sznurki tam na dole, dobrze wiedzą, co robią.

– Okej, postanowili ukarać cię dla przykładu. To już wiem. Chcę wiedzieć dlaczego.

Odwraca się do mnie z zaciśniętymi ustami.

– Bo zasłużyłem sobie na bilet do piekła i udało mi się wywinąć. Nic nie przyprawia ich o taką wściekłość jak skradziona dusza. – Jego łagodne oczy są pełne bólu. – Czasami się zastanawiam, co jest gorsze: wieczność tam na dole czy życie ze świadomością, że to wszystko moja wina. Że moja wolność, jeśli w ogóle można to tak nazwać, pozbawiła jej was.

Usiłuję przyjąć tę gorzką prawdę. To mój dziadek. Bez niego bym nie istniała. Czy naprawdę przyszedłam na świat tylko po to, by stać się pionkiem w grze mającej na celu wymierzenie mu kary? Choć bardzo go kocham, jego występki przypieczętowały mój los. Teraz mam już co do tego pewność i ta wiedza jest druzgocąca.

Wypuszcza drżąc powietrze.

– Wybacz mi, Karo. Ostatnio nie jestem dobrym gospodarzem. Może wróc za tydzień lub dwa, biedroneczko? Jakoś kiepsko się czuję. – Zbliża się do mnie i czule ściska mi ramię. – Dobranoc.

Zanim mam szansę się sprzeciwić, jest już na górze, w drodze do swojej sypialni. Nie chcę wychodzić, ale teraz nie mam po co zostawać. Może uda mi się dość do ładu z myślami w drodze powrotnej, choć wcale nie jestem tego taka pewna.

W duchu besztam się za postawienie dziadka w tak trudnym położeniu. Kocha mnie, nie mam co do tego wątpliwości. Tym bardziej chciałby mnie uchronić przed swoim losem. Przed męką, którą od lat cierpi.

Przechodzę przez rezydencję, ale zanim docieram do drzwi frontowych, materializuje się przed nimi Dalton i bezszelestnie otwiera mojej matce, która zauważywszy mnie, posyła mi promienny uśmiech.

– Kara! Jesteś tu! Idealnie się składa!

Podchodzi do mnie nieśpiesznie i przelotnie się przytulamy. Zza jej ramienia dostrzegam drugą postać. Odrywa się ode mnie i wskazuje mężczyznę, z którym jak przypuszczam, spędziła wieczór.

– Arden, chodź i poznaj Karę. Karo, to Arden Prieto.

Arden jest tak wysoki, że dociera do mnie w dwóch pełnych gracji krokach. Wyciąga rękę. Podaję mu swoją, spodziewając się uścisku dłoni, ale zamiast tego podnosi ją do ust, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy.

W pierwszej chwili wstrzymuję oddech, ale bynajmniej nie z zachwyty. Oczy ma grafitowe, jeśli w ogóle można im przypisać jakiś kolor. Są ciemne i intensywne, jakby nie składały się z tęczówek, twardówek i rogówki, tylko były dwoma tajemniczymi tunelami prowadzącymi gdzieś głębiej. Idealnie pasują do jego gładkich czarnych włosów i modnego

kilkudniowego zarostu na szczęce. Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest efektem chwilowego zaniedbania, lecz elementem starannie przemyślanego wizerunku.

– Jestem oczarowany – mruczy, odrywając usta od mojej skóry.

Bijące od niego ciepło i każda cząsteczka przepływającej między nami energii mówią mi, że jest jednym z nas.

Cofam się, gdy tylko rozluźnia uścisk.

– Miło mi poznać – wykrztuszam z siebie, ciesząc się, że się uwolniłam od jego świdrującego spojrzenia i zuchwałego dotyku.

Mama robi wielkie oczy. Jej usta zastygły w uśmiechu, jak u małych dzieci w wesołym miasteczku.

– Tak się cieszę, że tu jesteś, Karo. W tym tygodniu miałam cię zaprosić na kolację, żeby porozmawiać o pracy Ardena.

– O pracy?

Śmieje się i dotyka jego ramienia, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Tak, Arden handluje antykami. Obiecałam sobie, że w tym roku poważnie pomyślimy o poszerzeniu zbiorów.

– Zbiorów?

Znowu się śmieje, ale tym razem jej śmiech jest bardziej wymuszony.

– Naszych zbiorów, kochanie. Pamiątek rodzinnych i... – Macha ręką, szukając właściwego słowa.

– Dzieł sztuki oraz artefaktów o wyjątkowym znaczeniu – przychodzi jej z pomocą Arden. – Rynek antyków jeszcze nigdy nie był tak prężny, pełen konkurencyjnych ofert. Służę pomocą w omijaniu wszelkich pułapek czyhających na nabywców.

– Super – odpowiadam, jakbym straciła tętno, co równie dobrze może być prawdą. Serio, zabijcie mnie. Ostatnie, czego potrzebujemy, to kolejny

pokój pełen przesadnie drogich przedmiotów, dzięki którym moja matka czuje się lepsza od innych.

– *Musisz* mi w tym pomóc, Karo – dodaje. – Zupełnie się na tym nie znam i nie mam czasu, by zająć się tym jak trzeba.

Marszczę brwi.

– A ja się znam?

Na moje poirytowane spojrzenie odpowiada swoim.

– Przesiedziałaś tyle czasu z nosem w zakurzonych książkach... Pora wreszcie zrobić z tego jakiś użytek.

Nawet gdyby Arden nie był świadkiem naszej wymiany zdań, nie wiem, czybym się z nią spierała. Od razu widać, że mama postanowiła włączyć mnie w swój nowy projekt, czy mi się to podoba czy nie.

„Zabijcie. Mnie”.

To zdanie, które chyba najczęściej powtarzam w myślach.

– Chodź, Arden wprowadzi cię w temat przy winie.

Jego niewzruszone spojrzenie mówi, że nie ma nic przeciwko przedłużeniu wieczoru. Ja niestety mam inne plany.

– Bardzo bym chciała, ale z samego rana mam zajęcia – mówię pośpiesznie. – Miło było poznać, ale muszę już wracać do domu.

Nie kryjąc irytacji, mama robi lekko nadąsaną minę.

– Trudno. W takim razie zaplanuję tę wspólną kolację. Tak? – Posyła Adenowi pełny nadziei uśmiech.

– Kolacja to doskonały pomysł – odpowiada Arden. Wreszcie odrywa ode mnie spojrzenie i przenosi je na mamę.

– Znakomicie. Podeślę ci dane kontaktowe Kary. Już nie mogę się doczekać!

Maximus

KILKA LAT TEMU w ostatniej chwili postanowiłem spróbować sił w maratonie wokół Los Angeles. Skończyło się na tym, że przez ostatnie pięć kilometrów niosłem na plecach innego uczestnika, który obiecał swojej dziewczynie, że dotrze do mety pomimo ciężkiej choroby płuc. Miał na imię Montague, ale kazał mówić na siebie Monty. I choć ledwo oddychał, uśmiech nie schodził mu z ust.

Obecnie mam ochotę zmienić imię na Monty.

Bo jakimś cudem udało mi się przebrnąć przez godzinę rozprawiania o pułapkach prymitywności, żądz i nieposkromionych apetytów, nie ulegając żadnemu z własnych. I ani razu nie zerkając w stronę kobiety, której sama obecność wciąż przeszywa mnie na wskroś.

Dam radę. Już dałem. Prawie.

Jeszcze tylko trzy minuty...

„Pieprzyć to”.

– „Więcej nie rzeknę i więcej nie powiem”^{*}.

Gdy tylko kończę czytać głośno ten wers pieśni VI, jedną ręką zamykam głośno swój oprawiony w skórę egzemplarz *Komedii*.

– To chyba odpowiedni moment, by zakończyć nasze dzisiejsze zajęcia.

Odpowiada mi zbiorcze westchnienie ulgi. Podnoszę głos, by nie zagłuszył go hałas otwieranych plecaków i włączanych telefonów.

– Tak dla jasności, panie i panowie: na tym się kończy moja pobłażliwość. Pamiętajcie, że do godziny piątej wasze prace semestralne, wydrukowane i zbindowane, mają się znaleźć na moim biurku w Budynku Archera. Będą stanowić pięćdziesiąt procent waszej oceny końcowej.

Moje słowa giną jednak w gwarze rozmów o atrakcjach dzisiejszego wieczoru. The Conquistador Crush to punkt kulminacyjny roku akademickiego, dziesięciodniowa impreza, którą rozpoczyna bal charytatywny. Potem jest koncert rockowy na placu kampusu i czterodniowy karnawał.

Muszę przywdziać garnitur i pojawić się na balu. W tym roku odbędzie się on na dziedzińcu biblioteki, dosłownie kilka kroków od mojego gabinetu, ale to marne pocieszenie. Z drugiej strony przynajmniej będę miał gdzie uciec od tłumów. Do wieczora na moim biurku będzie czekać góra prac do sprawdzenia.

W opustoszałej sali wykładowej powinienem znaleźć odrobinę wytchnienia, ale dopóki jest w niej Kara, świadomość jej obecności nie daje mi spokoju. Całogodzinne udawanie, że jej nie widzę, nie zmieniło faktu, że każda komórka krwi w moich żyłach dosłownie się do niej rwie – zwłaszcza teraz, gdy jej uparty bezruch zmusza mnie, bym podniósł wzrok i na nią spojrział.

– O cholera – wyrywa mi się na jej zapierający dech w piersi widok. Ciemne lśniąco włosy zaplecione w luźny warkocz. Kuszące perłowe guziczki jej jedwabnej białej bluzki i także końcówki zamków błyskawicznych w jej śnieżnobiałych botkach.

A przede wszystkim czarne obcisłe dzinsy, które rozpalają mnie do czerwoności, gdy wstaje i podchodzi do mnie.

– Karo.

– Maximusie – odpowiada równie chłodnym tonem.

Zaciskam usta. Każda sylaba padająca z jej ust jest jak kubeł lodowatej wody, choć to by mi się akurat przydało.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Hm, pomyślmy. Może zacznij od zauważenia, że istnieję? – warczy.

Na widok jej determinacji wszelkie myśli o zaśnieżonych krajobrazach idą w zapomnienie. Dałbym sobie rękę uciąć, że w jej oczach płonie prawdziwy ogień. To pewnie tylko moja wyobraźnia, ale przysięgam na wszystkie świętości, że nigdy nie widziałem niczego bardziej urzekającego.

Tyle że teraz jestem jeszcze bardziej rozdarty.

– Karo. Cholera.

– Serio chcesz mi z tym wyskakiwać? Że niby cię czymś uraziłam?

– Nie uraziłaś, okej? Po prostu... – Przerywam i przeczesuję palcami włosy. – Chyba nie wiesz, jak bardzo potrafisz rozpraszać. Czy mówię z sensem?

Kołysze się na pięcie i robi głęboki wdech.

– Czyli jeśli wrócę do tylnych ław, przestaniesz mnie tak ignorować?

Nie odpowiadam, bo pragnę jej bliskości równie mocno, jak się jej boję.

– Co zdążyło się zmienić przez te dwa dni, że nawet nie chcesz na mnie patrzeć? – pyta cichszym zranionym głosem. Ogień w jej oczach przygasł, a w jego miejsce pojawił się ból, na widok którego cholerne serce zaczyna mi krwawić.

Mało tego. Mam wrażenie, że rozpada się na drobne kawałeczki. Nie wiem, jak to nazwać, bo przez całe życie udawałem, że go nie mam. Że w niektóre zakamarki duszy i ciała lepiej się nie zapuszczać. A teraz ta złodowaciała tundra taje od jej niesamowitego, wyjątkowego ognia. Nawet

jeśli dziś płonie w niej furia. A może właśnie dlatego. „Doprowadzająca do szaleństwa kusicielka”. Nie pozwoli mi na unik i ucieczkę – powinienem pokazać jej kły niczym smok w pułapce, choć tylko stoję i patrzę, jak moja tundra płonie. Co gorsza, mam cichą nadzieję, że poleje płomienie naftą.

Naftą o imieniu Kara. To niekontrolowany ogień, z którym nigdy nie wygram. Nawet mając do dyspozycji budowane latami psychiczne zapory. Samokontrola, dyscyplina, strach, powtarzane w duchu przestrogi – żadna z nich już nie wystarcza. Więc po co w ogóle próbuję?

Odpowiedź rozsadza mi czaszkę. Dudni w mojej piersi.

– Kurwa – mówię, okrążając biurko. Udaję zajętego zamykaniem prezentacji na laptopie. Przesuwanie palcami po touchpadzie dodaje mi odrobinę zbawiennej kontroli. Moje przedłużające się milczenie wyrywa z jej piersi kolejne gniewne westchnienie.

– Posłuchaj, nie chcę być bluszczem. Nie muszę się dowartościowywać twoimi wyrazami oddania. Ale jeśli nadal chcesz obstawać przy pozorach profesjonalizmu, pomyśl, co robisz. Ze wszystkich na sali to ja znam materiał najlepiej, a mimo to przez ostatnią godzinę udawałeś, że nie mam nic do powiedzenia. Wiesz, jak to wygląda w oczach każdego postronnego obserwatora, który ma choć połowę mózgu?

Zamiast odpowiadać, zatrząskuję komputer, przelewając na niego swoją frustrację. W rezultacie z obudowy strzelają iskry. Śwąd przepalonych bezpieczników oznacza, że czeka mnie wycieczka do serwisu komputerowego.

– Może cię to zdziwi, ale my, zwykli śmiertelnicy spoza klanu Valarich, też wiemy, czym jest optyka – mówię, natychmiast żałując swoich słów, tym bardziej że Kara się cofa, jakbym wbił jej sztylet w serce.

Wraca na miejsce i pośpiesznie upycha rzeczy w czerwonym skórzanym plecaku. Moja twarz pewnie już zrównała się z nim barwą.

– Kara.

– Nie będę ci już zawracała głowy – mówi urywanym głosem w rytm uderzeń mojego cholernego serca. Tracę ją. I to szybko.

– Kara!

Gdy wbiega po schodkach, zdaję sobie sprawę, że moją ostatnią deską ratunku jest prawda.

– Była u mnie Kell – wołam w końcu.

Gdy zatrzymuje się i odwraca, mam wrażenie, że wypuszczam z płuc powietrze z trzech dni. Tyle że wygląda, jakbym wbił w nią kolejny nóż.

– Że...co?

– Wczoraj. Wpadliśmy na siebie pod gabinetem Jessego. Miała mi co nieco do powiedzenia. – Znowu przeczesuję palcami włosy, ale w tej krępującej chwili to niewiele pomaga. Choć to niewielkie pocieszenie, jej reakcja odpowiada na pytanie, czy Kell powiedziała jej o naszej małej pogawędce.

– Czemu w ogóle jestem w takim szoku? – mruczy pod nosem, ale wygląda, jakby dostała obuchem w głowę. Siada na stopniu i wyciąga nogi.

– Tak naprawdę nie jesteś w szoku, zgadza się? – pytam.

– Chyba nie.

Jej zrezygnowany ton działa na mnie jak magnes. Natychmiast odstawiam zepsuty laptop i pokonuję te kilka dzielących nas stopni. Siadam przy niej i obejmuję ją ramieniem. Opiera na mnie głowę, przyciskając dłoń do mojej piersi. I nagle znowu jestem sobą. Po raz pierwszy od kilku dni. A tak błyskawicznie rozbiłem się na wiele małych kawałeczków.

„Przez nią?”

Nie chcę odpowiadać na to pytanie, nawet w duchu. Część mnie szuka innych wyjaśnień, ale wszystkie są koślawe. Choć nierealna

i nieoczekiwana, taka jest prawda. Rozpadam się, a ona jest dłutem.

Ale dłuta służą również do rzeźbienia. Mimo że rozerwała mnie na dwoje, wciąż wierzę, że to ona jest kluczem do wszystkich odpowiedzi. Balsamem na moje otwarte rany. Jej ciepło ogrzewa mnie, jakby ktoś nagle zdjął dach i słońce świeciło nam prosto w twarz. Jest tak doskonale jak jej płomienne oczy, elektryzujący dotyk i połączenie, które z nimi czuję. Jest taka nierealna, a mimo to cieszę się jak cholera, że to ja jestem tym szczęściarzem, który trzyma ją teraz w objęciach – i do którego tak zaborczo się przyciska.

Wzdycha ciężko z ustami przy mojej piersi.

– Niech zgadnę. Kazała ci się trzymać z dala ode mnie. Powiedziała, że *musisz* trzymać się z dala ode mnie.

– Mniej więcej.

– Ale nie powiedziała ci dlaczego.

W jej głosie znać dziwną pewność. Odtwarzam w pamięci rozmowę z Kell, ale utkwił mi w niej tylko jej niepokój.

– Pewnie ma ważne powody, by nie chcieć, żebyśmy się widywali.

Nie wiem, czy sam w to wierzę. Nie do końca. Poznanie przyczyn stojących za ostrzeżeniem Kell może skutkować tym, że będę chciał jej dowieść, jak bardzo się myli. Ale równie dobrze mogę się znienawidzić za to, że nie jestem mężczyzną, na którego zasługuje jej siostra. Bo już zależy mi na niej na tyle, by to wiedzieć. Kara zasługuje na kogoś o niebo lepszego.

– Czyli jej uwierzyłeś – mówi wreszcie ochrypłym głosem, zaciskając pięść na mojej piersi. – Gdy powiedziała... co powiedziała.

– Uwierzyłem, że w to wierzy – odpowiadam. – I że ta konfrontacja jest z miłości do ciebie. – Przerywam na chwilę. – Myślę też, że nasza więź ją przeraża.

Kara przełyka mocno.

– Bo tak jest.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– Dlaczego?

– Moja rodzina... – Spuszcza wzrok między guziki mojej koszuli, gdzie wsunęła opuszkę palca, muskając nagą skórę. – Już ci mówiłam. To skomplikowane.

– Karo? – dopytuję, ściskając jej ramię. – O co chodzi?

Po dwóch sekundach ciężkiej ciszy wiem już, że trudno będzie z niej coś wydobyć. Nawet gdy się odsuwa i spogląda mi w oczy, bym zobaczył w nich całą głębię powagi, tym razem bez tych pysznych płomieni.

Ale jestem jej wdzięczny, że pokazuje mi, co się za nimi kryje. Jej żarliwość. Jej obawy. Jej... strach. Który dobrze znam, bo żyje i we mnie.

Przesuwam dłoń wzdłuż jej szyi i ujmuję policzek. Jej skóra jest niczym zbiór ciepłych silnych punktów, tak różnych od pełnej rozpacz i smutku czerni jej oczu.

„Powiedz mi więcej, mała kusicielko. Powiedz mi cokolwiek”.

Otwieram usta, by powiedzieć to na głos, ale Kara ponownie zagląda mi w oczy.

– Czy to cię nie przeraża, Maximusie? To... my. Nie boisz się?

Wplątam palce w kilka luźnych kosmyków jej włosów. Delikatnie za nie ciągnę, przybliżając twarz do jej twarzy.

– Nie zawsze. Ale czasem... tak jak teraz, kiedy tak cię trzymam i na ciebie patrzę... – Nie zatrzymuję się, muskając ustami jej wargi. Nasze oddechy zaczynają się mieszać. – Tak, wtedy umieram ze strachu.

Przez dłuższą chwilę jej jedyną odpowiedzią jest przyspieszony oddech, po czym wsuwa mi pod guzik drugi palec i przepala skórę dotykiem na wysokości serca, które chce mi się wyrwać z piersi, jakby wypowiadało mi posłuszeństwo i składało przysięgę na wierność nowej pani.

– Czujesz? – Przyciskam jej dłoń do dudniącej piersi. – Czujesz, prawda?

Kiwa gwałtownie głową.

– Więc rozumiesz. Wiesz, że jestem przerażony, bo tak wiele z tego nie pojmuję. Nikt nigdy tak na mnie nie działał. Nie miał nade mną takiej władzy. Nie wiem, dlaczego to właśnie ty ją masz, wiem tylko, że cholernie się cieszę, że to ty.

Powoli mruga oczami.

– Naprawdę?

– Tak. I Bóg mi świadkiem, pragnę więcej. I sam chcę dać ci więcej.

– A ja to od ciebie wezmę. – Muska kącik moich ust pachnącymi cynamonem wargami. Jej skóra o zapachu róż płonie pod moim dotykiem. Odwraca się i przywiera do mnie jeszcze mocniej, wplatając mi palce we włosy. – Wszystko, czym to jest... Wszystko, czym jesteśmy... potrzebuję tego, Maximusie. Potrzebuję ciebie.

– Więc otwórz się przede mną – błagam. Mój głos jest ochrypły i zdesperowany, ale mam to gdzieś. Chwytam ją za kark, unieruchamiając i zmuszając, by nie odwracała wzroku od mojego równie błagalnego spojrzenia. – Karo, proszę. Bez względu na to, czego dotyczą te wasze absurdalne rodzinne tajemnice, nie przestraszą mnie. Żadna z nich. Tylko zaufaj...

Moje błagania przerywa dźwięk otwieranych nad schodami drzwi. Do sali wladowuje się pół tuzina studentów. Kara podrywa się z miejsca, ściągając na siebie drwiące spojrzenia nowo przybyłych.

Wstając, w milczeniu piorunuję ich wzrokiem, ale Kara biegnie już do wyjścia. Rzucam się za nią w pościg, depcząc jej po piętach.

Na szczycie schodów nagle się zatrzymuje. Po prawej znajduje się ciasny pokój z urządzeniami do kontroli oświetlenia i dźwięku w sali. Kara łapie mnie za rękę i wciąga do środka. Muszę przyznać, że nawet przy naszej niewielkiej, acz ciekawskiej widowni bardzo mi się tu podoba. Jest ciemniej i cieplej niż na sali, a Kara jest tuż obok.

Jak zahipnotyzowany podziwiam jej urodę w panującym tu półmroku. Zamiast stłumić, podkreśla on jej wszystkie zniewalające rysy, wszystkie kuszące krągłości. Ośmielam się objąć ją w pasie, chowając rękę między nią a wyłożoną pianką ścianę reżyserki. Chemia między nami natychmiast osiąga nowe szczyty intensywności.

– Posłuchaj – zaczyna chrapliwym głosem Kara. – Te moje rodzinne tajemnice wcale nie są absurdalne. Wprost przeciwnie. Są... niebezpieczne.

Uśmiecham się pod nosem.

– Mogłabyś mi je zdradzić, ale później musiałabyś mnie zabić?

– Nie żartuj sobie – warczy.

Zamykam się, zaintrygowany tymi rewelacjami.

– W takim razie przestań robić uniki.

– Nie robię uników!

– Robisz. I nie zrezygnuję tylko dlatego, że rzuciłaś słowem „niebezpieczne”. – Ściskam mocniej jej biodro, podkreślając swój nowo odkryty zapał w tej kwestii.

Pociera dłonią moją rękę, oddech jej się rwie.

– Maximusie... pomimo swojego niezemskiego, imponującego... sam wiesz, jesteś tylko człowiekiem z krwi i kości. Śmiertelnikiem.

Unoszę brew.

– W przeciwieństwie do ludzi z czego?

Zaciska dłoń na moim ramieniu.

– Po prostu powiedz, że rozumiesz.

Zamykam jej dłoń w swojej.

– Rozumiem, że pomimo swojego nieziemskiego sama wiesz czego, ty też jesteś człowiekiem z krwi i kości. – Wstrzymuję na chwilę oddech. – Zaangażowałem się, Karo – wyznaję. – Więc kimkolwiek jeszcze jesteś, musisz zrozumieć, że mi na tobie zależy. I chcę więcej, do cholery. Dużo więcej. – Wyciągam kciuk i przyciskam go na środku jej dłoni. Działa: znowu podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. – Twoje sekrety będą u mnie bezpieczne. Ty będziesz przy mnie bezpieczna.

Przygląda mi się, raz i drugi mrużąc oczy. W ciągu tych dwóch sekund na jej pięknej gładkiej twarzy pojawia się cały wachlarz sprzecznych emocji. Mógłbym na nie patrzeć przez cały dzień, choć nie cierpię się za to, że to ja jestem przyczyną jej rozdarcia.

– Dziękuję. – Opuszcza dłoń, elektryzując mnie dotykiem, i zaciska palce na moich przedramionach. – Nawet nie wiesz, ile te słowa dla mnie znaczą.

Zniżam głowę, dopóki mojego i jej czoła nie dzieli kilka cali.

– To czemu masz taką minę, jakbym kazał ci obciąć sobie rękę?

– Bo właśnie tak bym się czuła, gdybym cię straciła – wyznaje z drżącym oddechem. – A jeśli powiem ci prawdę, pewnie tym się to skończy.

– Może pozwól mi to samemu ocenić?

Kolejne drżące westchnienie.

– Max...

– Naprawdę masz o mnie aż tak niskie mniemanie? – Przyciskam ją do siebie. Mówiąc to, mam ochotę wpić się w jej wargi, ale do sali wchodzi coraz więcej studentów, a za nimi profesorka etyki. Choć się nie przyjaźnimy, zna mnie na tyle, by rozpoznać mnie podczas policyjnej konfrontacji. Albo za przyciemnioną szybą reżyserki.

– O cokolwiek chodzi – mówię – nie zmienia to tego, kim jesteś. Ani tego, co w tobie widzę. I co do ciebie czuję.

Kara znowu milczy przez dłuższą chwilę. Przygryza dolną wargę, zdradzając wewnętrzną walkę, którą ze sobą toczy, po czym opuszcza ręce.

– Mu... muszę to przemyśleć. – Cofa się o krok. – A poza tym tu nie możemy rozmawiać.

– W takim razie gdzie? – pytam chrapliwie.

Podnosi z podłogi plecak.

– Będziesz dziś na balu, prawda? W bibliotece?

– Tak – potwierdzam z lekkim wahaniem. – A ty?

– O ósmej jest uroczyste otwarcie skrzydła imienia Veroniki Valari. Jak sądzisz? – Podchodzi bliźutko. – Oznacza to również, że o wpół do dziewiątej cała moja rodzina będzie w limuzynach w drodze powrotnej do Beverly Hills na afterparty. I nikogo na balu nie będzie obchodziło, co się dzieje w starej bibliotece.

Nie mam szans w walce z uśmiechem, który ciśnie mi się na usta.

– Schadzka w starej bibliotece? Masz pojęcie, na ile nowych sposobów właśnie mnie w sobie rozkochałaś?

Sama ma trudności z powstrzymaniem się od uśmiechu. Opieram się od niechcenia o ścianę, żeby ukryć to, na co mam naprawdę ochotę. Pragnę porwać w ramiona ją, jej pogryzione usta i seksowny mózg, a następnie całować ją do utraty tchu. Do licha z późniejszą burzą w mediach społecznościowych. Jestem w takiej euforii, że w tej chwili o to nie dbam.

Za kilka godzin będę miał w ręku kolejne elementy tej układanki. Dowiem się więcej o kobiecie, która z godziny na godzinę coraz głębiej wrasta w mój umysł, serce i duszę.

I może – może – zaprowadzi mnie do nowych elementów mojej własnej układanki. Do sedna prawdy o mnie samym. Może dowiem się, dlaczego jestem... taki, jaki jestem. I co do diabła mam z tym zrobić.

* _ Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń VI.

Kara

– NIE PRZEDŁUŻAJĄC, powitajmy ciepło wyjątkową postać naszej społeczności, kobietę, dzięki której realizacja marzenia o nowym skrzydle biblioteki była możliwa, niezrównaną Veronicę Valari!

Przyłączam się do burzy oklasków, gdy moja matka sunie przez dziedziniec w kierunku podium przed budynkiem noszącym jej imię. Pani rektor, która przez ostatnie dziesięć minut wychwalała ją pod niebiosa, wita się z nią niby-pocałunkami w policzki i wylewnie ją obejmuje. Mama sięga po mikrofon i odrzuca do tyłu długi tren swojej satynowej sukni, witając się z tłumem perłowym uśmiechem i zmysłowym chichotem.

– Dziękuję, pani rektor. To dla mnie wielki zaszczyt.

Kołyszące się lekko na wietrze światła kawiarni rzucają ciepłą poświatę na resztę gości zebranych wokół stolików koktajlowych obleczonych w obrusy w barwach uniwersytetu: karmazynowo-szare. Wiele osób jest tu z obowiązku, tak jak Maximus, którego na razie nie wyłowiałam z tłumu. Ale podejrzewam, że jeszcze więcej ludzi przyszło tu, by spotkać członka rodziny Valarich i innych celebrytów wykorzystujących okazję, by pokazać się na uroczystej gali.

Gdy mama recytuje przygotowane zawczasu przemówienie, u nasady pleców czuję muśnięcie czyjejs ciepłej dłoni. Serce trzepocze mi w piersi

z niecierpliwości, podekscytowania i nadziei. Ale cała euforia momentalnie wyparowuje, gdy zza moich pleców wyłania się Arden, nie Maximus. Jego oczy są ciemniejsze od nieba nad reflektorami, a jego znaczący uśmiech aż ocieka pewnością siebie.

– Miło mi cię znowu widzieć, Karo – mruczy jedwabistym głosem i podnosi do ust kieliszek z koktajlem. Wbija we mnie wzrok znad jego brzegu niczym drapieznik, który nie spuszcza oczu ze swojej ofiary.

– Nie wiedziałam, że pan tu dziś będzie, panie Prieto.

– Proszę, mów mi Arden. W końcu spędzimy ze sobą niemało czasu. Nie ma sensu bawić się w formalności.

Tłum zaśmiewa się z czegoś, co powiedziała moja matka. Pewnie z kolejnego pseudohumorystycznego pokazu fałszywej skromności. Ale zamożnej klientce w świetle jupiterów nie udaje się przykuć uwagi Ardena, który wpatruje się tylko we mnie, bez końca świdrując mnie oczami. Sekundy ciągną się w nieskończoność, gdy nieubłagane taksuje mnie wzrokiem.

– Przepiękna suknia.

Żałuję, że muszę znosić jego namacalny podziw, ale przecież nie zablokuję bijącej od niego obleśnej energii. Mam ochotę zgasić jego zachwyty wyznaniem, że tę szkarłatną suknię z prowokacyjnymi wycięciami wybrałam z myślą o kimś innym. Ale demony mają to do siebie, że na najmniejszą szpileczkę potrafią odpowiedzieć z równą zjadliwością. A ja nie jestem w nastroju, by wystawiać na próbę jego cierpliwość.

– Dziękuję.

Odstawia pusty kieliszek na stolik i niepostrzeżenie się do mnie zbliża. Usiłuję nie zjeżyć się na to wtargnięcie w moją przestrzeń osobistą.

– Mam przyjaciół wśród wykładowców – wyjaśnia nonszalanckim tonem, z którego bije ta sama pewność siebie co z jego sposobu bycia. –

Zazwyczaj nie pojawiaam się na tego typu imprezach, ale kiedy usłyszałem, że tu będziesz, pomyślałem, że wpadnę i się przywitam.

W odpowiedzi wzruszam niezgrabnie ramionami.

– W takim razie witaj.

Uśmiecha się kpiarsko.

– Twoja mama mówi, że jesteś pasjonatką nauki. To twój ostatni rok studiów, zgadza się?

– Tak. Ciężko będzie się pożegnać z uczelnią.

– I co zamierzasz robić po dyplomie?

Serce mi się ściska, gdy myślę, co mnie czeka. Gdy myślę o nieubłaganym przeznaczeniu, które się zbliża z każdym upływającym dniem.

– Marzę o studiach magisterskich, ale cierpliwość mamy chyba się wyczerpała. Chce, żebym bardziej się zaangażowała w sprawy rodzinne. Ma w planach mnóstwo projektów.

Arden kiwa głową z cichym mruknięciem.

– Chyba jestem jednym z nich. – W jego oczach pojawia się błysk idący w parze z tajemniczym uśmiechem, który nie schodzi mu z ust. – Uparła się, by stworzyć kolekcję, która rozśławi nazwisko Valarich w świecie antyków i dzieł sztuki. To inspirujące. Skłamałbym, gdybym powiedział, że ta perspektywa nie jest dla mnie ekscytująca.

– Komu mogłoby się znudzić wydawanie czyichś pieniędzy w tak wielkim stylu? – Nareszcie udaje mi się przemycić odrobinę sarkazmu.

Ale obrzuca mnie takim spojrzeniem, że zaczynam mieć wątpliwości, czy osiągnęłam swój cel.

– Oboje wiemy, że chodzi o coś więcej niż pieniądze. W końcu w niektórych sferach nie mają one żadnej wartości.

Usłyszawszy tę aluzję do zaświatów, zaczynam się zastanawiać, jak dobrze je zna.

– Zatem o co chodzi? Oświeć mnie.

Przechyliła głowę z zaciekawieniem, ściągając ciemne brwi. Większość przedstawicielek płci pięknej, zarówno wśród kobiet demonów, jak i zwykłych śmiertelniczek, zapewne uznałaby go za pięknego. Ma szlachetne, mocne rysy twarzy, wydatną szczękę, wyraziste usta i olśniewający uśmiech – choć jego świdrujące oczy są zupełnie pozbawione ciepła czy podziwu.

Mam ochotę odwrócić wzrok, ale coś w jego energii nie pozwala mi się ugiąć.

– O ustanowienie dominacji.

„Naturalnie”.

Mrugam niewinnie oczami, wywijając się spod ostrza ledwie zawołanego wyzwania, które mi rzucił. To mi się wcale nie podoba, ale w tej chwili to kwestia drugorzędna.

– To akurat domena mojej matki – przyznaję raczej smutna niż rozgniewana. Od zawsze się różnimy i to już się chyba nie zmieni.

To wystarczy, by jego ton złagodniał.

– Wciąż tkwi w tobie dużo człowieczeństwa. – W jego głosie wyczuwam nawet nutę podziwu, nie mniej niepokojącą niż jego wcześniejszy wyzywający ton. Co gorsza, muska grzbietem palców moje obnażone ramię, obrzucając mnie spojrzeniem pełnym uznania. – Muszę przyznać, że jest ci z nim do twarzy, prawie tak samo jak w tej sukience.

– Karo...

Moim zmysłom wystarczy ułamek sekundy na reakcję. Na dźwięk głębokiego tembru głosu Maximusa cofam się o krok od Ardena i jego dziwnego dotyku. Jeden rzut oka na strzelistą postać dumnego półboga

w czarnym smokingu zapiera mi dech w piersiach. Ale dopiero na widok jego pociemniałych oczu robi mi się słabo.

– Maximus... – Odchrząkuję i szybko się poprawiam. – To znaczy... Profesor Kane prowadzi zajęcia...

– A pan to...? – Maximus wchodzi mi w słowo i staje przed Ardenem, który jest wysoki i szczupły, ale w żaden sposób nie może się z nim równać.

Przez dłuższą, napiętą jak postronek chwilę mierzą się wzrokiem i wreszcie Arden wyciąga do niego rękę.

– Arden Prieto – odpowiada chłodno. – Przyjaciel Kary.

– „Przyjaciel”... – powtarza Maximus, jakby to słowo miało gorzki posmak.

Otwieram usta, by wyjaśnić obecność Ardena na dzisiejszym otwarciu, ale natychmiast zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co powiedzieć. Wyszłabym na wariatkę, gdybym go przedstawiła jako demona marszanda ze słabością do człowieczeństwa, jak się zdaje.

Maximus odwraca się do mnie, a w jego spojrzeniu roi się od pytań.

– Nie złożyła pani pracy semestralnej.

Znowu mimowolnie otwieram usta, zastanawiając się gorączkowo, o czym on mówi. Bo jestem pewna, że ją składałam, i w pierwszej chwili instynkt każe mi zaprzeczyć.

Ale nagle mnie oświeca.

– Ojej. – Śmieję się nerwowo, wchodząc w rolę. – Nie do wiary, że zapomniałam. Byłam tak zaabsorbowana przygotowaniem do dzisiejszego wieczoru, że musiało mi to wylecieć z głowy.

– Nic się nie stało – ucina, jakby udawanie wyrozumiałości względem mnie przychodziło mu z trudem. – Nie pani jedna dała się ponieść dzisiejszej euforii, więc odrobinę przedłużyłem termin składania prac.

– Dziękuję, panie profesorze.

Odpowiada mi ciche chrząknięcie.

– Może pani podrzucić ją jutro. Wie pani, gdzie mnie znaleźć.

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

Nie mówiąc więcej ani słowa, ponownie odwraca się do Ardena.

– Miło było poznać. Proszę wybaczyć, że przerwałem państwu rozmowę.

I nie czekając na odpowiedź, odwraca się na pięcie i schodzi z dziedzińca. Odprowadzam go wzrokiem, obserwując każdy jego ruch. Nie wiem, czy mam być mu wdzięczna, czy się na niego wściec. Naprawdę ot tak sobie wychodzi? Bez słowa wyjaśnienia?

Ale i tak bym go nie słyszała. Moja matka wygłasza ostatnie wylewne podziękowania i tłum zaczyna gromko klaskać.

– Powinniśmy pośpieszyć jej na ratunek – stwierdza Arden. – Przy tej liczbie ludzi będzie musiała godzinami pozować do zdjęć.

– Gdy chce, sama umie wyjść z klasą.

A właśnie...

– Jeśli pozwolisz, to powiem naszym kierowcom, że skończyła przemawiać. Pewnie nie zostanie dłużej.

Arden przygląda mi się badawczo, jakby wiedział, że coś ukrywam. Albo gorzej: że kłamię jak najęta.

– Kiedy możemy się spotkać i przedyskutować powiększenie kolekcji Veroniki?

Tłumię westchnienie frustracji, które rozpaczliwie chce się ze mnie wyrwać.

– Kolacja w piątek? – proponuje.

– Brzmi świetnie – mówię, nie przeglądając w myślach swojego grafiku. Są zajęte stresowaniem się rosnącym z sekundy na sekundę dystansem między mną a Maximusem. Zmuszam się do uśmiechu, by osłodzić Ardenowi swoje odejście. – Wyślij mi szczegóły.

I nie oglądając się za siebie, ruszam do wyjścia za Maximusem. Im dalej od sceny, tym tłum jest rzadszy, ale nigdzie ani śladu mojego profesorka.

– Cholera – mruczę ochrypłym głosem. Zgubiłam go.

Przed głównym wejściem biblioteki rzucam okiem na sąsiedni Budynek Archera. Wszystkie okna są ciemne – wszystkie oprócz jednego słabo oświetlonego, znajomego okna na trzecim piętrze. Wbiegam po schodach i zziębnięta, acz pełna nadziei docieram do gabinetu Maximusa. Drzwi są uchylone i przez szparę widzę go stojącego przy oknie. Jedną rękę ma opartą wysoko na szybie, a w drugiej ściska szklaneczkę bursztynowego płynu.

Gdy otwieram szerzej drzwi, ich ciche skrzypnięcie przerywa martwą ciszę niczym uderzenie pioruna. Na ten dźwięk Maximus się wzdryga i odwraca od okna.

Opieram się o ościeżnicę, przez chwilę przyglądając mu się z lubością. Zdjął marynarkę smokingu i poluzował jedwabną muchę. Włosy wciąż ma upięte w kok na karku, więc nic nie przesłania malujących się na jego twarzy emocji.

– Myślałam, że cię zgubiłam – mówię cicho.

Opróżnia szklaneczkę i odwraca się z powrotem do okna.

– Jesteś zły. – Wchodzę do gabinetu i zamykam za sobą drzwi. – Z powodu Ardena.

– Twojego przyjaciela, zgadza się? – Kładzie lodowaty nacisk na drugie słowo, co mi bynajmniej nie umyka.

– Nie przyjaźnimy się. Nie wiem, dlaczego tak się przedstawił. Pracuje na zlecenie mojej matki. To wszystko.

– Jasne – mruczy pod nosem.

Robię kolejny krok w jego stronę.

– Mówię prawdę.

– Po to tu przyszłaś? Żeby powiedzieć mi prawdę? – Wciąż mówi do okna, co doprowadza mnie do szału bardziej niż jego insynuacje.

Staję tuż przy nim, na wyciągnięcie ręki.

– Przyszłam, żeby się z tobą zobaczyć.

Po dłuższej chwili przekrzywia głowę, po raz pierwszy od mojego wejścia patrząc mi prosto w oczy. Opieram się ręką o ścianę, by nie upaść pod ciężarem tęsknoty i frustracji w jego błękitnym spojrzeniu. Dziś jego tęczy mają barwę północy na cmentarzu i moje zmysły zalewa momentalnie fala podobnego smutku. Ale dzięki wieloletniemu doświadczeniu szybko tłumię te uczucia i prostuję plecy.

Biorę głęboki oczyszczający oddech, odrywam dłoń od ściany i wyciągam ją do niego. Mojemu opanowaniu zagraża kolejna fala emocji, ale z czułością muskam opuszkami palców ładną srebrną spinkę do mankietu na jego nadgarstku.

– Do twarzy ci w smokingu.

– A z zazdrością?

Patrzę na niego, mrugając, by opanować brzydki grymas. Nie po to za nim biegłam, żeby się teraz kłócić. Nie dam się sprowokować.

– Uczę się akceptowania wszystkich twoich cech. Nawet tych zaskakujących.

Bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze.

– Karo...

– Maximusie? – Skwapliwie powtarzam jego imię. Teraz, gdy jesteśmy sami, mogę udawać, że wnoszę je do niego niczym w modlitwie. – Traktuję to poważnie. Jak mam ci to jeszcze udowodnić?

Mruży oczy, zdradzając dyskusję, jaką prowadzi ze sobą w myślach, jeszcze zanim ją wyczuwam.

– W porządku. Powiedz mi coś o sobie. Cokolwiek. Chcę cię znać lepiej niż pierwszy lepszy obcy, który czyta o tobie w gazetach.

– Już znasz mnie lepiej. – To prawda, ale wiem, że to za mało. To go nie zadowoli. Nie tym razem. – Kto jest najbliższą ci osobą?

Mruga zaskoczony.

– Chyba Jesse.

– Z powodu tego, co się stało, kiedy byliście dziećmi?

– Niekoniecznie. Byliśmy przyjaciółmi jeszcze przed wypadkiem. Lubię myśleć, że gdyby się nie wydarzył, wciąż byśmy się przyjaźnili.

Uśmiecham się, czując łaskotanie zazdrości. Ja nie mogę kochać najbliższej mi osoby. Tak samo będzie z Maximusem, jeżeli ktoś się dowie o naszym kiełkującym związku.

– Czemu to ty mnie wypytyujesz? Mieliśmy rozmawiać o tobie, pamiętasz?

– Wiem. – Zamykam oczy z westchnieniem. – Dla mnie taką osobą jest dziadek.

– Giovani Valari? Ten scenarzysta?

Kiwam głową.

– Mieszka w domku gościnnym na terenie posiadłości mojej mamy w Beverly Hills. Nikomu nie wolno z nim rozmawiać. Latami wymyślałam sposoby, żeby się z nim widywać. Nadal tak jest.

Krzywi się.

– Ale przecież należy do rodziny. Jak mogą tak go traktować?

– Kiedy byłam małą, bardzo się ze sobą zżyliśmy. Potem wszystko się zmieniło. Nigdy nie rozumiałam dlaczego. I od tamtej pory tak to wygląda.

– I zwyczajnie to akceptujesz? – Kręci głową i wiem, że nic więcej nie mogę powiedzieć, by pomóc mu to pojąć. Ale zasługuje na to, by wiedzieć, co nas czeka.

– Wiedz tylko, że z tobą będzie tak samo. Jeśli się o nas dowiedzą, nie przełkną tego. Zakażą nam znajomości. Kell już ci o tym napomknęła.

Zaciska szczęki.

– Bo nie jestem sławny i bogaty? Nie mogę porwać cię na swój jacht i zaprosić na czerwony dywan?

Jego pełne goryczy słowa ściskają mnie za serce.

– Nie – zaprzeczam natychmiast. – Przysięgam, że to nie ma z tym nic wspólnego. Moja rodzina już i tak ma tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi robić. Inne rzeczy mają dla niej większą wartość.

– Na przykład?

– Na przykład... tradycja... kontrola... władza.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek z tobą. Z nami.

„Zasadniczy”.

Ale nie mogę mu tego powiedzieć. Nie rozumie i nigdy nie zrozumie. Nie może nawet dostać na to szansy.

Unoszę rękę i delikatnie przeczesuję palcami jego brodę.

– Gdy jesteśmy razem, nie myślę o tym. Alameda od początku była moją ucieczką przed tym światem. Ale ty... ty stałeś się dla mnie czymś więcej.

Czymś dużo więcej...

W najgłębszych zakamarkach mojej duszy kryje się wiedza, że miłość do Maximusa będzie moją zgubą. Oprócz rozkoszy, którą daje mi jego dotyk, i tych kojących chwil spędzonych w jego towarzystwie nic dobrego z tego nie wyniknie.

Ta rozkosz.

To ukojenie.

Ten raj na ziemi odpędzający piekło, do którego jestem sposobiona. Los, do którego zostałam spłodzona.

– Kim w takim razie dla ciebie jestem?

Przy nim oddycham pełną piersią.

I nawet jeśli to tylko na chwilę... Zadowolę się tym.

Przygryzam wargę i w zamyśleniu bawię się jego spinką do mankietu.

– Ostatnio zaczynam myśleć, że moje miejsce jest przy tobie. Przynajmniej teraz. – „Przez minutę. Godzinę. Tak długo, jak długo będzie nam dane”. – I nie jestem w stanie trzymać się od ciebie z daleka.

W pierwszej chwili Maximus nie reaguje. Nagle bez słowa splata nasze dłonie i staje przede mną.

– Moim życiem od zawsze rządzi samokontrola. Już nie pamiętam, by kiedyś było inaczej. Ale przy tobie... – Krzywi się lekko. – Daję słowo, że jeszcze nigdy nie czułem się tak bezsilny. Gdy tylko cię widzę, całą samokontrolę szlag trafia.

Przesuwam mu dłonią po piersi, rozkoszując się biciem jego serca.

– Przy mnie możesz się nie powstrzymywać.

Gdy mnie do siebie przyciąga, cieszę się, że skończyliśmy z rozmową. Słodkie i nieśpieszne zetknięcie naszych ust mówi o przebaczeniu i pewności drugiego. O przyjęciu rodzącej się między nami więzi. O oporze

wobec każdego, kto jej zagrozi. Więcej – to przypomnienie, jak błogo jest się poddać chwili i zatonać w jego objęciach.

Podnosi mnie bez wysiłku i sadza na szerokim parapecie, odsuwając stertę książek, by zrobić nam więcej miejsca. Jedna z nich spada z łoskotem na podłogę, ale jego dłonie się nie zatrzymują. Pieści swoimi nieziemskimi palcami każdy milimetr mojej nagiej skóry, docierając do ramion i dalej, do jedwabistych usztywnionych miseczek na moich piersiach. Potem schodzi niżej, pieszcząc moje uda przez wysokie rozcięcia w sukni. Zmusza mnie, bym rozwarła nogi, i przywiera do mnie.

Wzdycham. Słabnę. Poddaję mu się.

Mam wrażenie, że po całej tej dzisiejszej gimnastyce moje serce zamieniło się w balon i zajmuje całą powierzchnię potrzebną mi do oddychania. Maximus skubie ustami moją brodę, całuje i pieści skórę aż do ramienia, po czym odsuwa ramięczko, nie odrywając warg od mojego ciała. Ściągam je do końca, potem drugie i obnażam przed nim piersi. Bez najmniejszej żenady.

Nie porusza się i prawie nie oddycha. Mijają sekundy, a w jego oczach ślizgających się po moim ciele widzę niemy zachwyt.

– Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Na te słowa moja skóra się napina, ale pragnę więcej. Jestem złąkniona jego dotyku, ust, czegokolwiek, co zgasi we mnie to szalone pragnienie albo je zaspokoi.

– Dotknij mnie – błagam cicho.

Najdelikatniej w świecie zaczyna krążyć kciukiem wokół mojej piersi, powoli kierując się do środka. Otwieram usta, by znowu błagać go o dotyk, gdy nagle się nachyla i bierze do ust mój sutek. Ssie i pieści koniuszek językiem.

Wciągam gwałtownie powietrze.

– Och!

Gdy wplątam mu palce we włosy, wydaje z siebie gardłowy pomruk i między udami czuję, jak twardnieje mu penis. Moje pożądanie wyzwala je w nim. Odrywa się od mojej piersi tylko po to, by drugiej zaszerwować taką samą porcję rozkoszy. Skubie, ssie i liże, nadmuchując balonik w mojej piersi do granic możliwości.

Pulsowanie między udami odbiera mi resztki rozumu. Zaciskam nogi wokół jego talii, instynktownie ocierając się o jego penisa. Cichy głos w mojej głowie podpowiada, że wszystko dzieje się za szybko, ale głośniejszy krzyczy, że za wolno. Poczucie zagrożenia szybko ginie w płomieniach palącej żądz. Cała płonę, ale nie dbam o to.

„Nie chcę, by to się skończyło. Nigdy”.

Unosi głowę i ponownie wpija się w moje usta. Ten pocałunek jest brutalniejszy od wcześniejszych. Jakby zaraz miał stracić nad sobą panowanie. Powinno mnie to martwić, ale tak nie jest. Ufam mu. Ufam temu, co jest między nami.

– Kara...

Moje imię gaśnie mu na ustach.

– Nie chcę przestawać – odpowiadam gorączkowym szeptem.

– To dobrze. Bo ja pragnę skosztować więcej. Dużo więcej.

Jego dłonie wędrują wyżej, aż do moim stringów.

– Chcę, żebyś doszła, Karo. Zwariuję, jeśli cię nie skosztuję.

Nasze spojrzenia się spotykają. W jego wygłodniałych błękitnych oczach roi się od pytań. I już wiem, co będzie dalej. Pieści mnie kciukiem z przodu przez majteczki i wstrząsa mną dreszcz, pierwsza obietnica orgazmu.

– Powiedz tak – szepcze, powtarzając pieśczęotę.

W odpowiedzi jęczę, co chyba bierze za zgodę, bo podnosi mnie z parapetu i sadza na brzegu biurka.

Patrząc mi w oczy, ściąga mi majtki i rzuca je na bok, po czym klęka, liżąc i całując wewnętrzną stronę moich ud. Cała drżę. W tym chaosie zmysłów zdaję sobie nagle sprawę, że to nie tylko pożądanie. To również strach, nerwowe wyczekiwanie i wszystko, co przy nim czuję, a nie powinnam. Wszystkie zakazane i złe rzeczy, które robimy, a które wydają mi się doskonale dobre. Niewyobrażalnie idealne...

Podnosi wzrok i znowu napotykam jego intensywne spojrzenie.

– Karo, cała się trzęsiesz.

– To tylko z nerwów. – Mój szept jest niemal niedosłyszalny. Mogłabym przysiąc, że Maximus przejrzał mnie na wylot. Może nawet podejrzewa, jaką granicę właśnie przekraczam. Granicę, której jeszcze z nikim nie przekroczyłam. Nawet sama myśl o tym zawsze była zbyt niebezpieczna. I nikt nigdy nie był wart takiego ryzyka.

Gdy nieruchomieje, wibracje między nami się zmieniają. Gęstnieją. Stają się bardziej rzeczywiste. Ważniejsze.

– Możemy przestać. Jeśli nie jesteś pewna...

Potrząsam głową. Na chwilę przerywa, jakby rozważał moje słowa – albo prawdomówność.

– Jest okej – mówię. – Jestem pewna.

Kładzie mi rękę na brzuchu, a potem na klatce piersiowej. Dotykając miejsca, gdzie moje serce bije jak oszalałe, marszczy brwi. Przez kolejną długą sekundę już myślę, że moje roztrzęsienie go powstrzyma...

– Połóż się, piękna.

Dzięki gwiazdom na niebie, że jednak nie.

Od jego seksownego pomruku i władczego pchnięcia robi mi się coś w środku. Gdy uderzam plecami o szeroki drewniany blat, kręci mi się

w głowie od nowej fali pożądania, a gdy jego język i usta dotykają mojego najintymniejszego miejsca, sięgam nowych szczytów rozkoszy. Zsuwam się z biurka ze słabym okrzykiem na ustach. Moje biodra same zaczynają się poruszać i szybko wciąga nas erotyczna gra w przyciąganie i odpychanie. Sprawdziany siły i woli. Cierpliwości i pragnienia.

Udaje mu się przygwoździć mnie do biurka, a po każdym muśnięciu jego języka świat wiruje mi przed oczami. Ciśnienie rozlewa mi się z klatki piersiowej na całe ciało. Pulsuje w kończynach i głęboko w brzuchu.

– Maximu... aaa! – Moje dłonie wyplątują się z jego włosów i uderzają w biurko nad moją głową, rozrzucając jakieś papiery. Zaciskam palce na jego krawędzi.

Orgazm przychodzi o wiele za szybko. Jest bolesny, ale cudowny w swojej intensywności. Jękowi boleści, który wyrywa się z ust Maximusa, odpowiada mój nieposkromiony krzyk. Gdy pulsowanie rozkoszy mija, jestem w stanie tylko łkać.

– Chodź tu – nakazuje ochrypłym głosem.

Podnosi mnie i nasze usta i piersi znowu się zderzają, a między nami rozlega się ostatni cichy jęk. Wsuwa mi palce we włosy, odchyła mnie i całuje do utraty tchu. Ale gdy się od siebie odrywamy, jego wyraz twarzy momentalnie się zmienia. Przygląda mi się oszołomiony.

– Karo... Twoje oczy.

Wciągam gwałtownie powietrze, odwracam głowę i spuszczam wzrok. Jeśli moje uniesienie wygląda tak samo jak wściekłość, to właśnie zobaczył w moich oczach ogień. Kolejny niewygodny przejaw mojej biologii, który nauczyłam się ukrywać. Powinnam była o tym pomyśleć, zanim dałam się ponieść zmysłom.

– Co się stało? – dopytuje. – Karo?

– Wszystko – szepczę.

– Co? Dlaczego?

Nie odpowiadam. Już i tak jestem zbyt bliska zdradzenia się przed nim.

Co ja sobie myślałam, do cholery? Gdzie ja mam głowę?

Muska moją dłoń i w tej samej chwili zauważa głębokie wgniecenia, które zrobiłam w jego biurku.

I on się bał, że w przypływie namiętności zrobi mi krzywdę?

Tym pytaniem odpowiadam sobie na pierwsze.

Wyłączyłam myślenie. I w tym problem.

– Przepraszam – bąkam. – Muszę już iść.

Obciągam sukienkę, ześlizguję się z biurka i chwytam swoją kopertówkę, którą zostawiłam na półce pod oknem.

Nie jestem w stanie nawet na niego spojrzeć. Ani się z nim pożegnać. Uciekam.

Maximus

NIE CHODZI O TO, ŻE MI UCIEKŁA – znowu – zostawiając mnie z jeszcze większą liczbą pytań niż kiedykolwiek wcześniej.

Ani nawet o pożądanie, z którym musiałem się przez nią zмагаć całą noc, nabrawszy pewności, że kolor czerwony powstał specjalnie dla niej.

Chodzi o coś więcej. Bo nasza relacja weszła na nowy poziom.

Widziałem nie tylko jej nagą skórę, gwałtowne podniecenie, rozwarte apetyczne wargi poddające się atakowi moich wygłodniałych ust i boskie, rozgrzane ciało, gdy rozłożyła przede mną nogi, czekając, aż skosztuję jej soczystej głębi.

Widziałem jej sekrety.

Część sama przede mną odkryła. Ale inne, przez które w takim pośpiechu ode mnie uciekła, już nie. Tak więc gdy słońce wznosi się nad kampusem, a ja kończę oceniać ostatnią pracę semestralną, jestem tak samo sfrustrowany i wściekły jak osiem godzin temu, kiedy patrzyłem, jak wypada stąd, jakby stanęła w płomieniach.

O. Cholera.

Czyżby rzeczywiście stanęła w płomieniach?

Co naprawdę się wczoraj stało?

Raz po raz odtwarzam w głowie wydarzenia wczorajszego wieczoru. Te doskonałe minuty, które nieustannie mnie dręczą – tak intensywnie, że lada moment zrobię penisem dziurę w spodniach pogniecionego smokingu. Chodzę w tę i z powrotem po gabinecie w promieniach porannego słońca, żałując, że to nie wczorajszy księżyc. Tak bardzo pragnę cofnąć czas i przeżyć to jeszcze raz – ale tym razem uzbrojony w obecną wiedzę.

„To znaczy?”

Słyszając w głowie to kpiące pytanie, zatrzymuję się w pół kroku. Dość mam już tej żalostnej bezcelowej wędrówki po gabinecie. Kara coś ukrywa – to jasne jak słońce za oknem i zwęglone wgniecenia w moim biurku. Odkrycie jej tajemnic będzie trudniejsze niż rozbudzenie w niej namiętności, ale wyzwania nie są mi obce. Codziennie stawiam czoło ciężkiej próbie o nazwie samokontrola.

A teraz mam ważną wskazówkę na początek śledztwa.

Godzinę później, zaopatrzony we wszystkie scenariusze, które Giovanni Valari kiedykolwiek napisał, zaszywam się w najgłębszym kącie drugiego piętra biblioteki. W budynku panuje niczym niezmacona cisza, najpewniej spowodowana tym, że większość studentów odsypia wczorajszego kaca. I dobrze. Wystarczy mi hałas w pękającej od pytań głowie.

Skąd się wzięło nasze wzajemne przyciąganie? Tak silne, że neguje biologię, chemię, rozum?

Dlaczego choć Kara przyznaje, że więź między nami istnieje, ucieka ode mnie, kiedy chcę tę więź wzmocnić? Dlaczego jedyne logiczne wyjaśnienie, które mi się nasuwa, wydaje się mieć jakiś związek z jej rodziną i jak mocno te macki trzymają Karę?

Jak wyjaśnić ogień, który dosłownie pojawił się w jej oczach?

Dlaczego bez przerwy się ukrywa? Co ukrywa?

Pora na poważnie zagłębić się w te pytania.

Kącik badawczy na drugim piętrze jest moją ulubioną biblioteczną kryjówką, bo mając do dyspozycji jaśniejsze nowsze miejscówki, niewielu studentów tu zagląda. Podejrzewam, że po otwarciu nowego skrzydła – które z każdej strony odzwierciedla krzykliwe gusta Veroniki Valari rodem z mediów społecznościowych – nikt nie będzie tu zaglądał. Nie żebym narzekał. Teraz mam jeszcze więcej miejsca, żeby rozłożyć materiały i...

– Co, do diabła...?

Słyszac moje burknięcie, Jesse podnosi głowę i posyła mi swój popisowy złośliwy uśmiezek.

– Cóż za miła niespodzianka! – mówi przeciągle. – Myślałem, że o tej porze będziesz jeszcze tonął w pracach semestralnych.

– A ja myślałem, że będziesz popijał kawkę w łóżku z rudą pięknoscia, która wczoraj przez całą imprezę trzymała ci język w uchu.

– Wiesz, piżama party z dziewczynami ma swoje zalety.

– Wierzę na słowo.

– Może nie musisz? – Obrzuca znaczącym spojrzeniem mój wymięty smoking. – Choć język tamtej uroczej panny pukał w moją błonę bębenkową, oczy funkcjonowały bez zarzutu, panie profesorze. Coś za szybko się zmyłeś z wczorajszej gali, a po piętach deptała ci, cóż za niespodzianka!, Kara Valari w czerwonych szpilkach.

Zanim mam szansę je powstrzymać, oczy same mi się zwężają.

– Czy ty właśnie wmieszałeś błonę bębenkową i buty Kary do opowieści o swojej grze wstępnej?

– Nie ma nic lepszego niż połączenie ludzkiej anatomii i pięknych damskich szpilek, przyjacielu.

– Parę rzeczy mogę jednak wymienić.

– Tylko mi nie mów, że wczoraj oddawałeś się którejś z nich. – Ze sterty leżących na stoliku książek wyjmuję jakieś opasłe tomiszcze

i otwiera je na olśniewającym rysunku Układu Słonecznego. – Nie rozczaruj mnie, stary. Nie chcę słyszeć, że odrzuciłeś zapatrzoną w ciebie kobietę w takiej sukience.

Nieśpiesznie szoruję dłonią po podbródku.

– Dobra, nie usłyszysz.

– Dziękurwa. – Opuszcza głowę i unosi brwi. – Więc?

Zaciskam usta.

– To skomplikowane.

– Kolego, giełda jest skomplikowana. Godziny szczytu na Pico Boulevard? Skomplikowane. Ale zauważenie, że oszałamiająco piękna kobieta na ciebie leci, i podjęcie działań w tej sprawie? Maximusie Kane, to nie jest skomplikowane. To błogosławieństwo bogów.

Gdy kończy w stylu godnym prawdziwego filozofa, pozwalam sobie na lekki uśmiech. Wciąż czuję na ich powierzchni nikły posmak Kary. W duchu się modłę, by nigdy się nie ulotnił.

– No cóż, bogowie nie muszą się martwić, że ich dary poszły na zmarnowanie – szepczę w końcu i wymierzam w niego palec. – Ale nic więcej nie powiem. Koniec dyskusji.

Podnosi rękę i porusza nią jak konduktor ciągnący za linkę syreny.

– Muszę to powtórzyć: dziękurwa.

To najlepszy moment na zmianę tematu. Przyglądam się tytułom książek, które zamówił. Wszystkie to opasłe tomy, tak cenne, że nie można ich wynosić z biblioteki.

– A co pana sprowadza dziś w zacisze biblioteki, profesorze North? I co ważniejsze, czy zostawił pan studentom choć jedną książkę o astronomii na półkach?

– Mam misję. – Prostuje ramiona. – Misję znalezienia paru cholernych odpowiedzi. – Przenosi wzrok na sufit. – Czy ktoś mnie słyszy? Błagam o wyjaśnienie!

Ściągam brwi.

– Wyjaśnienie czego?

– Tajemnicy gwiazdozbioru, który Kell Valari sfotografowała tamtej nocy. – Ze ściągniętą twarzą pokazuje mi powiększone, wydrukowane na papierze fotograficznym zdjęcie z telefonu Kell. – Poddaję się. Nie mam zielonego pojęcia, co to.

– Przez co pewnie masz ochotę urwać komuś łeb.

– Tak. Sobie. – Rzuca zdjęcie z powrotem na stolik. – Ale ten gwiazdozbiór, jeśli w ogóle nim jest, nie ma racji bytu. Nie tylko na wschodnim niebie o tej porze roku, ale na *żadnym* niebie o *żadnej* porze. To cholerstwo jest za duże na dron, a na samolot też nie wygląda, nawet wojskowy.

– No to kiszka. – Nie potrzebuję percepcji Kary, by wyczuć udrękę Jessego. Odkąd został skazany na wózek, zdawał sobie sprawę, że musi polegać na sile umysłu. I wyszlifował go jak brylant. Gdy mój przyjaciel czegoś nie wie, nie spocznie, dopóki tego nie rozgryzie.

– Hm. – Chrząka. – Nie powiedziałbym.

– Jak to?

– Tak to, że w tej chwili już prawie mam nadzieję, że nie znajdę prawdopodobnego rozwiązania tej zagadki.

Mrużę oczy jeszcze bardziej.

– Dlaczego?

– Bo wtedy mógłbym przedstawić teorię, że to nowy gwiazdozbiór.

Zawieszam palec nad touchpadem swojego laptopa. Arkusz, na którym pracuję, jest na razie zbiorem pustych niebieskich komórek, ale mam zamiar szybko je zapełnić podczas wertowania scenariuszy.

– Mówisz poważnie? – wyduszam w końcu.

Jesse kiwa głową.

– Bardzo poważnie.

– Jak to w ogóle możliwe? – Moja wiedza na temat jego specjalizacji jest tak samo okrojona jak jego wiedza o mojej, ale ogólne pojęcie mam. – Istnieje osiemdziesiąt osiem gwiazdozbiorów, zgadza się? I od prawie stu lat to się nie zmieniło.

– Właśnie to sprawia, że nauka jest wspaniała. Niemożliwe staje się możliwe. – Sięga po zdjęcie Kell i porusza nim. – Na przykład znalezienie nowych gwiazd na niebie.

Na jego uśmiech pełen ekscytacji odpowiadam lekkim uniesieniem kącików ust.

– Ale pamiętasz o innych elementach układanki, prawda? Osiedlach u podnóża tego wzgórza? Aglomeracji po drugiej jego stronie? A co, jeśli jakieś dzieciaki po prostu bawiły się latarkami?

– W samym środku przerażającej burzy i oberwania chmury? Szczerze wątpię.

Cały Jesse. „Niemożliwe staje się możliwe”. Nigdy nie pozwolił, by ograniczenia fizyczne stanęły mu na przeszkodzie, a jego ulubionym hobby jest działanie mi na nerwy.

Tak jak teraz, gdy uśmiecha się złośliwie na widok moich materiałów.

– Czyżby pewna dama w czerwieni rozbudziła w panu miłość do klasyków kina, profesorze Kane?

– Nie inaczej – odpowiadam dobrodusznie.

Przygląda się bliżej scenariuszom.

– Wow. To wszystko oryginały?

– Na swój sposób. Niektóre to kopie z prób czytanych, ale wszystkie pochodzą z roku ekranizacji.

– Wow. Nawet nie wiedziałem, że mamy je w bibliotece. Pewnie niedługo przeniosą je do nowego skrzydła.

– Pudło.

– Hę?

– Giovanni Valari nie utrzymuje kontaktów z większością rodziny. Nie z własnej woli, ale ze względu na pewne zdarzenia z jego przeszłości...

– No tak. – Jesse kiwa refleksyjnie głową. – „Zdarzenia”. Taktownie to ująłeś. Podobnie jak „nie utrzymuje kontaktu”. – Na szczęście nie pyta o relacje Kary z dziadkiem.

Bierze do ręki jeden ze scenariuszy, otwiera i zaczyna wertować.

– Ten wygląda dość interesująco. *Piekielna zapłata*. Nie pamiętam tego filmu, a powinienem. Zawsze uważałem Valariego za mistrza thrillerów szpiegowskich i kina gangsterskiego, ale ten spodobałby się również miłośnikom kina artystycznego.

– Jesse – mówię ze ściśniętym gardłem, podnosząc wzrok.

– Myślisz, że film wyszedł tylko w kinach studyjnych? W tamtych czasach kino niezależne nie cieszyło się takim prestiżem jak dziś. A ten scenariusz powstał po tej aferze z aktorką i jej mężem. Valari stracił całą renomę. To jego córka przywróciła nazwisku...

– *Jesse*.

– Co?

– Musisz o czymś wiedzieć.

Odkłada otwarty scenariusz na stolik, zaznaczając miejsce, w którym skończył czytać.

– To brzmi poważnie.

– No. – Składam dłonie jak do modlitwy, zastanawiając się, czy nie powinienem był zacząć od niej dnia, i opieram podbródek na splecionych palcach. – Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny, prawda?

Marszczy brwi.

– Masz na myśli to, że zamawiasz pizzę z toną parmezanu? Albo że zostawiasz brzegi i potem karmisz nimi bezdomne psy w drodze na siłownię? A może coś mroczniejszego, na przykład swoją obsesję na punkcie memów z Garfieldem?

– Mam na myśli coś dużo mroczniejszego – wyrzucam z siebie w strachu, że się rozmyślę. – Jak byłem w stanie zrobić ci to, co zrobiłem. Dlaczego jestem w stanie robić inne... dziwne rzeczy.

Odsuwa się z wózkiem, zostawiając swój sarkazm na scenariuszu *Piekielnej zapłaty*.

– Czemu o tym mówisz?

– Bo myślę, a w zasadzie mam pewność, że Kara Valari jest taka jak ja. – Podnoszę ręce i wsuwam palce we włosy. – Tak, wiem, że to brzmi jak wariactwo. I choć może nie do końca tak jest...

– A jak jest?

To pytanie brzmi w jego ustach prawie jak warknięcie. Nie dziwię mu się. Przez moją „anomalie” resztę życia spędzi na wózku, a teraz jeszcze dzielę się z nim szokującymi rewelacjami, że być może nie jestem jedynym dziwadłem z nadludzką siłą na świecie. Co tam na świecie – w mieście.

Podnoszę wzrok i kręcę smętnie głową.

– Ona jest inna, Jesse. I działa na mnie inaczej niż cała reszta. Na pewno cię to nie dziwi. Zauważyłeś to już pierwszego wieczoru, gdy nas

razem zobaczyłeś. Sam mnie namawiałeś, żeby rozwijać tę znajomość.

– Bo myślałem, że cię trochę rozkręci, głąbie. Że pójdziesz z nią na parę prawdziwych, normalnych randek. Na spacer po plaży. Minigolfa. Skoki ze spadochronem.

Garbię się, oparłszy łokcie na stoliku.

– Już się czuję, jakbym spadał z wysokości. – Odchylam głowę i pocieram oczy. – I nie mam pojęcia, gdzie się rozbiję.

– Czemu po prostu nie spytasz o to Kary? – przeciąga. – Chyba będzie wiedziała, co?

– Gdyby odpowiedź była taka prosta, toby mi jej udzieliła, zamiast krążyć wokół tematu. A ja nie siedziałbym tu nad scenariuszami sprzed czterdziestu lat, modląc się, że znajdę w nich jakąś wskazówkę prowadzącą do rozwiązania zagadki.

Rozwiązania, które leży głębiej. Teraz to wiem. Cholera, *widzę* je za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotykają. We wszystkich bolesnych cieniach, które pokazuje mi w swoich oczach. I w tych niesamowitych hipnotyzujących płomieniach, które się w nich rozpalają, kiedy jest wściekła albo ponosi ją namiętność...

– No dobrze – mówi cicho Jesse – spróbujemy rozłożyć to na czynniki pierwsze. Dlaczego sądzisz, że jest taka jak ty?

– Ma... intuicję.

Jesse unosi brew, czekając, aż rozwinę myśl. Gdy tego nie robię, przerywa ciszę.

– Ma intuicję. I to wszystko? Mnóstwo ludzi ma intuicję, Maximusie. Cholera, Reg i Sarah wiedzą, że mam grypę, trzy dni przede mną!

Nie wiem, jak to inaczej ująć. Ja. Nie wiem, jak ubrać coś w słowa.

– Ale nie taką, do diabła.

– A jaką? Czyta ci w myślach czy co?

– Nie. To też nie tak. Nie do końca.

– Okej, to w czym? W sercu? W duszy?

Wydaję z siebie westchnienie frustracji.

– Można powiedzieć, że po trochu w jednym i w drugim. – „Albo nawet dużo”. – Najlepszym słowem byłaby tu chyba... hiperempatia. Wyczuwa emocjonalne wibracje u ludzi.

– Emocjonalne... wibracje.

– Tak. Fale energii. Tyle że bardziej specyficzne.

– Fale... energii.

– Tak.

– Bardziej specyficzne. A mógłbyś jeszcze bardziej rozwinąć?

Przeklinam pod nosem.

– Nie mam pojęcia, czemu sądziłem, że w to uwierzysz.

Tak naprawdę dobrze wiem czemu. Jeszcze kilka minut temu opowiadał o nowych gwiazdach, a nawet o nieodkrytym gwiazdozbiornie. Skoro wierzy, że „niemożliwe staje się możliwe” po zmieszaniu helu, tlenu i pieprzonych anielich łez, dlaczego jest tak zatwardziały sceptyczny w stosunku do moich rewelacji?

– O płomieniach, które widziałem w jej oczach, też masz jakiś gotowy tekst?

– W to mógłbym jeszcze uwierzyć – odpowiada. – Co prawda samozapłon ludzkiego ciała został generalnie uznany za mit, ale w jej przypadku nie mówimy o całościowym zjawisku. Jeśli oczywiście nie liczyć wystąpienia w tamtej czerwonej kiecce...

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominał o niej z tym złośliwym uśmiechem, kretynie. – Jeszcze nigdy go tak wrednie nie nazwałem, ale

tym razem sobie zasłużył.

– Tak, tak. Przepraszam...

Przerywa, więc podnoszę z powrotem wzrok. Wpatruje się nieruchomo w otwarty scenariusz, który trzyma w dłoniach.

– Hej – próbuję zwrócić na siebie jego uwagę. – Ziemia do Gwiazdy Polarnej. Ta historia na pewno nie jest aż tak wciągająca.

Jesse zaczyna kręcić głową, po czym ewidentnie zmienia zdanie i próbuje kiwnięcia, przez co w efekcie wychodzi mu coś na kształt odwróconej ósemki.

– Dużo *naświetla* – mówi. – To znaczy... chyba...

Głos ma równie dziwny jak zachowanie. Odwraca scenariusz do góry nogami i mi go podaje.

– Od tego miejsca. – Dźga ustęp palcem.

Zbliżam tekst do twarzy i zaczynam czytać. „Anthony siada gwałtownie na łóżku, budząc się z koszmaru. Podnosi wzrok i się wzdryga. W nogach łóżka kuca naga Visalia. W jej oczach płonie żywy ogień. Anthony zaczyna mówić, ale mu przerywa”.

– „Już czas, Anthony” – czyta dalej Jesse, wykręcając się, by lepiej widzieć tekst. – „Piekiło podarowało ci drugie życie. Oto cena za twoje odrodzenie. Danina z krwi”.

Scena jest dłuższa, ale te kilka linijek sporo *naświetla*, jak ujął to Jesse. Po pierwsze, potencjalne powody, dla których zekranizowana wersja *Piekielnej zapłaty* nigdy nie ujrzała światła dziennego. Cenzura w najlepszym wypadku sklasyfikowała ją jako film tylko dla dorosłych. Ale sądzę, że nawet do tego nie doszło. Intuicja tak silna jak bicie serca podpowiada mi, że scenariusz w ogóle nie trafił do wytwórni... Bojkot Giovaniego Valariego już się zaczął...

Bo napisał prawdę? Czy to może być... o jego życiu?

Gdy ostatecznie dociera do mnie ta szokująca myśl, omal nie spadam z krzesła. Łapię się za pierś, pewny, że zwałił się na nią sufit. A wraz z nim niebo.

– Boże w niebiesiech – mówię ochrypłym głosem.

– Nie ten kierunek, stary – szepcze Jesse. – Spróbuj jeszcze raz, tylko w przeciwną stronę.

Kara

– „STĄPAMY, DEPCĄC WIDEM GĘSTE ZGRAJE, dżdżem katowane i stawiamy pięty, na ich marności, co się kształtem zdaje. Leżały wszystkie pogrążone w męty...”*.

Ktoś głośno kaszle, przerywając mu w pół zdania. Zamiast dokończyć strofę, zaznacza palcem miejsce w poemacie i zamyka książkę. Studenci podnoszą wzrok znad własnych tekstów i śledzą go spojrzeniem, gdy zaczyna się przechadzać wzdłuż sali.

– W istocie, „pogrążone w męty” – powtarza cicho, jakby próbował coś rozgryźć, choć to on ma nam naświetlać znaczenie poematu Dantego.

Boję się, że dzisiejszy wykład potoczy się w zupełnie inną stronę, a to z powodu spojrzeń, które mi rzuca. Tak intensywnych, że stopiłyby metal. Na nic się nie zdało, że na powrót schowałam się w tylnych rzędach. Po tym, co robiliśmy tamtej nocy... i po tym, gdy zobaczył, do czego jestem zdolna, nie miałam odwagi usiąść bliżej. Jednocześnie nie byłam też w stanie odpuścić zajęć. Chyba naprawdę mam masochizm we krwi razem z DNA demona i unikatową chemią organizmu, który każdą komórką pragnie być przy tym mężczyźnie, nawet w takich okolicznościach.

I tak znowu patrzymy sobie w oczy, prowadząc intymną rozmowę wobec pięćdziesięciorga innych studentów.

– Panno Valari – odzywa się głębokim ostrym głosem – postać Cerbera jest pani znana, zgadza się?

W jego tonie słyszę pewność, na której dźwięk robi mi się gorąco. Nie z podniecenia, ale ze strachu, by z niczym się nie zdradzić – co zaniedbałam po tym, jak zafundował mi tamten potężny orgazm.

Patrząc z perspektywy czasu, choć besztam się za tę utratę panowania nad sobą, wcale mnie ona nie dziwi. Ten intymny moment był prawdziwym trzęsieniem ziemi, na zawsze zmienił krajobraz mojego ciała, umysłu i zmysłów. Od tamtej pory nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Stukam paznokciami w notatki, ze wszystkich sił usiłując przegonić te myśli chociażby na czas zajęć.

– Naturalnie.

Na jego ustach pojawia się wymuszony uśmiech.

– Tak sądziłem. Może przybliży nam pani postać tej żarłocznej bestii, którą Dante spotyka w trzecim kręgu?

Spoglądam w notatnik pełen bezmyślnych bazgrołów. Burzącą się we mnie krew ucisza nagła fala strachu. Przez tyle zajęć marzyłam, by zabłysnąć, a on musiał wybrać ten jedyny moment, kiedy wolałabym milczeć. Przedłużająca się cisza zmusza mnie do odpowiedzi. Odchrząkuję, nie podnosząc wzroku.

– Cerber... to trzygłowy wilk strzegący bram do zaświatów.

– I jaka jest jego rola?

Zamykam oczy.

– Wszystkich wpuszcza i nikogo nie wypuszcza.

– Nikogo nie wypuszcza.

Usłyszawszy to powtórzenie, podnoszę wzrok. To zdecydowanie nie jest pytanie. Prawdę mówiąc, dziwnie przypomina prowokacyjne

stwierdzenie, co jego nieruchome spojrzenie niemal potwierdza.

Czuję nagły ucisk w gardle i przełykam ślinę.

– Mniej więcej – mówię, siląc się na lekki ton.

Do czego on zmierza, do diabła? A może tym wyrwaniem do odpowiedzi odpłaca mi za to, że mu uciekłam? Zraniłam jego ego i pewnie myśli, że prowadzi teraz jakąś intelektualną gierkę, ale nie ma w tym nic z zabawy. Tylko jak mu to powiedzieć bez wyznawania prawdy?

Nie może się nigdy dowiedzieć, że niemal się ociera o prawdę o mojej rodzinie.

Sznuruje usta i kiwa lekko głową w odpowiedzi, po czym na powrót otwiera tekst *Komedii*.

– „Wzrok toczy krwawy, czarne kudły wstrząsa, kłęb ma wydęty i szponiaste ręce; drze pazurami i targa, i kąsa”^{**}. – Zamyka głośno książkę. – W opisie Cerbera Dante używa wyrażenia „szponiaste ręce”. To mu nadaje ludzki charakter, nieprawdaż?

Moje ręce z kolei zaczynają drżeć. Sięgam po długopis i znowu mażę bezmyślnie na marginesie.

– Nie wiem – bąkam.

– Nie wie pani? Przepraszam, nie dosłyszałem.

Drań.

Pieprzyć ratowanie go przed rozszarpaniem przez moją rodzinę. Zabiję go pierwsza.

W ciągu dwóch tygodni przeszedł od bronienia mnie przez próbę wyrzucenia z zajęć do tego.

Ciche chichoty na sali dolewają oliwy do ognia mojej wściekłości. Podnoszę wzrok i patrzę mu prosto w oczy, nie dbając, czy w moich własnych stają płomienie.

– Nie. Wiem – warczę niemal wyzywająco, by jeszcze trochę posprawdzał moją wiedzę na temat miejsca, o którym ma szczęście wiedzieć tak niewiele.

Jego usta się rozchylają, a wzrok łagodnieje – pierwsze przejawy wyrzutów sumienia, że wciągnął mnie w ten spektakl. Bo to wypytywanie tym właśnie się stało: spektaklem. Jestem zapięta pod szyję, ale równie dobrze mogłabym siedzieć tu w samej bieliźnie. Albo nawet i bez. Obnażył mnie w podzięce za to, że chronię go przed mroczną i niebezpieczną prawdą.

Przerywa nasz kontakt wzrokowy i pośpiesznie wraca do tekstu poematu. Przez resztę zajęć omawia mniej ekscytujący motyw, jedną z przepowiedni politycznych Dantego. Zerkam na zegar, przygotowując się do ucieczki, gdy tylko wypuści nas z sali. Ale gruby plik prac semestralnych, które trzyma w ręku, niestety przypomina mi, że przed opuszczeniem tego szczególnego kręgu piekła czeka mnie jeszcze jedna przeprawa z profesorem.

– Pamiętajcie, by przed wyjściem odebrać swoje prace – mówi. – W razie pytań wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Zajmuję miejsce na tyłach sali, więc postanawiam poczekać, aż zrobią to inni studenci. Ale gdy wszyscy wychodzą, Maximus ma puste ręce.

Przewieszam plecak przez ramię i schodzę powoli ze schodków w stronę opartego o biurko Maximusa. Zatrzymuję się tuż przed nim.

– Brakuje panu tylko obręczy cyrkowych, profesorze.

Krzywi się.

– Słucham?

– Oddasz mi moją pracę czy muszę odpowiedzieć jeszcze na parę pytań, żeby na nią zasłużyć?

Jego słowa są równie zjadliwe:

– Może gdybyś była ze mną trochę bardziej szczerą, nie musiałbym cię tak wypytywać.

Spinam się.

– Posłuchaj, nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale...

– *Piekielna zapłata.*

Milknę.

– Co?

– To pierwszy scenariusz, który Giovanni Valari napisał po tym, jak Malcolm Caulfield do niego strzelił, o mało go nie zabijając. Czytałaś?

Zaciskam usta.

– Nie.

– A ja tak.

Usiłuję przełknąć kolejną bolesną kulę w gardle, chcąc, żeby zniknęła. Żeby w ogóle nie było całej tej rozmowy. Może uda mi się przyśpieszyć sprawę. Obchodzę go, przeczesując wzrokiem biurko w poszukiwaniu mojej pracy. Nic. Z ciężkim westchnieniem krzyżuję ręce na piersi.

– Maximusie, po prostu oddaj mi moją pracę i pozwól odejść.

– Nie ma mowy.

– Czemu, do cholery? – warczę.

– Musimy porozmawiać.

Prycham.

– O czym? O twoich teoriach na temat scenariusza, który mój dziadek napisał ponad czterdzieści lat temu?

– Nie wiesz, o czym jest?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Ze wszystkich sił staram się udawać brak zainteresowania, tak jak zrobiłaby Kell. Ale chyba nie jestem

wystarczająco przekonująca, bo staje na wprost mnie, patrząc mi prosto w oczy.

– Jest o przegranym scenarzyście. Przeżutym i wyplutym przez Hollywood. Emocjonalnie poobijanym złymi wyborami życiowymi. Wszystkimi swoimi grzechami. Popęnia samobójstwo, ale udaje mu się wyrwać ze szponów piekła. Potem poznaje piękną kobietę, która nie jest tym, kim się wydaje, a on uświadamia sobie, że jego piekło dopiero się zaczyna.

Rozdziawiam usta, ale z gardła wydobywa mi się tylko kilka ochrypłych odgłosów frustracji. Nagle to wszystko mnie przerasta. Zamykam buzię, wściekła na dziadka, że postanowił spisać całą prawdę. Całą tę przerażającą, okropną prawdę.

Nie jestem w stanie słuchać tego ani minuty dłużej. Odwracam się i ruszam do wyjścia, ale Maximus łapie mnie za rękę i przyciąga z powrotem. Próbuję się mu wyrwać, lecz jest silniejszy. Żadna niespodzianka, choć w tej chwili nie chcę tego zaakceptować. Ale gdy tylko nasze oczy się spotykają, nieruchomieję. Jego spojrzenie – zdesperowane, zdeterminowane i spragnione – mówi mi, że jego potrzeba, bym została, jest silniejsza od mojego pragnienia ucieczki.

– Okłamywałaś mnie, Karo.

Do diabła, mam ochotę spalić go spojrzeniem, ale wiem, czym to grozi. Nowymi łzami. Zamiast tego obnażam zęby.

– Z nikim nie byłam tak szczerą jak z tobą. Z *nikim*. Jak możesz nie widzieć...

– To powiedz mi dlaczego. – Nie oskarża. Błaga. – *Dlaczego?*

Słyszając jego zboląły głos, robię kilka urywanych oddechów. Naprawdę kłamałam? Tak to widzi? Czy moje przemilczenia przekreślają mnie w jego oczach?

– Cerber, wilk z twojego kolczyka... – dopytuje.

– C-co z nim?

– Coś znaczy. Prawda?

– Nie – zaprzeczam pośpiesznie. – To zwykły kolczyk. Pamiątka rodzinna od...

– Nie jest w twoim stylu.

– Nagle jesteś takim znawcą mody? – Nareszcie udaje mi się uwolnić z jego uścisku.

– Powiedziałaś, że nie jestem w stanie zrobić ci krzywdy. – Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów, nie ustępując. – Zastanawiam się teraz, czy to prawda. Jesteś cholernie silna jak na kogoś tych gabarytów.

Zaciskam usta. Na to już nie mam argumentu. Nie ukrywałam przed nim swojej siły, żeby wiedział, że nie jest dla mnie fizycznym zagrożeniem.

– A twoja rodzina – ciągnie – która wyrzekła się twojego dziadka? To też by się zgadzało, prawda?

– Nic nie rozumiesz. – Cofam się o krok. – To skomplikowane.

– Na to wygląda. Bardziej, niż byłbym sobie w stanie wyobrazić. Ale okazuje się, że wystarczył jeden wieczór z tobą w ramionach, żeby dodać dwa do dwóch. Biurko. Ogień w twoich oczach. Piekło, Karo...

Mrugam. Intensywnie. To by było na tyle, jeśli chodzi o niezdradzanie się oczami. Czuję napływające do nich gorące łzy. Cholera. *Cholera*. On wie. To przecież niemożliwe. To jakieś szaleństwo. Ryzyko jest za duże... Nie sądziłam, że tak się to skończy.

– Chyba za dużo się naczytałeś Dantego, Maximusie. – Próbuję się roześmiać, ale ponoszę klęskę na całej linii. Mój chichot przypomina raczej odgłosy czajnika na małym gazie. – Widzisz to, co chcesz zobaczyć.

– No i jeszcze to seminarium. Na które się uparłaś, bo nie mniej ode mnie jesteś zafascynowana Dantem. A to już dużo mówi.

Zamykam oczy z cichym westchnieniem i od razu stają mi przed nimi obrazy z naszej wspólnej nocy. Żadna niespodzianka. Czemu nawet nie chcę zmienić odpowiedzi? Jak to możliwe, że tak szybko straciłam głowę dla tego mężczyzny?

– Powiedz mi, kim naprawdę jesteś.

Podnoszę głowę, gdy tylko słyszę jego cichą prośbę, i natychmiast zalewa mnie nowa fala zamętu, frustracji, wściekłości i żalu.

Czy zdradziłabym mu to, gdybym mogła? Gdybym nie była związana tajemnicą od trzech pokoleń?

– Powiedziałam ci więcej niż komukolwiek innemu. A teraz mam wrażenie, że mnie za to karzesz.

Wzdycha i unosi okulary, by potrząść grzbietem nosa.

– Nie chcę cię za nic ukarać. Jestem... cholernie sfrustrowany. Wszystkim. Wdzierasz się do mojego życia i stawiasz je na głowie samą swoją obecnością. Twierdzisz, że oboje się różnimy od innych, co generalnie oznacza, że jesteśmy tacy sami, ale to nieprawda. Ty nie możesz się ukryć za zasłoną niewiedzy. Ty znasz odpowiedzi. Po prostu nie chcesz nikogo do siebie dopuścić. A ja... – Przeczesuje palcami splątane włosy, ściskając je przelotnie, po czym wydaje z siebie kolejne bolesne westchnienie. – Zakochałem się w tobie jak wariat. Czasami mam wrażenie, jakbym wyskoczył bez spadochronu z samolotu. I jestem w stanie myśleć tylko o tym, że jeśli nie będę miał cię całej dla siebie, to...

Na jego twarzy malują się ból i rezygnacja, jakby się poddał. Jakby się poddał lękowi, który towarzyszy takiemu właśnie skokowi bez spadochronu.

Zbliża się do mnie i delikatnie przyciąga mnie do piersi. Czując ciepło jego imponującego ciała, powoli się rozluźniam i opuszczam całe napięcie. W jego bezpiecznych ramionach jest mi jak w niebie. Jakbym znalazła dom. Na myśl o tych dwóch przeciwstawnych słowach – „niebo” i „dom” – znów ogarnia mnie niewysłowiony smutek, gdy Maximus unosi moją brodę, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy.

– Chcę poznać wszystkie twoje tajemnice, Karo... Wszystkie maleńkie cząstki ciebie, których nikt nigdy nie widział, każde szalone marzenie i każdą brzydką prawdę. Jeśli nie będę potrafił sobie na to wszystko zasłużyć, już nigdy nie znajdę szczęścia. Bo choć doprowadzasz mnie teraz do szaleń, nie chcę wrócić do tego, co było przed tobą. Za każdym razem wybiorę skok. Ale musisz być ze mną szczerą...

Otak rozmontowuję całą moją obronę zapewnieniem, że nie jestem z tym wszystkim sama. Prosi mnie, bym skoczyła razem z nim. I chcę to zrobić, ale...

– Jest tego tyle... – Mój szept jest drżący, przerażony. Nie przez to, co Maximus we mnie otwiera, ale ze strachu, że zmieni zdanie, a ja na powrót się w sobie zamknę. – To zbyt skomplikowane...

– I tak wszystko rozgryzę. Wyznaj mi prawdę i oszczędź śledztwa.

Uśmiecham się lekko, żałując, że to nie takie proste. Kilka słów prawdy. Wyznanej z nadzieją, że gdy usłyszy, że jestem demonem, jego uczucia się nie zmienią. Że nic między nami się nie zmieni.

Przygryzam dolną wargę, ale ją puszczam, gdy przesuwam dłoń na mój policzek i zbliża do siebie nasze twarze.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś: „Gdybym chciała cię widzieć tylko z najlepszej strony, nie byłoby mnie tu”? Dlaczego myślisz, że ja postąpiłbym inaczej?

Oddech więźnie mi w gardle. Sekundę później słyszę trzaśnięcie tylnych drzwi i wesołe rozmowy studentów. Z ulgą, ale i żalem wyswobadzam się z jego ramion.

Jego zmarszczone brwi mówią mi, że podziela moje odczucia.

– Chodźmy do mojego gabinetu, tam możemy spokojnie porozmawiać.

Jego gabinet. Gdy tylko przestąpię ten próg, natychmiast zobaczę siebie leżącą na jego biurku i wijącą się z rozkoszy pod dotykiem jego palców i aksamitnego języka. A jeśli poczuję, że on też to sobie przypomina, to już po mnie.

– Dziś... dziś nie mogę. Przepraszam. – Co dziwne, to ostatnie słowo wymawiam jak wyznanie wdzięczności za tamte doznania, mimo że zmarszczka między jego brwiami się pogłębia.

– Dlaczego?

– Mam inne plany. – To prawda, ale więcej mu nie powiem. Po małym esemesowym ping-pongu udało mi się zmienić kolację z Ardenem na spotkanie w jego biurze. Świec tam raczej nie będzie, ale chłodna wymiana zdań między nim a Maximusem na wieczorze charytatywnym bynajmniej nie skłania mnie do zwierzeń.

– Kiedy możemy się zobaczyć? Jeśli chcesz, w weekend możesz przyjechać do mnie. Albo ja do ciebie.

Myśl o spotkaniu poza kampusem jest kusząca. Tak zachowują się normalni ludzie, kiedy decydują się na związek. Ale Maximus Kane i ja? Nam daleko do normalności. A obecnie nie ufam sobie na tyle, by znowu znaleźć się z nim sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu.

Chyba wyczuwa moje wahanie.

– Albo może spotkajmy się jutro w Recto Verso na kawę?

Do sali wchodzi kolejni studenci. Lada moment dołączy do nich wykładowca. Ostatnio robimy się nieostrożni. Nie możemy dalej tego

ciągnąć, więc kiwam głową.

– Kawa brzmi dobrze. Do jutra.



Biuro Ardena mieści się w małym, lecz ekskluzywnym budynku na skraju Golden Triangle, na tyle blisko tego prestiżowego zakątka Beverly Hills, by był modny, acz nie przestarzały.

W środku jest otwarte atrium jak żywcem wzięte z planu zdjęciowego *Casablanki*, z marokańskimi lampami, bujną roślinnością i fortepianem salonowym w pawilonie. Kieruję się do windy i wjeżdżam na drugie piętro.

Recepcjonistka prowadzi mnie do narożnego gabinetu Ardena z panoramicznymi oknami, z których po obu stronach widać wierzchołki palm.

Jej szef podnosi wzrok znad ogromnego, zawałonego papierami biurka, pokazując w uśmiechu zęby tak śnieżnobiałe jak jego koszula z oksfordu.

– Kara.

Drzwi zamykają się cicho, gdy wstaje zza biurka i do mnie podchodzi. Boję się, że będzie chciał mnie dotknąć, ale nie wyjmuje rąk z kieszeni luźnych spodni. Ale już jego wzrok wędruje po moim ciele bez skrępowania.

– Jak ty to robisz, że wyglądasz tak niesamowicie apetycznie, nawet się nie starając?

Jakakolwiek odpowiedź na to pytanie więźnie mi w gardle. Zazwyczaj nie zaprzątam sobie myśli swoim ubiorem, ale nagle nabieram wątpliwości co do dzisiejszego wyboru dżinsów w zestawie z botkami i luźnego swetra. Oczywiście strój dobrałam specjalnie na zajęcia z Maximusem, nie

przeczuwając, co mi dziś zgotuje. Aprobaty Ardena zupełnie nie brałam pod uwagę, ale teraz notuję sobie w pamięci, by na przyszłość ubierać się dla niego jak najniechlujniej.

– Wybacz, zapewne wydaję ci się zbyt śmiały, ale jestem przyzwyczajony całymi dniami podziwiać piękne rzeczy. Trudno tak na zawołanie to wyłączyć. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Zmuszam się do uśmiechu.

– A ja jestem przyzwyczajona do traktowania mnie jak towar. W końcu nazywam się Valari.

Przez dłuższą chwilę mierzy mnie mrocznym spojrzeniem. W końcu je ode mnie odrywa i chrząka z rozbawieniem.

– W porządku. – Wskazuje swoje biurko. – Masz idealne wycucie czasu. Właśnie przeglądałem kilka przedmiotów dla Veroniki. Może zechcesz wyrazić swoje zdanie?

Na biurku leży kilkanaście błyszczących zdjęć antyków. Podnosi jedno z nich.

– To prawdziwy rarytas od Christie's. Tak się składa, że znam ludzi zajmujących się tą kolekcją. Myślę, że moglibyśmy wydębić od nich coś więcej do naszej, jeśli ci się spodoba.

Biorę od niego zdjęcie przedstawiające postać z głową byka w brązie, która w rzeczywistości może mierzyć nie więcej niż dziesięć centymetrów.

– Minotaur.

– Z brązu. Circa pięćsetny rok przed naszą erą.

– Kosztuje prawie dwieście tysięcy dolarów. – Kręcę nosem.

Arden unosi brew.

– Martwisz się o budżet Veroniki?

Upuszczam zdjęcie na biurko.

– Ani trochę.

Znowu parska śmiechem, ale mnie wciąż dręczy pytanie o jego intencje. Czuję dziwny ucisk na żołądku i przeszywa mnie jeszcze dziwniejszy dreszcz, jakby tak naprawdę Arden śmiał się z czego innego. Niczym rodzic wyłapujący „dorosłą” aluzję w filmie dla dzieci.

– Więc jest nas dwoje – zapewnia. – Naturalnie dostałem od niej ogólne wytyczne. Ale nie zaprzatajmy sobie teraz głowy kwestią ceny. Skupmy się na szerszej perspektywie, dobrze?

– Czyli?

– Motywy. – Rozsiada się w wysokim skórzanym fotelu po drugiej stronie biurka, wskazując mi drugi. – Sądzę, że bez trudu odnajdziemy niektórych ulubieńców twojej matki.

– Próżność? Władza? Zemsta?

Znowu parska śmiechem, skupiając na mnie spojrzenie swoich błyszczących oczu.

– Tak się cieszę, że będziemy współpracować przy tym projekcie. Bałem się, że jesteś nudziarą.

– Staram się nią być. Nie lubię znajdować się w centrum uwagi.

– Zauważyłem. A dlaczego to?

Wzruszam ramionami.

– Po prostu interesują mnie inne rzeczy.

– Na przykład?

Zduszam poirytowane westchnienie.

– Sztuka. Historia. Literatura. Język.

– Dzięki temu wszystkiemu idealnie się do tego nadajesz. – Jego wyraz twarzy się zmienia, a wraz z nim energia, która wraca do stanu początkowego. Jakby starannie dobierał spojrzenia, którym jednak daleko

do nieśmiałości. Ten człowiek dobrze wie, co robi. Kontroluje każdą sylabę swoich wypowiedzi. – Proponuję zacząć od twoich zainteresowań i dojść do preferencji Veroniki.

Waham się.

– To trochę nie fair. W końcu ona jest twoją klientką.

– I sędzę, że dość łatwo będzie ją zadowolić. Wystarczy, że wybiorę najbardziej krzykliwy, najdroższy badziew na sali i opowiem jej bajeczkę o tym, jaki jest ważny, a będzie wniebowzięta. Mam przeczucie, że ciebie będzie trudniej zadowolić, co przydaje temu wyzwaniu... pikanterii. Co powiesz na małą zabawę na początek, Karo? – Nachyliła się do mnie. – Powiedz mi, co cię porusza. Daj mi jakiś punkt zaczepienia. Motyw.

Przysuwa się jeszcze bliżej, a ja równocześnie się odsuwam.

– To... eee... dość ogólne pytanie.

A ponadto podchwytliwe. Ostatnio porusza mnie tylko jedno. A w zasadzie jeden mężczyzna. Jeden irytujący, piękny, udęczonego mężczyzna. Od dwóch tygodni jakimś tajemniczym sposobem rwą się do niego wszystkie moje myśli i każda komórka ciała. Nawet teraz mój umysł jest pochłonięty upajającymi wspomnieniami z nim w roli głównej.

Arden lekko przekrzywia głowę, jakby tylko na mnie patrząc, był w stanie poznać odpowiedź.

– Nie daj się prosić, Karo. Myślisz o czymś. Niemal widzę te obracające się trybiki.

Przełykam z trudem i z nadzieją, że jedynie to widzi. Bo gdyby ktoś się dowiedział, co Maximus zaczyna dla mnie znaczyć, nasze wspólne dni byłyby policzone. Ledwo ufam Kell, a co dopiero Ardenowi.

– O czym myślisz? – Wyciąga rękę, ujmuje moją dłoń i muska kciukiem nadgarstek. – Wiesz, umiem rozpoznać kłamstwo. To jeden z moich talentów, dzięki którym zabawa z ludźmi daje mi tyle radości.

Przeklinam przyspieszone bicie serca, gdy przyciska kciuk do mojego pulsu. Jego uporczywe spojrzenie zmusza mnie do przypomnienia sobie wszystkich kłamstw, które mu zaserwowałam w ciągu naszej krótkiej znajomości, i nawet po pobieżnym przeliczeniu wychodzi ich zdecydowanie za dużo.

Ale zauważenie kłamstwa jeszcze nie oznacza poznania prawdy.

– Zatem powiedz – po chwili zabiera ręce i splata je sobie na kolanach – co cię porusza? A może *кто*?

Tyle wystarczy, by Maximus znowu rozpałił moje myśli. Jego czułość. Jego intelekt. Jego namiętność. Jego strach. To, do czego jest zdolny. Wszystko, co mi pokazał, i wszystko, co jeszcze zobaczę.

Ale teraz muszę wymyślić jakąś odpowiedź. Coś bliskiego prawdy.

– Bohater – mówię w końcu.

Arden unosi ciemną brew.

– Bohater? – dopytuje cicho. – Interesujące. Epicki? Tragiczny?

– Sam wybierz – odpowiadam. – To wystarczająca wskazówka.

Znowu przygląda mi się z milczącym rozbawieniem.

– Podoba mi się. – Zerka z powrotem na biurko. – W takim razie poszukajmy bohaterów.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń VI.

** Tamże.

Maximus

PRZESTĘPUJĄC RANO PRÓG RECTO VERSO, nie powinienem być w aż tak dobrym humorze. W ciągu dwóch ostatnich dni spałem w sumie pięć godzin. Mogę za to podziękować pewnemu staremu scenariuszowi filmowemu i wycieczkom w poszukiwaniu tropów, które mi zafundował. Niektóre z nich zaprowadziły mnie w dziwne miejsca, ale również do niewiarygodnych odkryć, którymi w ogóle nie powinienem był sobie zaprzętać głowy – ale zaprzętnąłem, i to z niepokojącą szybkością.

Wszystko ułoży się w całość, gdy porozmawiam z Karą.

Nie. Kiedy ona będzie mówić, a ja słuchać.

Wciąż nie posiadam się z radości, że zgodziła się na to spotkanie, pomimo jej oskarżeń, że naczytałem się Dantego i przestałem jasno myśleć. Tak, być może – no dobrze, prawdopodobnie – miała rację. Teraz to widzę.

Ale to było wczoraj.

Dziś będzie inaczej. Dziś to Kara opowie mi swoją historię.

Moje zdecydowanie rośnie z każdym krokiem, gdy zbliżam się do barku kawowego, za którym Reg podśpiewuje przy dźwiękach radia. Płynąca z głośników piosenka to okropnie podrasowana wersja *Holding Out for a Hero* . Ochryply głos mojej przyjaciółki jest dużo lepszy.

Przysiadam na stołku za barem.

– „Musi być silny i szybki”, co?

Reg przestaje śpiewać, ale dalej gorliwie ściera blat.

– Jeśli musi być „szybki jak błyskawica i gorący jak skwar”, wątpię, by istniał.

– Sarah na pewno się ucieszy.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem.

– Widzę, że jesteś pewien wielu rzeczy tego pięknego poranka.

Przechyliam się przez bar, sięgam po ceramiczny kubek i nalewam sobie kawy z dużego termosu cateringowego.

– Jestem pewien, że dzisiejszy poranek jest piękny, a dzień zamierzam mieć jeszcze lepszy.

– Tobie też miłej soboty. – Przerzuca sobie ściereczkę przez ramię i opiera się o bar. – Biegniesz ratować pokój na świecie, chronić wieloryby czy załatać dziurę ozonową?

– Hm. – W udawanym zamyśleniu upijam łyk kawy. – Może wszystkiego po trochu. – Może po wyprostowaniu spraw z Karą znowu poczuję się jak superman. Ale najpierw muszę zlikwidować ostatnie bariery między nami. Zdobyć wreszcie jej zaufanie – i wydobyć z niej prawdę.

Reg długo się śmieje.

– I to wszystko tylko na arabice?

– A komu potrzebna kofeina, jeśli ma odpowiednią motywację, by wstać z łóżka?

– No dobra. – Ściąga znacząco usta. – A czy ta zniewalająca nowa „motywacja” ma imię?

Moja kolej na parsknięcie śmiechem.

– To prawda, jest zniewalająca, ale nie nowa.

– Ach tak?

Usta rozciągają się jej w uśmiechu, ale nie tak serdecznym, jak bym się spodziewał. Prawdę mówiąc, to najbardziej wymuszony kobiecy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Jego brak autentyczności to niemal obraza dla mojej inteligencji.

– A kim jest ta nie najświeższa stokrotka, o której mówimy? – pyta nerwowo. – To któraś z tych uroczych dam, z którymi przyszedliście na wieczór z Melorą Hall?

– Ale pamiętasz, że moja towarzyszka zmyła się z kimś innym, prawda? – Unoszę kącik ust, czekając, aż Reg zrozumie mój sarkazm, ale ku mojemu rozczarowaniu nic z tego. Jej reakcja się nie zmienia: usztywnione, napięte ramiona. Wykrzywione w sztucznym uśmiechu usta.

– Bo robiłeś maślane oczy do Kary Valari w sekcji literatury klasycznej, zgadza się? – Nagle ją oświeca i mina jej rzednie. – To ona, tak? – szepcze. – Cholera – dodaje pod nosem, ale słyszę całą ostrość tego słowa. – Jesteś pewien, że akurat z tego parapetu chcesz skoczyć, młodzieńcze? – pyta normalnym głosem.

Opieram łokcie o bar.

– Chyba już leżę w wąwozie, Reg. A poza tym nie jestem już takim znowu „młodzieńcem”.

– No taak – mówi przeciągle. – Takie stare próchno z ciebie!

– A ciebie jakoś to nie cieszy. – Przyglądam się jej bardziej badawczo. – I to wcale. Dlaczego?

– Zawsze cię wspierałam, Maximusie. I to przez wiele...

– To żadna odpowiedź. – Przytrzymuję jej spojrzenie. – Tobie i Sarah zależy na moim dobru. Wiem o tym. Ale nie rozumiem, czemu nie podoba ci się moja znajomość z Karą.

– Hm. – Przygląda mi się spod zmrużonych powiek, ale jednocześnie z góry. – Nie wiedziałam, że zrobił się z ciebie taki fan tych Valarich.

– Ona nie jest tylko swoim nazwiskiem, Reg – mówię poważnym tonem, bo jeszcze nic nie było dla mnie takie ważne. – Prawdę mówiąc, to z rodziny poznałem tylko Karę i Kell. I w przeciwieństwie do większości świata, jestem skłonny powstrzymać się od pochopnych osądów wysnutych na podstawie nagłówków prasowych o wątpliwej wiarygodności.

– O to mnie oskarżasz?

– Wiem tylko, że jeszcze parę tygodni temu na tym dachu – wskazuję brodą sufit – powiedziałaś mi, że Kara nie jest mnie warta. Więc albo byłaś narąbana i wylewna, albo wyciągałaś wnioski o zupełnie obcej osobie na podstawie doniesień brukowców. Bo nie wyobrażam sobie, żebyś w ciągu pięciu minut obserwacji w zatłoczonej kawiarni mogła wyrobić sobie o niej własne zdanie.

Każde słowo wypowiadam ze spokojem, ale Reg nieruchomieje, jakby dostała kulkę w plecy.

– W takim razie masz mylną wiedzę.

– To znaczy?...

Celowo wciąga powietrze i równie powoli je wypuszcza.

– To, co usłyszałeś.

Patrzę na nią, mrugając, i odparowuję:

– A może to, że wiesz o rodzinie Valarich więcej, niż mówisz.

„A może już wszystko powiedziała?”

Sięgam pamięcią do naszej rozmowy sprzed dwóch tygodni. Ja musiałem pomyśleć. Ona chciała sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Próbowałem obejść temat Kary, ale Reg twardo przy nim obstawała.

„Wiesz, naprawdę zasługujesz na lepszą”.

O tak. Twardo obstawała przy temacie. Gdybym zwracał wtedy na to uwagę, nie umknęłoby mi to. Ale nie miałem do tego głowy. Wciąż byłem upojony dotykiem Kary. I jej ciałem przyciśniętym do mojego. Mojemu rozgorączkowanemu umysłowi zupełnie umknęła aluzja Reg. Wciąż jestem rozgorączkowany, ale już się nauczyłem jakoś sobie z tym radzić. Musiałem. Teraz jest mi to potrzebne bardziej niż kiedykolwiek.

– No więc? – naciskam.

Przyglądam się niepokoju w jej oczach.

– Wiem więcej, niż chcę wiedzieć – mówi.

– To znaczy?

– Kiedy przeprowadziłam się do Los Angeles, nasze ścieżki czasami się krzyżowały. W sprawach zawodowych.

– Zawodowych? Zanim otworzyłyście księgarnię? – Pokazuję na półki zajmujące każdy kawałek ściany. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że serdecznej atmosfery księgarni, jej eklektycznej natury i ponadczasowej kameralności nie było tu od zarania dziejów miasta.

– O tak – potwierdza. – Jeszcze zanim poznałam Sarah.

Unoszę gwałtownie brwi.

– Wow.

– To były dziwne dni. – Kiwa lekko głową. – Przez pewien czas byłam sama. A nowy biznes oczywiście nie od razu przynosi krociowe zyski. – Trajkocze jak student, który wykuł na pamięć jakąś formułkę. – Krótka parałam się różnymi dodatkowymi zajęciami, żeby zapłacić czynsz. Po tym, jak Sarah przyjechała z wizytą i już została, było dużo łatwiej.

Papuguję jej lekki uśmiech.

– Dodatkowe zajęcia, na przykład...?

– To i tamto – odpowiada wymijająco. – Głównie zastępstwa biurowe. Czasami klienci prosili o pomoc księgową albo o załatwienie jakiejś sprawy na mieście. Teraz takie zadania należą do obowiązków osobistych asystentek czy działu księgowego.

– Byłaś osobistą asystentką rodziny Valarich? – Aż podskakuję z zaskoczenia. – I znałaś Karę w dzieciństwie?

Reg się obraca i gorliwie wyciera idealnie lśniące pojemniki na herbatę.

– Tego nie powiedziałam.

– W takim razie co masz na myśli?

– Cóż, nie byłam na ich zawołanie, jeśli rozmawiamy w tych kategoriach. – W następnej kolejności bierze się za młynki do kawy, również lśniące czystością. – Ale i nie spędzałam tam tylko paru godzin dziennie. I uprzedzając twoje pytanie, praca dla nich to nie sama rozkosz. A uprzedzając kolejne, rzadko kiedy widywałam dzieci, nie mówiąc już o spędzaniu z nimi czasu. Ale pamiętam, że wszystkie były śliczne i radosne. Zwłaszcza Kara była oczkiem w głowie swojego dziadka. Uparł się, że sam będzie się nią zajmował.

Reg dalej pucuje młynki, a ja próbuję sobie wyobrazić Karę z tamtych lat. „Śliczna i radosna”. Ta mała czarownica od razu owinęła sobie wokół palca swojego pierwszego wielbiciela, Giovaniego Valariego. Człowieka, wobec którego wciąż jest bezgranicznie lojalna pomimo dezaprobaty swojej matki.

Ale jak w ogóle doszło do rozdźwięku między nimi?

Nie wypytuję o to Reg. Mam nadzieję, że wkrótce dowiem się tego prosto ze źródła, czyli od samej Kary.

Reg w końcu wrzuca ściereczkę do kosza na pranie i z nową siłą wbija we mnie wzrok.

– Powiedzmy po prostu, że widziałam dość brudów, by wiedzieć, o czym mówię. Na tym wzgórzu, za murami tej eleganckiej rezydencji, jest tak dużo perfidii, że wystarczy na wiele pokoleń Valarich. Wiem tyle, że jeśli będziesz uparcie się widywał z Karą, będę ci suszyła głowę, żebyś miał się na baczności.

Patrzę jej w oczy.

– Zachowujemy dyskrecję.

– Dyskrecja to za mało, Maximusie. Mówię poważnie. Musisz uważać. Co tam uważać! Musisz się zachowywać, jakbyś miał paranoję. Przez cały czas.

W pierwszej chwili po prostu dopijam kawę. Gorzki płyn pali mi przełyk, ale przynajmniej przynosi otrzeźwienie. Brutalny powrót do rzeczywistości. Reg powiedziała bardzo dużo, nie mówiąc w zasadzie nic. To wszystko jest przytłaczające.

„Brud i perfidia na wiele pokoleń”. „Czułość i paranoja”.

Jak mam jej teraz powiedzieć całą prawdę? Że podczas każdej chwili spędzanej z Karą opuszczam gardę? Że przy nikim nigdy nie czułem się tak wolny jak przy niej?

Odpowiedź nasuwa się sama. Nie powiem jej.

– Przynajmniej miałeś na tyle oleju w głowie, że uważałeś – ciągnie Reg. – Bo gdyby twoja matka się dowiedziała, dopiero rozpętałoby się piekło.

Odchylam się na stołku.

– Moja matka? A czemu miałoby ją obchodzić...

– No i jest jeszcze Veronica – przerywa mi, zakrywając sobie twarz dłonią. – O niebiosa, jeśli Veronica zwęszy ten kocioł, wściekłość Nancy będzie mogła się schować.

„Kocioł”.

Formalnie rzecz biorąc, Reg celnie ocenia sytuację, bo rzeczywiście wpadłem jak do kotła, zakochując się w Karze, ale sugestia, jakobyśmy byli parą dzieciaków, które nie zdają sobie sprawy z tego, jakiego piwa nawarzyły, jest po prostu krzywdząca. Żadne z nas się o to nie prosiło, ale i żadne z nas nie lekceważy siły tego uczucia. Wszechogarniającej. Czasem pogodzenie się z karą losu jest pierwszym krokiem, by na powrót dojść do siebie.

Bo obecnie nie mam najmniejszych szans w starciu z taranem swoich emocji. Zepchnięty do defensywy i z mętlikiem w głowie czuję narastający gniew. Moja dłoń zaciska się w pięść, krusząc ceramiczny kubek. Dzięki Bogu zdążyłem wypić jego zawartość. Za szalejącą we mnie burzę emocji już nie jestem taki wdzięczny.

Reg wyciąga do mnie rękę i wychodzi z baru, omijając okruchy zmiażdżonego kubka. Jej palce przypominają lodowate szpony, gdy z zaskakującą brutalnością zaciska je na moich.

– Możesz mieć pewność, że jeśli nie utniesz znajomości z córką tej kobiety, nie obędzie się bez konsekwencji.

Jej lodowaty uścisk mrozi mi krew w żyłach i rozsadza umysł, a przez szczeliny przesącza się światło, którego nie chcę widzieć. Zaczynam wszystko pojmować. Przeraza mnie to.

Zmuszam się jednak, by dalej ją wypytywać.

– Konsekwencje? Reg, co ty do cholery insynuujesz?

– Może już wiesz – odpowiada z nagłą cichym i smutnym głosem.

Mnie z kolei wcale nie jest smutno. Zaczynam się robić czerwony ze złości i przełączam się na tryb ironii.

– Pewnie. Bo nic nie sprawiało mi takiej przyjemności jak serwowane przez dwa ostatnie tygodnie półprawdy i symbole. – Uwalniam rękę z jej

uścisku i przeczesuję palcami włosy. – Chryste, łatwiej rozgryźć poezję średniowieczną niż ciebie i Karę.

– Bez względu na to, co między wami jest... bez względu na wasze uczucia... Maximusie, nigdy nie będziesz mógł z nią być.

Już wcześniej sądziłem, że ta rozmowa jest potworna. Daleko jej jednak do bury za nieodrobioną pracę domową czy zostawienie warzyw na talerzu. Nie mogę się wyłączyć, muszę wszystkiego wysłuchać. I zrozumieć to. Właśnie to obiecałem wczoraj Karze. I dziś ta obietnica nie traci na ważności.

Napięcie między nami przecina pisk, a sekundę później ze swojego biura wybiega uśmiechnięta od ucha do ucha Sarah w koszulce Coldplay.

– Jak cudownie! – wykrzykuje. – Król dnia we własnej osobie! Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć?

Oglądam się za siebie, nie bardzo wiedząc, kogo ma na myśli.

– Okej, co mnie ominęło? – pytam podejrzliwie. Na jej twarzy oświetlonej telefonem, który pokazuje Reg, maluje się szelmowski wyraz.

Reg z kolei nieustępliwie milczy i wygląda, jakby miała ochotę wymiotować na wszystko, co przed chwilą wypucowała. Zamiast tego wyrywa żonie telefon, odwraca go wyświetlaczem do mnie i wyrzuca z siebie tylko jedno słowo:

– Dyskrecja?

Dopiero wtedy z przerażeniem widzę fotkę na samej górze *Star Passion*, popularnego bloga plotkarskiego.

„O cholera”.

– Proszę mnie oświecić, panie profesorze, bo zdaje się, że definicja słowa „diskrecja” ostatnio lekko się zmieniła.

W duchu powtarzam przekleństwo, któremu jednak nie jest dane dotrzeć do ust. Biorę od Reg telefon i przewijam w dół ekranu. Tępy

wzrokiem ogarniam sprośną notkę „z ostatniej chwili” pod ciemnym, acz wyraźnym zdjęciem mnie i Kary trzymających się za ręce i patrzących sobie w oczy w reżyserce na tyłach sali wykładowej. Niżej jest drugie, na którym trzyma mi rękę na ramieniu, a ja się nachylam, jakbym chciał ją pocałować.

Choć gigantycznym wysiłkiem woli się od tego powstrzymałem, absolutnie wszyscy, którzy zobaczą to zdjęcie, pomyślą co innego. Licznik odwiedzin u dołu strony już przedstawia sześciocyfrową liczbę – która z sekundy na sekundę się powiększa.

– Cholera. – Przesuwam aparat po barze w kierunku Sarah.

Jego właścicielka prawie tego nie zauważa. Wciąż jest zajęta przenoszeniem oniemiałego spojrzenia z Reg na mnie i z powrotem.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co tu się dzieje? – domaga się wreszcie. – Reg? Nie cieszymy się szczęściem naszego chłopca? Maximusie? To chyba dobre wieści, prawda? Ta dziewczyna... Spójrz tylko, jak na ciebie patrzy. O tak, spójrzmy...

– Nie – warczy Reg. – Na nic nie będziemy spoglądać.

– Nic nie rozumiem. Maximusie... Ty i ta młoda kobieta nie jesteście razem?

Wypuszczam przez nos wstrzymywany oddech.

– Nie powiedziałbym „razem”. – Powiedziałbym raczej, że jesteśmy sobą oczarowani i nie możemy się od siebie oderwać, ale nie, że jesteśmy „razem”. Dziś mieliśmy się spotkać, żeby spróbować to zmienić, ale teraz nie wiem nawet, czy Kara się pojawi. A jeśli tak, to czy w ogóle będzie się chciała przede mną otworzyć.

– No cóż, nie spierajmy się o semantykę – odpowiada Sarah, pogodniejąc. – Razem czy nie razem, zaprosisz ją do nas i oblejemy to schłodzonym szampanem!

– Nie – powtarza Reg, nie zmieniając tonu. – Niczego nie będziemy oblewać, a już na pewno nie szampanem. – Wbija we mnie oczy jak sztylety. – Chyba muszę się napić czegoś mocniejszego – mruczy pod nosem.

Sarah już otwiera usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili rozlega się dzwoneczek nad drzwiami za mną. Jego wibracje ledwie co ustają, gdy moimi zmysłami wstrząsa dreszcz.

– Kara.

Żaden kryzys nigdy nie odbierze siły jej imieniu na moich ustach. Rozkoszuję się nim jeszcze przez kilka sekund, gdy jego właścicielka podchodzi do mnie w długiej sukience i fedorze. Jej ciemne włosy rozpuszczone spadają luźno na ramiona, a każdy milimetr mojej klatki piersiowej zalewa jeszcze większa fala uwielbienia.

– Cześć – wita się z Reg i Sarah, uśmiechając się do nich słodko, po czym zwraca na mnie świetliste spojrzenie swoich dużych oczu. – Dzień dobry panu. – Wypowiada wyraźnie każdą sylabę powitania, podkreślając gotowość, by widzieć we mnie kogoś więcej niż tylko swojego wykładowcę czy nawet przyjaciela.

Przysuwa się do mnie i staje na palcach, by złożyć lekki pocałunek na moim policzku. Mimowolnie zaciskam szczęki. Choć rozkoszuję się muśnięciem jej ust, ta pieszczota oznacza, że jeszcze o niczym nie wie. Burza jeszcze w nią nie uderzyła.

Ale zaraz uderzy.

Wiem to, gdy tylko łapię ją za rękę i trzymam kurczowo, jakbym tonął w ruchomych piaskach, a ona była gałęzią ratującą mnie przed niechybną śmiercią. Widzę to w napinających się mięśniach wokół jej ust i ciemniejących oczach. Czuję to w niespokojnych ruchach jej ciała. Już to czuje – sztorm nadciągający na nieosłonięty brzeg.

– Maximusie. – Znać to także w jej niepewnym ochryplym głosie. – O co chodzi? Co się stało?

Zmuszam się do uspokajającego uśmiechu, który jednak już po sekundzie rozplywa się w powietrzu.

– W mediach pojawiły się pewne zdjęcia – mówię powoli. W pierwszej chwili całkowicie nieruchomieje. Zaciska palce na moich jak szczypce.

– Zdjęcia – powtarza wreszcie. – Nas?

Robię głęboki wdech, kupując kilka sekund, żeby w kłębiącym się pod czaszką chaosie znaleźć najlepsze słowa. Ale los znowu ze mnie drwi, bo to nasze ostatnie sekundy spokoju. Bańka pryska, gdy w drzwiach wejściowych błyska oślepiający flesz, z wejścia dla personelu drugi, a trzeci z okna, z którego Reg musiała wcześniej zdjąć roletę.

– Na rany Chrystusa! – woła Sarah. – Co tu się...

– Wynocha! – przerywa jej jadowity wrzask Reg. Maszeruje do drzwi wejściowych, otwiera je na oścież i wygraża palcem intruzom. – To własność prywatna, pijawki! W tej chwili wzywam policję! Lepiej, żeby was tu nie było, jak przyjadą!

Gdy tylko fotoreporterzy dają nogę, potykając się o siebie nawzajem, Reg zatrząskuje drzwiami, brzydko przeklinając.

Jej żona patrzy na nią okrągłymi oczami i z wypiekami na twarzy.

– A to ci dopiero... Zaczyna robić się ciekawie.

W normalnych okolicznościach w odpowiedzi rzuciłbym jakiś zabawny tekst albo chociaż parsknąłbym śmiechem. Ale teraz wcale nie jest mi do śmiechu. Moim umysłem rządzi bowiem obsesja na punkcie kobiety, którą właśnie przytulam do piersi, oplatając jej talię stalową ręką.

Na szczęście ma na sobie ten kapelusz i może ukryć pod jego rondem twarz, którą wciąż rozpaczliwie przyciska do mojej koszulki. Przez materiał czuję lekką wilgoć łez. napięte do granic wytrzymałości mięśnie ramion

zdradzają jej wysiłek, by nie rozpaść się na tysiąc kawałeczków. Moje naiwne przeświadczenie, że dziewczyna taka jak ona musi być zaprawiona w boju z paparazzimi, pryska jak bańka mydlana. Nikt nie powinien codziennie wychodzić na wojnę. Przed kawiarnią musiało się już zebrać ze dwudziestu paru ciekawskich.

Pochylam się, przyciskając usta do jej ucha.

– Jesteś przy mnie bezpieczna – mówię kojącym głosem, przelewając w nią każdą cząstkę duszy i serca.

Ale wciąż jest rozdygotana. Drży w moich ramionach, a we mnie budzi się obrońca. Trzema zdecydowanymi krokami zaszywam się z nią we wnęce za barem. Choć wystają z niej moje ramiona, zagłębienie w ścianie wystarczy, by ukryć nas przed światem.

Wreszcie rozluźniam uścisk, przesuwam dłonie na jej ramiona i zaczynam je delikatnie masować.

– Zaraz przyjedzie policja i zrobi porządek. Możemy wymknąć się tylnym wyjściem do bocznej alejki. Albo lepiej: możesz tu zostać cały dzień.

Nowa fala ciepła w moim głosie zdradza, że nic nie sprawiłoby mi większej radości, ale Kara nadal drży skulona w moich ramionach, jakby utknęła na podtopionym moście. Gdy jednak podnosi na mnie wzrok, w jej oczach lśni nadzieja.

– Pozwoliłbyś mi? – szepcze.

Podnoszę dłoń do jej twarzy i opieram czoło na jej czole.

– To jak zapytać, czy chciałbym zajrzeć do raju.

Z cichym słodkim westchnieniem wreszcie nieco się rozluźnia, choć wciąż trzyma się mnie kurczowo. Gdy obejmuje mnie za szyję i wsuwa mi palce we włosy, moje zmysły się budzą. Jej hipnotyzujący uśmiech mnie rozpala... nie jestem w stanie się mu oprzeć. Pomimo harmidru na zewnątrz

zaraz ją pocałuję. A ona mi na to pozwoli. Nic nie zniszczy łączącej nas więzi. Nic nie powstrzyma tego żaru.

Tyle że gdy tylko dotykam ustami jej warg, w kieszeni jej sukienki rozdzwania się wściekle telefon. I ot tak Kara wraca na podtopiony most.

Nie. Jest jeszcze gorzej.

Wyciąga telefon, który wciąż wyje jak syrena alarmowa i brzęczy jak dziesięć uli.

– To moja matka.

– Na pewno wie, co to poczta głosowa.

– Nie rozumiesz. I bardzo dobrze, szczerze mówiąc.

Kładzie mi dłoń na piersi, jakby dzwonek telefonu był sygnałem do ucieczki. Nagle uświadamiam sobie, że jeśli jej nie zatrzymam, bezpowrotnie ją stracę.

– Karo, nie wychodź. Żadne z nas się tego nie spodziewało, ale...

– To jest ważniejsze. – Głos jej drży. – Przepraszam.

– Chcesz powiedzieć, że ci idioci z aparatami fotograficznymi i czyjeś zgadywanki na temat ich zdjęć są ważniejsze od wszystkiego, co do ciebie czuję... od tego, że nie mogę bez ciebie wytrzymać ani sekundy?

– Nie. Ale tak wygląda moje życie. Nie wybrałam go sobie. Tak po prostu jest. – Oddycha z trudem. – Przykro mi, Maximusie, tak strasznie mi przykro... Ale muszę iść.

– Nie pozwolę ci na to. – To irracjonalne i pewnie nie fair, ale w tamtej chwili jestem zdecydowany wykorzystać przewagę swojej siły, by ją przy sobie zatrzymać.

– Błagam, jeśli zostanie, ona tu przyjedzie i...

– Niech przyjeżdża.

– Maximusie.

Ani jej roztrzęsione błagania, ani drżenie palców nie przygotowały mnie na dźwięk mojego imienia wypowiedzianego z taką mocą. Jestem jeszcze bardziej zaskoczony, gdy odpycha mnie od siebie z siłą dwunastu roślących mężczyzn.

Pod jej naporem cofam się o kilka kroków.

To dla mnie całkowicie nowe doświadczenie. Bez mojej zgody jeszcze nikomu nie udało się mnie ruszyć na milimetr, a co dopiero tak odepchnąć. I wcale mi się to nie podoba.

Podczas gdy ja próbuję wyjść z szoku, Kara wyprowadza jeszcze silniejszy cios. Udręczone, rozdarte spojrzenie jej oczu jest gorsze od jakiegokolwiek uderzenia.

– Przepraszam – powtarza po raz ostatni.

Gdy się odwraca i wybiega tylnym wyjściem, zostaję z czymś więcej niż tylko bolesną tęsknotą, jej cynamonowym zapachem, który nadal drażni moje rozpalone zmysły, i jej śliczną fedorą u stóp.

Po raz pierwszy się zastanawiam, czy płynąca między nami rzeka zmieniła kierunek. Bo druzgocąca siła uczuć, z jaką ode mnie uciekła, ciąży mi na sercu jak cegła. Rozpacz w jej oczach. Zwieszona ramiona i gasnąca siła, jakby zużyła resztki energii, by mnie odepchnąć.

I po raz pierwszy, odkąd pojawiła się w moim świecie, ogarnia mnie bezlitosny, nieznany mi dotąd lęk. Drżę ze strachu, że już nigdy jej nie odzyskam.

Kara

– POWIEDZ, że masz na to porządne wytłumaczenie, Karo.

Niezadowolenie mojej matki wypełnia pomieszczenie jak jej za mocne perfumy, rozsadzając obite jedwabiem ściany jej gabinetu. Nie mogę tu oddychać, ale ucieczka też nie wchodzi w grę. Od pięciu minut raz po raz przewija artykuł na *Star Passion*, jakby liczba wyświetleń mogła zmienić te fotki albo siłę ich uderzenia w naszą rodzinę.

Gdy wreszcie odrywa od nich wzrok i wbija go we mnie, czuję niemal ulgę. Tyle że w jej ciemnych oczach niczym zastygła lawa lśni rozczarowanie.

– Powiedz, że to tylko dla rozgłosu – mówi niemal szeptem. – Że nie narażałabyś na szwank rodziny dla dziecinnego romansu. I to z wykładownicą!

Ostatnie słowo wypowiada głośniej, uderzając ręką w biurko, jakby to była kropla przepelniająca czarę moich przewinień. Wiem, że jest wściekła jak diabli. Ale pierwszy raz w życiu jej gniew napawa mnie mniejszym strachem niż perspektywa wszystkiego, co mogę przez to stracić. Nie modne ubrania, dach nad głową czy auto, którym tu przyjechałam. Serce podchodzi mi do gardła w obawie o to, czemu nie można przypiąć metki.

Konsekwencje mojej nieostrożności odczują dziadek, Kell i Jaden pewnie też.

I Maximus.

„O Boże”.

Jak głęboko w ogień go przez to wrzuci?

Nie sposób tego przewidzieć. Żadne konkrety jeszcze nie padły, ale wiem, że bez kary się nie obędzie. Veronica Valari może i jest wredną suką, ale nie robi niczego, nie ułożywszy sobie uprzednio planu działania.

– Odpowiesz mi w końcu?

– Jeśli chcesz, żebym cię okłamała, to proszę bardzo. – Unoszę z mocą brodę. – Ale chyba nie tego ode mnie oczekujesz.

Prycha przez nos.

– Od kiedy to trwa?

– Od niedawna.

– Błagam... – Przymyka oczy z bolesnym grymasem. – Błagam, powiedz, że nie zrobiłaś niczego głupiego.

Zerkam przez panoramiczne okno oprawione ciężkimi zasłonami. Nachodzi mnie ochota, by przez nie wyskoczyć i odwiedzić dziadka, jakby dzisiejszy dzień nigdy się nie wydarzył.

– Nie spałam z nim, jeśli o to pytasz.

Wyrywa jej się słyszalne westchnienie ulgi.

– To chyba najlepsza informacja dnia.

Wracam do niej spojrzeniem. Nie mogę zrobić naprawdę nic poza wbiciem w nią ostrza mojego milczącego, choć narastającego gniewu.

– To trochę ironiczne, nie sądzisz? – pytam w końcu.

– Nie widzę w tym żadnej ironii, Karo. Było o włos od katastrofy. Skoro już wiem, że nie przekroczyłaś granicy, zobaczę, co da się zrobić,

żeby obrócić to na naszą korzyść, ale...

– Nie – warczę przez zaciśnięte zęby, nie podnosząc głosu – ironia polega na tym, że jesteśmy potomkami upadłych.

Patrzy na mnie zastygłym wzrokiem okrągłych oczu.

– Tak. I...?

– Upadek był ich wyborem. Nie uważasz tego za ironię losu, że odebrano mi wszelkie prawo wyboru? Kiedy ta doktryna się zmieniła, mamó? I dlaczego moje dziewictwo jest tak cholernie ważne? To archaiczna...

Ponownie uderza otwartą dłońią w biurko.

– Czy żołnierz ma wybór, gdy przychodzi mu spełnić swój obowiązek?

– Ani ty, ani ja nie jesteśmy żołnierzami.

– Jak na taką pilną uczennicę bywasz wyjątkowo głupia, Karo. Nie rozumiesz, że tu nie chodzi o ciebie?

Ten epitet boli, jakby mi wymierzyła policzek – dopóki sobie nie uświadamiam, czym naprawdę jest: nędną próbą manipulacji. Nie pozwolę jej osiągnąć celu. Przynajmniej powiem swoje. Nie pójdę bez szemrania jak jagnię na rzeź.

– Żyję rozdarta między dwoma światami. Obie żyjemy. Chcę się tylko dowiedzieć, kim naprawdę jestem. Nie rozumiesz tego?

Ostatnie słowa wypowiadam drżącym głosem i nie cierpię się za tę małą słabość, ale jednocześnie mama nieco łagodnieje. Pomimo całego tego intryganctwa i kłapek na oczach wciąż jest moją matką. Może nadal jej na mnie choć trochę zależy. Może rozumie mnie dlatego, że kiedyś pozbawiono ją prawa wyboru i też nie była tym zachwycona.

– Może i jesteśmy rozdarte między dwoma światami, ale służymy tylko jednemu królestwu, Karo. – Głos ma do bólu opanowany. – I może daleko nam do żołnierzy, ale pozostajemy wobec tego królestwa lojalni. Nie

jesteśmy władcami tam na dole, ale dopóki służymy z oddaniem, możemy żyć tu jak królowie. Jeśli oddasz ciało komuś innemu, zanim wypełnisz swój obowiązek, złamiesz to przymierze. I wszyscy poniesiemy za to karę, nie tylko ty.

Zaciskam powieki, żeby się nie rozpłakać, błagając o inną odpowiedź. Choć tak bardzo jej pragnę, boję się ją usłyszeć. Boję się makabrycznych szczegółów, których matka z pewnością by mi nie szczędziła, rozwijając to ostatnie zdanie.

– Karo, kochanie – ciągnie słodkim tonem matki pocieszającej dziecko – posłuchaj głosu rozsądku, nie serca. Płynąca w twoich żyłach krew demona jest twoim największym darem. Twoim najwartościowszym kapitałem. I przekażesz ją następnemu pokoleniu, by twoje dzieci były jeszcze silniejsze. Wtedy zobaczysz, jak ważnym jesteś elementem. Zbyt ważnym, by ulegać zachciankom. Na razie musisz odstawić wszystkich śmiertelników na boczny tor. Gdy tylko wypełnisz swój obowiązek wobec królestwa, któremu służymy, będziesz wolną kobietą. Będziesz mogła mieć tyle romansów, ile dusza zapagnie.

– Nie chcę romansów.

Mam ochotę to wykrzyzczeć, ale się powstrzymuję. Na myśl o choćby jednym romansie robi mi się niedobrze, a co dopiero o wielu. Chcę z kimś być. Zakochać się w tej osobie. Spełniać marzenia. Jeszcze nigdy nie byłam tego tak pewna jak teraz.

Mama wzdycha cicho.

– W tej sytuacji chyba najlepiej będzie wyeliminować pokusę. Jutro porozmawiam z panią rektor, która dyscyplinarnie usunie tego Kane’a. Na pewno złamał jakiś przepis. W końcu cię obłapiał.

Spanikowana wzdrygam się, podnosząc wzrok.

– Nie!

Mama unosi prowokacyjnie brew.

– Co innego mi pozostaje? To nie wygląda dobrze. I sprawy jeszcze się pogorszą, jeżeli będziecie utrzymywać ze sobą kontakt, na gruncie akademickim czy poza nim. Wspomnisz moje słowa. To musi się skończyć jeszcze dziś.

Teraz już umieram z przerażenia. Nie potrafię ukryć błagalnego wzroku, ale swoim spojrzeniem mama nie rzuca mi żadnego koła ratunkowego. Co najwyżej przywiązuje do mojej kostki metaforyczny kamień, by raz na zawsze utopić moje marzenia. A razem z nimi mojego ducha.

Przełykam z trudem, już zrozpaczona tym, co mam zamiar powiedzieć. Ze wszystkich konsekwencji, jakie sobie wyobrażałam, tej jednej zupełnie się nie spodziewałam. Ale mama nie pozostawia mi wyboru. I będzie na tę wieść wniebowzięta. Ani przez sekundę nie dałam się zwieść jej udawanemu żalowi.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, Karo, ale...

– Rzucę studia.

W gabinecie zapada grobowa cisza. Jakby energia w jego ścianach nie była wystarczająco przytłaczająca, wychwytyuję reakcję mamy, jeszcze zanim rozluźnia ramiona. Ulga. Nieopisana ulga.

Czyli dokładnie to, czego się spodziewałam.

Więc czemu mimo to jestem zdruzgotana?

Przymykam na chwilę oczy, tamując wzbierające w nich łzy.

– Rzucę studia – powtarzam.

– Na pewno tego właśnie chcesz?

Pyta mnie o to, bo już zna odpowiedź. I dlatego, że chce, bym sama miała pewność bez względu na to, że serce już mi się rozpada na kawałeczki.

– Oczywiście, że tego nie chcę, ale nie pozwolę zniszczyć kariery Maximusowi. To moja wina, nie jego.

Gdybym mogła to wszystko zrobić jeszcze raz, nie zmieniałabym ani jednego słowa czy gestu. Nawet widząc, jak mama splata przed sobą dłonie, jakby właśnie udało jej się wynegocjować korzystną umowę biznesową.

Szach i mat. Wygrała.

Zawsze wygrywa.

– Jeśli taki jest twój wybór, bo to *jest* wybór, to jestem skłonna go przyjąć.



Zaglądam na chwilę do kuchni i robię sobie herbatę, rozważając, czyby się nie wymknąć do domku gościnnego, ale nie wiem, co miałabym powiedzieć dziadkowi. Już i tak jest za bardzo obciążony. Abstrahując od tego, że i jego mogłaby osiągnąć kara, pewnie ma powody, by zgodzić się w tej kwestii z mamą.

Cholera. Czyli jestem na psychologicznej kwarantannie.

Uzmysławiając to sobie, kręcę z niedowierzaniem głową, tak jak wcześniej sto razy na myśl o mojej przyszłości. Dlaczego nigdy nie wyobrażałam sobie takiego losu, jaki mnie czeka? Dlaczego nic mnie nawet nie zaniepokoiło?

Może i rozum się z tym losem pogodził, ale serce dalej się buntuje. I to już się chyba nigdy nie zmieni. Nie zmienią tego ani dzieci, ani sława i pieniądze. Nigdy nie pogodzę się z powolną śmiercią moich marzeń. I z brakiem Maximusa...

– Tu jesteś.

Odwracam się na dźwięk głosu Ardena, jak zwykle pewnego siebie. Nie mam ochoty się z nim witać ani nawet pytać, czemu ostatnio ciągle się tu kręci niczym bezpański pies. Uroczy, ale nieproszony – i zawsze potrafi zwęszyć smakowity kąsek.

Nie jestem w nastroju, by zabawiać go rozmową. W ciągu paru godzin zawalił się cały mój świat i wiem, że już nigdy nie będę sobą. Maximus nawet jeszcze nie wie, że z nami koniec. Na tę myśl chce mi się płakać, ale przecież nie pokażę łez Ardenowi, który z pewnością jest na nie całkowicie odporny.

Wiesza marynarkę na jednym ze stołków barowych i podchodzi do zlewu, przy którym stoję. Opiera się biodrem o blat i omiata mnie spojrzeniem.

– Jesteś przygnębiona – stwierdza cicho.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – „Ani z tobą, ani z nikim innym”.

– Nie musisz. Twoja matka już mi wszystko powiedziała.

Przewracam oczami.

– Jak to miło, że jej marszand jest na bieżąco z naszymi dramatami rodzinnymi.

Powieka nawet mu nie drgnie. Przez dłuższą chwilę tylko przygląda mi się w zamyśleniu.

– Chyba oboje wiemy, że jestem kimś więcej, Karo.

Patrzę na niego pytająco, mrugając oczami. Moje rzęsy trzepoczą w rytm uderzeń serca, gdy szukam w jego spojrzeniu odpowiedzi. Znajduję tylko cały ocean pewności siebie i stanowczo za dużo śmiałej zaborczości. Przekrzywia lekko głowę.

– Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, co? – Muska grzbietem palców mój policzek. – Masz szczęście, że nawet twoja naiwność mnie podnieca.

Odskakuję od niego, mrużąc oczy.

– Nie dotykaj mnie.

Jego nozdrza się rozszerzają, ale opuszcza rękę.

– Twoje małe rebelie się skończyły. Koniec ze zwlekaniem.

I migdaleniem się w gabinecie profesora.

Cofam się o kolejny krok, czując ciepłe mrowienie w palcach.

– Słucham?

W odpowiedzi wykrzywia twarz w nieprzyjemnym grymasie.

– Tak czułem, że ktoś cię rozprasza. A potem zobaczyłem cię na gali i wszystko nabrało sensu. Gdy ten osiłek wciął nam się w rozmowę, od razu wiedziałem, że coś między wami jest. Żadne z was nie potrafi kłamać, choćby od tego zależało wasze życie.

Krzyżuję ręce na piersi, jakby to mogło mnie ochronić przed tym, co wie.

– Muszę przyznać, że kiedy za wami poszedłem i zobaczyłem cię przyciśniętą do jego okna na trzecim piętrze, nieźle się wkurzyłem. – Przy tych słowach lekko obnaża zęby. – Kusilo mnie nawet, żeby was znaleźć i własnoręcznie cię naprostować, ale stwierdziłem, że zdam się na los. Gdybyś złamała przysięgę, miałbym przynajmniej satysfakcję z zawleczenia cię z powrotem do domu. – W jego spojrzeniu pojawia się szatański błysk, gdy raz po raz zgina i rozprostowuje palce. – I mówiąc „dom”, mam na myśli to urocze gniazdko, które uwiliście sobie w Beverly Hills.

Tym razem brakuje mi słów, by mu odpowiedzieć. Mam pustkę w głowie. Jedną wielką pustkę. Przysypała mnie zaspą niedowierzania.

Naprawdę nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

„To niemożliwe... To nie może być on...”

– Nie – szepczę w końcu na bezdechu. – To nie ty...

– Jestem twoim inkubem, Karo. I choć z wielką rozkoszą potortuowałbym cię w piekle, jeszcze bardziej wolę pieprzyć cię tu, na ziemi.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale znów brakuje mi słów. Szok całkowicie odbiera mi mowę.

Arden się prostuje i śmieje bezczelnie.

– Jesteś aż tak zaskoczona?

Zaskoczona? Myślałam, że wydarzyło się dość nieszczęść jak na jeden dzień... Jakże się myliłam! Może gdybym od dwóch tygodni dniem i nocą nie myślała tylko o Maximusie, sama rozgryzłabym tego całego Ardena. Przejrzałabym jego prawdziwe intencje.

Intencje, które przede mną ukrywał.

Ale nie sam.

Kręcę głową, czując, że w kącikach oczu znowu wzbierają mi łzy. Moja matka o wszystkim wiedziała. Od początku o wszystkim wiedziała.

– Cz-czemu po prostu mi nie powiedziałaś?

– Twoja matka uznała, że najlepiej będzie stopniowo cię przygotować. Pobawić się z myszką przed pożarciem. – Uśmiecha się złośliwie, jakby to była świetna zabawa, a ja powinnam się przyłączyć do ogólnej wesołości.

Ale mnie tylko się zbiera na wymioty. Robi mi się słabo, jestem zde gustowana i zdruzgotana.

Muszę się stąd wydostać.

Odwracam się i biegnę przez dom. Z chęcią powiedziałabym matce, co o tym myślę, ale teraz muszę uciec jak najdalej od niego.

On jednak rusza za mną w pościg i dopada mnie przy aucie, gdzie bez pardonowo odwraca mnie do siebie.

– Puść mnie!

Próbuję mu się wyrwać, ale skutecznie mi to uniemożliwia.

– Nie ma mowy, moja droga.

Przyciska mnie do drzwi auta, unieruchamia ciałem i zmusza, bym poczuła jego penisa. Chwyta mnie za włosy, sprawiając, że każdy najmniejszy ruch jest bolesny. Z moich ust wyrywa się cichy jęk, ale to tylko wzmacnia jego uścisk. Przysuwa twarz do mojej na tyle blisko, że widzę teraz ogień płonący w jego oczach. A może to odbicie mojego.

– Jesteś teraz moja, Karo.

Mogłabym zacząć krzyczeć, ale na nic by się to nie zdało. Nikt z rezydencji nie kiwnie palcem, żeby mi pomóc. Tak to wygląda. Zostałam oddana temu demonowi jako oblubienica. Jego zabawka. Jego własność.

Nagle w moim umyśle roi się od słów. Wyrrywają się z mojej piersi niczym groźny pomruk.

– Nigdy nie będę twoja.

W odpowiedzi posyła mi złowieszczy uśmiech, od którego robi mi się słabo.

– Ależ ty już jesteś moja. Jesteś podarunkiem. Stworzonym specjalnie dla mnie. – Przywiera ustami do mojej szyi, a następnie przesuwa je do ucha. – Wziąłbym cię teraz bez twojej zgody, ale wy, Valari, stajecie się ulubieńcami władzy – szepcze. – Więc będę grzeczny. I jeśli wiesz, co dobre dla twojej rodziny, nie będę musiał mówić nikomu na dole o twoim małym potknięciu z profesorkiem.

Teraz już ciężko oddycham, a serce bije mi jak szalone. Resztkami sił powstrzymuję się od wbicia w niego pazurów. Jest ode mnie silniejszy i dużo groźniejszy. Chcę tylko wyrwać się z jego szponów, nawet jeśli w tym celu muszę udawać miłą... na razie.

Przesuwa ustami po mojej szyi.

– Więc jak będzie, cukiereczku?

– Nie będę walczyć – mówię niemal szeptem. – Proszę.

Stopniowo się ode mnie odsuwa, więc nie mam pewności, czy mnie puści. Ale potem robi krok do tyłu. I jeszcze jeden. I ot tak znika drzemiący w nim bezwzględny demon. Wkłada ręce do kieszeni i posyła mi swobodny uśmiech, jakbyśmy się dogadali. Nie wie, jak bardzo się myli, ale nie zamierzam wyprowadzać go z błędu.

– Zatem kolacja w przyszłym tygodniu?

Kiwam skwapliwie głową, byle tylko jak najszybciej stąd odjechać. Łapiąc powietrze jak ryba, wsiadam za kółko. Drżącymi dłońmi odpalam silnik, by uciec jak najszybciej i jak najdalej od niego. Opuszczając miejsce, które zawsze było dla mnie tylko więzieniem, poprzysięgam sobie nigdy więcej tu nie wrócić.

Nigdy więcej.

Po paru przecznicach zjeżdżam z Sunset Boulevard w prawo, w Beverly. Na szczęście pod jedną z palm rosnących wzdłuż parku znajduję wolne miejsce parkingowe. Przez parę minut siedzę w aucie, czekając, aż przestanę się trząść. Gdy tylko się uspokajam, łapię za telefon i dzwonię do Kell.

Odbiera z ziewnięciem.

– Hej, K-demon. Co tam?

– Gdzie do cholery jesteś?

– Całe popołudnie przesiedziałam w spa i dopiero włączyłam telefon. A co? Co się stało?

– Wszystko – odpowiadam, niemal łkając. Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Wszystko się rypnęło.

– A możesz trochę jaśniej? – Milknie na sekundę. – Czekał. O cholera. Już widzę. Och, Karo.

– Weszłaś na *Star Passion*?

– To jest... wszędzie. Telefon pęka mi w szwach od powiadomień.

„Cholera”. Gdy pojawia się taki news, to albo przechodzi bez echa, albo rozprzestrzenia się jak pożar dżungli. Tu nie ma stanów pośrednich.

– Powinnam była zachować większą ostrożność.

– Ostrożność? W ogóle nie powinnaś była się z nim migdalić!

– Ty się migdalisz. I nie próbuj mi wmawiać, że nigdy tego nie robiłaś.

– To nie twoja sprawa. Przyznam się, dopiero jak mnie złapią, ale nie jestem taka głupia jak ktoś, kogo znam. Wiesz, co powie mama, jak się dowie?

– Już z nią gadałam.

Mija kilka sekund ciszy.

– I?

– I rzucam studia. Zagroziła, że doprowadzi do zwolnienia Maximusa. Nie miałam innego wyjścia.

Jej ciężkie westchnienie świadczy o rozczarowaniu – i strachu – do którego głośno się nie przyzna.

– Ale jest jeszcze gorzej, jeśli dasz wiarę. – Mrugam, powstrzymując łzy, które tamuję od wielu godzin.

– Czy może być jeszcze gorzej?

Uruchamiam silnik i wykręcam z powrotem na Sunset Boulevard, łamiąc jakiś tysiąc przepisów drogowych, ale nie ma mowy, żebym wytrzymała w pobliżu Beverly Hills. Kell szydzi ze mnie tym pytaniem, choć sama się o to prosiłam. Właśnie, czy może być jeszcze gorzej? Tracę akurat wszystko, na czym naprawdę mi zależy.

– Przysłali kogoś po mnie.

W słuchawce znowu zapada długa cisza. Na tyle długa, bym wiedziała, że Kell rozumie powagę sytuacji.

– Kto to?

– Ten marszand mamy, którego na mnie nasyłała. Arden Prieto. Razem stwierdzili, że będzie fajna zabawa, jeśli go poznam, zanim mnie oświecą. Chyba dzisiejszy numer z paparazzimi odebrał im chęć do żartów.

– O cholera.

– Z ust mi to wyjęłaś – bąkam pod nosem.

– I co teraz zrobisz?

Jej ton zmienił się na bardziej współczujący. I chyba wiem dlaczego. Jest następna w kolejce. Bez względu na to, co się stanie ze mną, jej los również jest przypieczętowany. Gdybyśmy tylko znalazły jakieś wyjście...

– Muszę pomyśleć. Na szczęście udało mi się wywinąć Ardenowi, zanim zdążył zrobić to, do czego pewnie od lat się sposobił jak jaskiniowiec.

Zszokowana wciąga powietrze.

– Żartujesz sobie? Już się do ciebie dobierał?

– A czemu nie? Jak sądzisz, o co w tym wszystkim chodzi? To nie dziewiętnastowieczne zaloty. Nie przyjdzie z kwiatami, żeby zabrać mnie na spacer z nadzieją na skradziony pocałunek. To cholerny demon. Gotowy pożreć mnie żywcem.

– No tak. Cholera. Wracaj do domu i wszystko obgadamy.

– Nie wracam dziś do domu. – Wciskam gaz i przejeżdżam na żółtym świetle.

– Kara.

– Kiedy mówisz tym tonem, przypominasz mamę.

– Bo musisz posłuchać głosu rozsądku. Nie jedź teraz do niego.

Nieważne, co mówi. Gdy tylko wyrwałam się ze szponów Ardena, dobrze wiedziałam, dokąd pojedę. Muszę się zobaczyć z Maximusem. Nawet jeśli po raz ostatni.

– Nie martw się, okej? Gorzej już być nie może.

– To zupełna nieprawda. Z miejsca mogę ci sypnąć tuzinem gorszych scenariuszy. Gorszych dla ciebie i dla mnie. A teraz zbieraj tyłek w troki i wracaj do domu, bo musimy to obgadać.

„Dom”. Słyszając to słowo w jej ustach po raz drugi, czuję jeszcze większą gorycz. Dostaję gęziej skórki, gdy przypominam sobie, czym dom jest dla Ardena. Pewnie naradzają się teraz z matką, z której strony najlepiej mnie ugryźć. Kości zostały rzucone. To ostatnie godziny tego skarbu, który nazywałam swoim życiem.

– Tu nie ma o czym gadać, Kell. Stanęłam na rozstaju dróg.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta spanikowanym głosem.

Wzdycham. Zmęczenie zaczyna brać nade mną górę. Dzisiejszy fatalny dzień kompletnie wyzuł mnie z energii.

– Przysięgam, że nie masz powodów do niepokoju. Rano będę z powrotem w domu.

– Kara...

Czuję, że to jej ostatnia próba. Muszę odebrać jej resztkę nadziei i zdobyć odrobinę zaufania.

– Zrób coś dla mnie. Nie mów mamie.

Prycha.

– A niech cię, Kara. W porządku. Ale nie rób nic głupiego.

Kara

– NIE RÓB NIC GŁUPIEGO – mruczę do siebie pod nosem.

Całą drogę ani przez chwilę nie pomyślałam, żeby zawrócić. Nawet przez sekundę. Magnetyczne przyciąganie między mną a Maximusem musi być silne jak nigdy, skoro każe mi jechać do niego przez całe miasto.

Dzień przedzierzgnął się w noc, więc pulsujące w powietrzu wibracje są nieco spokojniejsze. Noc zawsze przynosi ukojenie, ale w głębi duszy wiem, że prawdziwego spokoju zaznam tylko w ramionach Maximusa. Tak bardzo pragnę się z nim zobaczyć, że aż boli.

Zza drzwi jego mieszkania dobiega cichy dźwięk jakiejś jazzowo-bluesowej muzyki. Odkąd zostawiłam go w księgarni, minęło raptem kilka godzin, ale tyle się zdążyło w tym czasie zmienić...

Wreszcie zmuszam się, by zapukać, i cofam się o krok. Kilka sekund później drzwi się otwierają i Maximus staje w progu. Jego widok jest jak nagły podmuch wiatru – niemal zwała mnie z nóg, ale jakimś cudem udaje mi się na nich utrzymać.

W tym świetle jego oczy sprawiają wrażenie ciemnych, a wyraz twarzy wydaje się beznamiętny. Nie jest zły. Tylko nieruchomy i milczący. Zajmuje całą szerokość drzwi, ściskając brzegi futryny, aż napinają mu się mięśnie tułowia. To jedyny znak, że moja obecność go porusza.

I choć wygląda, jakby miał wyrwać te drzwi z zawiasów, jego widok jest niewysłowioną ulgą.

– Nie odezwiesz się do mnie ani słowem? – pytam łamiącym się głosem, który mam ochotę z siebie wyrwać.

Jego milczenie mnie zabija, a razem ze mną resztkę mojej nadziei.

Wbija wzrok w podłogę.

– Boję się, że jeśli powiem nie to, co trzeba, to sobie pójdziesz – mówi cicho, jakby z trudem wydobywał z siebie słowa.

Wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam, ale jakimś szalonym wysiłkiem woli udaje mi się oprzeć gwałtownemu pragnieniu, by pomimo tego niewidzialnego muru między nami rzucić mu się w ramiona. Bo tym razem chyba napięcie między naszymi ciałami nie wystarczy.

– Przepraszam... wybacz, że cię pchnęłam.

– Ty mnie *odepchnęłaś*. – Podnosi wzrok. Ciemnoniebieskie obwódki wokół jego tęczówek jeszcze bardziej ciemnieją. – Bezustannie mnie odpychasz.

– Za to też przepraszam. – Ostatnie słowo więźnie mi w gardle. Emocje całego dnia wracają ze zdwojoną siłą. Przęłykam z trudem, ze wszystkich sił starając się utrzymać je na wodzy. – I przepraszam, że wciągnęłam cię do swojego życia. Nie prosiłeś się o to wszystko. Po prostu do nikogo nigdy nie czułam czegoś takiego. Powinna była zatrzymać to dla siebie. Nie trzeba było niczego na tobie wymuszać.

Zamyka oczy.

– Karo...

– Nie mogę teraz tego cofnąć. Nie jestem w stanie tego naprawić. I nie jestem w stanie udawać, że nie chcę z tobą być, bo jesteś jedyną osobą w moim życiu, dla której chciałam złamać wszystkie zasady. – Po policzkach spływają mi gorące łzy. Wciągam boleśnie powietrze i zmuszam

się, by mówić dalej. – Przy tobie jestem sobą. I choć nie mogę pokazać ci wszystkiego, czuję, że mnie widzisz. I nie chcę tego utracić.

Wstrząsa mną szloch. Tama pęka. Już prawie nic nie widzę przez łzy.

– Nie wiem, ile czasu jeszcze mi tu zostało, Maximusie. Wiem tylko, że chcę go spędzić z tobą.

Jego kamienna sylwetka mięknie, gdy puszcza drzwi i przechodzi przez próg.

– Chodź tu – szepcze, po czym bierze mnie na rękę.

Przytulam się całym ciałem do jego piersi, gdy wnosi mnie do środka i zamyka nogą drzwi. Nawet się nie rozglądam. Jestem w stanie jedynie opleść mu szyję ramionami i jeszcze mocniej się w niego wtulić. Tak mocno, jak się tylko da. Nawet kiedy wstrząsa mną nieprzerwany szloch.

Uspokaja mnie cicho i ostrożnie siada na sofie ze mną w ramionach. Zwijam się w kłębek na jego kolanach, oplatając go kurczowo rękami. Boję się nawet poruszyć. Nie chcę wypuszczać go z objęć. Już nigdy...

Znowu wstrząsa mną łkanie. Tego jest za dużo. Nie tylko dzisiaj. Całe moje życie mnie przytłacza. Wszystkie marzenia, z którymi wiązałam takie nadzieje. Lepsza przyszłość. Żadne nie było tak doskonałe jak to.

– Nie chcę cię stracić – szepczę.

– Nie stracisz mnie – zapewnia głębokim kojącym głosem.

Jestem niemal w stanie udawać, że mu wierzę, gdy głaszcze mnie po plecach i rękach. Gdy ociera mi łzy. Szepcze do ucha zapewnienia.

Ale nie ucieknę przed okrutną prawdą, tak bolesną i rzeczywistą, że żadne jego słodkie obietnice nie są w stanie jej wymazać, bez względu na to, jak bardzo jestem ich spragniona.

– Nie rozumiesz. Przyjdą po mnie.

– Najpierw będą mieli ze mną do czynienia.

Kręcę głową, zostawiając mu kolejne łyzy na koszulce.

– Nie dasz im rady.

– Jeśli to będzie moja walka, to dam. Jestem od nich wszystkich dużo silniejszy.

Uspokajam się na tyle, by na niego spojrzeć. Determinacja w jego spojrzeniu nie powinna budzić we mnie nadziei, ale jest inaczej.

– A to jest moja walka – dodaje.

Nie wie, z kim przyszyłoby mu się zmierzyć. Może i jest silniejszy. Na pewno jest silniejszy, wiem to. Ale nie zna przeciwnika tak dobrze jak ja. A ja nie mogę mu nic powiedzieć. Nie, gdy moje dni i tak są policzone.

Zerkam na ciemne smugi na jego koszulce.

– Przeze mnie jest cała mokra. – Gorączkowo wycieram oczy. Choć umieram z rozpaczy, nie chcę, by widział mnie w takim stanie. Nie chcę nawet wiedzieć, jak okropnie wyglądam.

Nachyla się, rozluźniając mój uścisk, by ją z siebie ściągnąć.

– I po problemie.

Jego szelmowski uśmiech już wyczynia cuda z moimi wnętrznościami. Gdy znowu mnie do siebie przytula, od dotyku jego nagiej skóry kręci mi się w głowie i zaczynam się zastanawiać, co by było, gdybyśmy byli zupełnie nadzy.

Nie mogąc się powstrzymać, przygryzam usta i wędruję wzrokiem i opuszkami palców po liniach jego muskularnej klatki piersiowej i brzucha. Profesorowie literatury nie powinni tak wyglądać. To nie fair wobec całego ciała studenckiego.

– Jesteś cholernie seksowny, wiesz?

– Dzięki – mówi ze śmiechem.

– Masz pojęcie, ile studentek naszej uczelni by zabiło, żeby zobaczyć, jak profesor Maximus Kane wygląda pod swoim sweterkiem?

– Hm. Ile?

– Prawdopodobnie wszystkie. To zabawne, bo najbardziej lubię w tobie co innego.

W jego oczach pojawia się jakiś blask. Ciepła. Radości. Nie muszę się wcale wysilać, by to poczuć. Wtulona w niego wyłapuję wszystkie jego emocje. To jak promyk słońca na zachmurzonym niebie.

Czule muska kciukiem mój policzek.

– A co lubisz we mnie najbardziej?

Uśmiecham się na myśl o całej liście, którą mój umysł już tworzy. Ze wszystkich rzeczy, które w nim lubię...

– To, jak czytasz pieśni. Jakbyś zapominał o całym świecie. – Przykrywam dłonią jego dłoń. – To, jak mnie dotykasz. Jakbym...

– Jak?

Zamykam oczy i opieram policzek na jego piersi.

– Jakbym była dla ciebie kimś cennym.

– Bo jesteś. Powinnaś już to wiedzieć.

Na dowód jego serce zaczyna szybciej bić.

Biorę głęboki oddech, wdzięczna, że ból w mojej piersi powoli mija. Sama jego obecność stopniowo przepędza moją rozpacz. Nawet jeśli jutro wszystko wróci, mam dziś. Moją jedną idealną chwilę razem.

Nasze palce się splatają.

– Twoja kolej – mówię w końcu.

– Moja kolej?

– Musisz powiedzieć, co lubisz we mnie najbardziej.

Długo wypuszcza powietrze.

– No cóż... Lista jest długa. Nie muszę ci mówić, jaka jesteś mądra, ale to mój numer jeden. To wystarczy, żeby zwalić mnie z nóg.

Czuję, że się rumienię, słysząc ten komplement. Kusi mnie, żeby mu przypomnieć, jak swego czasu chciał mnie wypisać z zajęć z uwagi na moje rzekome braki, ale sobie darowuję. I tak wiem, że nie mówił tego serio.

– Zaskakujesz mnie... bezustannie – ciągnie. – Nigdy nie wiem, co zaraz wyjdzie z twoich ust.

Śmieję się.

– To pewnie nie zawsze zaleta.

– Przynajmniej niczego nie udajesz. Jesteś autentyczna.

Wzdycham... jeszcze bardziej się rozluźniam w jego objęciach... i zachodzę w głowę, jak można być tak spełnionym u boku kogoś innego. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek była tak szczęśliwa jak teraz, nawet po tych wszystkich horrorach dzisiejszego dnia.

„Po tych wszystkich horrorach...”

Nie chcę o tym myśleć. Nie teraz.

– Co jeszcze?

– Naciągasz mnie na komplementy?

Uśmiecham się.

– Sam mówiłeś, że lista jest długa. Jestem po prostu ciekawa.

– Jeszcze tylko sto innych rzeczy sprawia, że jesteś niesprawiedliwie idealna. Twoje seksowne filigranowe ciało. Twój uśmiech. – Unosi mój podbródek, żebym spojrzała mu w oczy. – I uwielbiam, kiedy twoje oczy stają w ogniu niczym płonący las.

Przygryzam wargę, nie bardzo wiedząc, jak to odebrać. Powinnam się wstydzić tej upiornej anomalii, ale może wcale nie muszę?

– A tak w ogóle, jak ty to robisz? – pyta szeptem, jakby to była nasza tajemnica.

I mogłaby nią być.

Unoszę ramię i wypuszczam wargę z nagłym przyływem śmiałości.

– To genetyczne.

Przez chwilę się zastanawia nad moimi słowami.

– Twoja mama też tak ma?

– Jak wszyscy w mojej rodzinie. No, oprócz...

– Twojego dziadka.

Przytakuję.

– Zgadza się. – Ale o tym też nie chcę mówić. Chcę rozmawiać o nas. O tym, jak Maximus stymuluje mój umysł i całą resztę. O tym, że trzyma w ręku metaforycznego pilota do mojego ciała. Wracam myślami do naszych najintymniejszych chwil i momentalnie robi mi się gorąco. – To się dzieje, gdy moje emocje rosną. Zazwyczaj gdy jestem bardzo wkurzona. Albo... podniecona. – Nagle robi mi się wstyd i spuszcza wzrok. – Tamtej nocy... Zupełnie się tego nie spodziewałam. Dlatego tak szybko wyszłam – dodaję cicho. – Jeśli nie zauważyłeś, nie mam zbyt dużego doświadczenia w tych sprawach.

W pierwszej chwili nic nie mówi, a ja z każdą mijającą sekundą coraz bardziej się boję, że powiedziałam za dużo. W końcu nie wytrzymuję i przerywam ciszę.

– To ci przeszkadza? – pytam, podnosząc wzrok.

Patrzy na mnie płomiennie. Kiedy te kobaltowe pierścienie wokół jego tęczy stają się jeszcze wyraźniejsze, doszczętnie tracę głowę.

– Czemu miałyby mi przeszkadzać?

– Ludzie mają tendencję do robienia z tego wielkiego halo.

Kącik ust delikatnie mu się unosi.

– Nazwij mnie romantykiem, ale dla mnie to wielka rzecz. Obdarzenie kogoś takim zaufaniem.

W szyby zaczyna stukać lekki deszcz, ale szumiąca mi w uszach krew prawie go zagłusza. Ta rozmowa przybrała taki obrót, że serce bije mi jak szalone. To wolny taniec, podczas którego stopniowo się przed nim odsłaniam, nieustannie się bojąc, że powiem za dużo... A i tak najbardziej przeraża mnie to, że nie będę mogła z nim być. Tak najbliżej.

– Ufam ci. – Przykładam mu dłoń do serca. Ucisk w mojej piersi powraca, tyle że tym razem jest złożony z pragnienia. Wyczekiwania. Nadziei.

Jak mam mu to wszystko powiedzieć? Zbieram się na odwagę i patrzę mu w oczy. Z miejsca powala mnie intensywność jego spojrzenia. Zanim mam szansę dobrać odpowiednie słowa, przesuwa ustami po moich wargach. Czule. Do szaleństwa delikatnie. Wyciągam się jak struna i jeszcze mocniej do niego przywieram, by dać wyraz dzikiemu pożądaniu, które zaczyna we mnie płonąć.

Ale wtedy on ujmuje moją twarz, powstrzymując mnie przed pogłębieniem pocałunku. Przed sięgnięciem po więcej.

Odrywa się ode mnie i robi parę płytkich oddechów.

– Powinnaś odpocząć.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Bo to był ciężki dzień, Karo, i już późno. Na pewno padasz z nóg.

Jasne, że padam. A jednocześnie wcale nie: moje serce bije milion razy na minutę, wszystkie zakończenia nerwowe są uwrażliwione na jego dotyk. Nie ma mowy, żebym teraz zasnęła.

Mimo to znowu bierze mnie na ręce i wstaje, jakby cały ten płacz odebrał mi zdolność chodzenia. Nie przeszkadza mi to, a wręcz jestem mu wdzięczna, gdy zanosi mnie do swojego łóżka i delikatnie przed nim stawia.

– Możesz spać tutaj, dobrze? Ja się przeniosę na sofę.

Nachyla się, by jeszcze raz mnie pocałować. Ten przelotny niewinny pocałunek jest tylko ułamkiem tego, czego pragnę. Szukam jego ust, ale pośpiesznie się odsuwa.

Tymczasem ucisk w piersi rozlewa mi się na całe ciało. Moja skóra płonie, a krew pulsuje tak szybko, że ledwie mogę oddychać. Pragnę więcej niż pocałunku. Pragnę jego dłoni wędrujących po moim ciele. Pragnę czuć naszą więź w każdy możliwy sposób.

Mam dość udawania, że jestem w stanie przejść przez życie, nie zaznawszy tego.

Krząta się po salonie, zrzucając poduszki z sofy. Twarz ma tak ściągniętą skupieniem, że można by pomyśleć, że rozwiązuje jakieś skomplikowane równanie. Które jest łatwiejsze, niż sądzi.

Ja plus on. To wszystko. Bez luźnych dzinsów, które i tak zdradzają jego wzwód.

Zdejmuję buty i pociągam za sznurek, którym jest przewiązana moja kopertowa sukienka. Tyle wystarczy, żeby się ze mnie zsunęła. Nie może słyszeć, jak jej cienka tkanina spada na podłogę, ale w tej samej chwili podnosi wzrok.

Chyba przestał oddychać.

– Karo...

Jeszcze nikt nie wypowiedział mojego imienia z taką udręką. To równie dobrze mogłoby być błaganie konającego.

Tyle że to on jest moim ostatnim życzeniem przed śmiercią.

Moim bohaterem.

– Chodź do mnie – mówię.

Pierś faluje mu od ciężkich oddechów. W końcu robi kilka wolnych kroków w moją stronę i zatrzymuje się parę stóp ode mnie. Przełyka z trudem, pieszcząc wzrokiem moje ciało, od gołych stóp po obnażone piersi, i zatrzymuje spojrzenie na czarnych koronkowych majteczkach, które też bym ściągnęła, gdybym nie chciała zostawić tego zadania jemu.

– Chcę być z tobą, Maximusie.

Odrywa ode mnie spojrzenie, przeklinając pod nosem.

– Powiedziałaś, że chcesz mnie całą.

– Bo chcę. Boże, tak bardzo chcę. – Zaciska powieki i nerwowo przeczesuje palcami włosy.

– Po prostu chodź do mnie – powtarzam błagalnie.

– Jeśli cię teraz dotknę, będzie po mnie. Nie mogę... Jestem silny, ale nie aż tak.

– Nie musisz być. Chcemy tego samego.

Nie rusza się. Nie otwiera oczu. Więc ja do niego podchodzę.

– Maximusie – szepczę. – Spójrz na mnie. Dotknij mnie.

Nagle nasze piersi się stykają. Robi nierówny wydech i otwiera oczy. Wygląda na równie obehwładnionego pożądaniem jak ja.

– Po prostu mnie pocałuj.

Mijają długie sekundy. Zaglądając mi w oczy, delikatnym jak piórko dotykiem muska moje usta. Przygląda mi się z szaleńczym zdumieniem, jakby nie dowierzał, że istnieję naprawdę.

A gdy wreszcie się nachyla, nasze spragnione usta zderzają się ze sobą w dzikim szale. Całuje mnie tak, jakby się bał, że bez tego umrze. Ale może to tylko odzwierciedlenie stanu mojej duszy. Mojej własnej wygłodniałej

duszy. Każdego centymetra mojego rozgorączkowanego ciała. Jestem jednym wielkim kłębkim rozbudzonej świadomości i pożądania, tęsknoty i pragnienia, głodu i niecierpliwości. Jeszcze nigdy nie zalała mnie taka fala uczuć. Za chwilę cała w niej zatoneę.

Maximus otacza mnie ciasno ramionami i podnosi z podłogi. Nasze oddechy i ciepło stapiają się w jedno. Łącząca nas więź oplata nas setką łańcuchów, ale to i tak za mało.

On jęcząc, wypowiada moje imię. To rozpaczliwe błaganie odzwierciedla moją własną niecierpliwość. Moją własną dziką żądę i determinację, by ją zaspokoić. Ujmuje moją twarz i przez dłuższą chwilę wpatruje się w moje oczy.

- Jesteś pewna?
- Jestem pewna – zarzekam się.
- Mamy czas – szepcze.
- Nieprawda.

Maximus

WIERZĘ JEJ. Nawet temu ostatniemu zdaniu, wypowiedzianemu z takim przekonaniem, gdy jednocześnie powstrzymywała łkanie. Nie pierwszy raz tej nocy tłumi łzy, ale teraz to zupełnie co innego – w najlepszym i najgorszym sensie.

Tym razem i ja czuję jej udrękę.

To nie żadne czary czy telepatia, choć często bywało, że nasza więź dostarczała nam podobnych doznań. Teraz jednak, w tej właśnie chwili, gdy nasze oddechy i ciała się splatają, to sprawka starej, dobrej chemii. Jej dreszcze są moimi. Jej bicie serca również. Co oznacza, że to samo się tyczy jej lęku i rozpacz.

I szaleńczego pożądania, do jego ostatniej kropli...

Zwłaszcza pożądania. Osadza się w moich żyłach niczym gęsty dym, oblepia moje kończyny jak smoła. Gdy nasze spojrzenia znów się spotykają, płonąca w jej oczach gorączka tylko potwierdza, że Kara przegrywa tę nierówną walkę. I że jest tylko jeden sposób, by się go pozbyć.

Zaspokajając namiętność, której już nie kontrolujemy. Ogień zmysłów, którego nie da się inaczej ugasić.

Wróć. Nie „nie da się”. Po prostu nie chcę.

Nie teraz. Nie po tym, co się dzisiaj stało, gdy nalot paparazzich porównywalny do biblijnej plagi szarańczy potwierdził wszystkie moje rozterki. Jej rodzina. Jej wyjątkowe miejsce w tejże rodzinie. Moja praca i zagrożenia, jakie nasz związek codziennie ze sobą niesie.

Ale wszystkie te lęki były niczym wobec przerażenia, które mnie ogarnęło, gdy patrzyłem, jak ode mnie ucieka. Jego intensywność mógłbym porównać tylko z obecnym uniesieniem. Z euforią, że trzymam ją w swoich ramionach, gdy deszcz dobija się do okien, a pokój rozświetlają błyskawice, rzucając srebrzystoniebieską poświatę na lśniące nagie ciało bogini w moich objęciach.

Przez krótką niesamowitą chwilę jest aniołem światła i czystości. Jej oczy błyszczą niczym dwie gwiazdy zrodzone z cudu niewinności.

Niewinności, którą oddaje mnie. Tylko mnie...

Nie mogę dłużej zaprzeczać swoim uczuciom. Przed samym sobą ani przed nią. Prawda jest taka, że niczego nie pragnę tak bardzo, jak pozbawić ją dziewictwa. Przysięgam sobie, że uszanuję ten dar, który może oddać tylko raz.

Najpierw składam tę przysięgę, poruszając niemo ustami przy jej wargach, wykorzystując moment, by podciągnąć ją wyżej. Gdy tylko rozwiera nogi, by objąć mnie udami, nakierowuję na nią swój wzwód.

– Jesteś taka... cudowna – szepczę, gdy odrywamy od siebie usta, by zaczerpnąć powietrza. – Zrobię ci dobrze, piękna. Nie będzie bolało – dodaję, słysząc jej westchnienie aprobaty.

– Maximusie. – Każda sylaba jest jedwabistym szepcem, okręca się wokół mnie jak jej delikatne palce w moich włosach. – Musisz mi coś obiecać.

– Co tylko chcesz – odpowiadam ochrypłym głosem. – Przecież wiesz.

Zaciska palce na moich włosach i ciągnie za nie. To najpiękniejszy ból świata.

– Obiecaj, że nie będziesz się powstrzymywał.

Jej prośba wdziera się do mojego zamglonego pożądaniem umysłu na tyle głęboko, bym się napreżył i pomyślał. Mam się nie powstrzymywać. W każdej swojej erotycznej fantazji brałem ją właśnie w ten sposób. Ale w głębi duszy wiedziałem, że gdyby do tego doszło – gdybym trzymał ją spragnioną w ramionach – nie mógłbym jej tego zrobić, nie mógłbym wyzwolić całej drzemiącej we mnie siły.

Zmuszam się, by się rozluźnić, muskając ustami jej wargi.

– To ja o tym zdecyduję, mała kusicielko.

Między jej brwiami pojawia się bruzda.

– Cała ja w zamian za całego ciebie. Taka jest umowa. Nie musisz być delikatny.

– Możesz być pewna, że nie będę.

Sznuruje usta.

– To się okaże.

– Możesz być pewna, że się oka...

Przerywa mi, wpijając się ustami w moje wargi. Dziko. Idealnie. I znowu odbiera mi oddech. Rewanżuję się tym samym. W chwili gdy rozgniatam jej usta, pokój rozświetla kolejna błyskawica, a każdą komórkę mojego ciała elektryzuje ta sama energia. Przepływa między naszymi ustami, skwiercząc, iskrząc i karmiąc nas oboje. Jeszcze nigdy nie chciałem, by pocałunek jednocześnie trwał i się skończył.

Przytrzymuję usta na wargach Kary, rozkoszując się jej jękami, które przeszywają mnie na wskroś. W końcu przerywam pocałunek i rzucam pospieszne spojrzenie na łóżko, by bezpiecznie tam dotrzeć. Nie wytrzymałbym bez jej widoku dłużej niż tych kilka sekund. Gdy tylko

kładę ją na wymiętej pościeli, na powrót zaczynam się w nią wpatrywać.
Poprawka. Upajać wzrok jej boskim pięknem.

Jej pełnymi gracji krągłościami i zmysłowymi cieniami.

Uwodzicielską ciemnością i namiętym światłem.

Jawnym pożądaniem i nieskrywanym złąknieniem.

Ale najważniejsze, że jest moja.

Urzeczywistnię to w każdym znaczeniu tego słowa. Ta obietnica zalewa mi żyły, skręca ścięgna i napina wszystkie włókna moich mięśni. Po raz pierwszy zderzam się z tak wielką siłą fizyczną.

Ta słodka skończona piękność leży nieruchomo na moim łóżku, z włosami rozrzuconymi na poduszce niczym czarne skrzydła i twarzą ożywioną rosnącym podnieceniem. Jak oczarowany wpatruję się w jej zamglone pożądaniem oczy, gdy nieśpiesznie ściągam z niej majteczki. Powoli, powoli. Moje palce prawie nie słuchają poleceń mózgu, zwłaszcza gdy moja bogini ściska prześcieradło, lekko unosząc biodra.

– Błagam – odzywa się ochrypłym głosem.

Rozszerzam nozdrza z nadzieją, że zrozumie moją niemą prośbę o cierpliwość. Co się okazuje głupim posunięciem, bo moje zmysły uderza jeszcze mocniejsza fala jej zapachu, mieszanka dymnego miodu i przypraw korzennych, po której kręci mi się w głowie z pożądania. I komu tu kończy się cierpliwość?

– Na wszystko przyjdzie pora, moja piękna – udaje mi się wychrypieć. – Pozwól mi się sobą nacieszyć.

A mam czym. W przeciwieństwie do naszej gorączkowej schadzki w moim gabinecie, tym razem nieśpiesznie napawam się splendorem jej ciała. Jej całego nagiego ciała. Zsuwając z niej do końca te czarne koronkowe majteczki, zaczynam od jej stóp. Po wycałowaniu jej delikatnych paluszków z pomalowanymi na czerwono paznokciami

przesuwam dłońmi wzdłuż jej gładkich nóg. Gdy docieram do ich złączenia, wsuwam w nią palce. Już jest wilgotna, a jej szparka otwiera się pod moim dotykiem jak portal do tajemniczego królestwa rozkoszy.

Rozkoszy, którą za krótką chwilę mi da.

A co do tajemnic – może teraz zaufa mi na tyle, by je przede mną wyjawić? W zamian ja podzielę się z nią swoimi. Całym sobą.

Wygina się pod moim dotykiem, jęcząc z pożądania.

Już czas.

Jestem bardziej niż gotowy.

Zaglądam jej w oczy i wiem, że ona też jest gotowa.

Grzechem jest oderwać wzrok od tych aksamitnych zamglonych tęczywek, podniecenie jednak każe mi jak najszybciej sięgnąć na szafkę nocną. Wyciągam rękę, ale Kara łapie mnie za nadgarstek. Siła jej uścisku już mnie nie zaskakuje. Choć sam ruch już tak.

– Nie potrzebujemy zabezpieczenia – mówi, zanim mam szansę unieść brew, a co dopiero dwie.

Biorę oddech, by rozpocząć wykład o bezpiecznym seksie, ale ponownie mnie uprzedza.

– Chcę to zrobić tak, jak należy. Żeby nic nas nie dzieliło. – Ujmuje moją żuchwę. – *Nic*.

Odchrząkuję.

– Karo...

– Nic mi się nie stanie. Po prostu... uwierz mi na słowo, dobrze? To niemożliwe. Niczym się nie zarażę, nie nabawię się infekcji, a już na pewno nie zajdę w ciążę.

Smutek i przekonanie, z jakim kończy to zdanie, wystarczą, bym zapomniał o szafce nocnej. Wsuwa mi palce w brodę, a drugą ręką sięga do

mojego rozporka i rozpina go. To dosłownie tortura. Mój kutas, ciężki i gorący, zmusza mnie, bym pomógł jej go oswobodzić z dzinsów.

Ale nie przeszkadza mi to, bo chcę jak najszybciej pozbyć się reszty dzielących nas ubrań i poczuć jej nagą skórę na swojej. Schodzę z łóżka i pośpiesznie ściągam dzinsy do końca. Prostuję się i rzucam je na ścianę. Nie dbam nawet o to, że uderzając o nią, obtłukuję parę cegieł.

Ale nagle... nieruchomieję. I przez chwilę stoję jak zahipnotyzowany, wpatrując się w nią z zachwytem. Kara wije się na łóżku z palcami w szparce, której chyba do końca życia nie przestanę wielbić. Poczynając od dzisiejszej nocy...

– Otwórz się przede mną, Karo.

Z cichym westchnieniem robi to, co jej każę. I momentalnie czuję się jak nowo narodzony.

Ten widok i prostota, z jaką spełnia moje polecenie, potwierdzają, jak bardzo jest na to gotowa. Jak bardzo jest gotowa na mnie.

Zawisam nad nią i łączę nasze dłonie, splatając palce. Prostuję ręce, żeby poczuła, jakie są długie. Chciałbym znaleźć odpowiednie słowa, by jej powiedzieć, jak bardzo udało jej się mnie otworzyć. Ile moich sekretów poznała. Nawet tych najgłębiej skrywanych. Przerazających i niebezpiecznych.

Już mnie nie przerażają.

Pulsują we mnie jak deszcz za oknem, który przerodził się w burzę. Kolejne błyskawice przecinają niebo, a grzmoty znajdują odbicie w rytmie mojej krwi, równym pulsie pod skórą, gdy przywieram do Kary, karmiąc się jej ogniem.

– Już. Muszę cię już w sobie poczuć. – Jej błaganie wplata się we mnie jak zgubna czarna magia.

Ulegam jej i wkładam między nas rękę.

A potem zagłębiam się w nią.

W jej ogień. W burzę. Stopiony z jej pożądaniem. Pchany przez tę nieprzepartą więź między nami.

Głęboko.

„Muszę wejść głęboko... jeszcze głębiej”.

„Ale muszę zwolnić, do cholery”.

Między pchnięciami przypominam sobie o samokontroli, której byłem tak oddany, dopóki w nią nie wszedłem. Jestem pierwszym mężczyzną, który ją bierze. Jest taka waziutka, taka odważna, by przyjąć mojego penisa.

Tak jak w reszcie mojego ciała nie ma w nim nic przeciętnego. To nie czcze przechwałki, tylko okoliczność, która wysuwa się na pierwszy plan w moim umyśle bez względu na to, czego domaga się ciało.

Ale wszystko już mi się wymyka spod kontroli. Teraz liczy się tylko to, by wejść w nią jeszcze głębiej.

I głębiej...

Wepchnąłem go w nią dopiero w połowie, gdy nagle Kara głośno wciąga powietrze.

Natychmiast nieruchomieję i podnoszę głowę.

– Karo... przepraszam – wyrzucam z siebie między płytkimi oddechami. Pierś mi faluje, uderzając o jej sterczące nabrzmiące sutki, przez co mam tylko jeszcze większą ochotę nadziać ją na siebie do końca. – Wiem, że jestem...

– Jesteś. – Potwierdza z cichym jękiem, wyginając się pode mną w łuk. – I nie wszedłeś dość głęboko.

Gdy słyszę z jej ust to zapewnienie, krew uderza mi do głowy. Zupełnie jakby moje żyły były pod napięciem. Potężne antidotum na moje obawy, by nie zrobić jej krzywdy.

– Przestań się powstrzymywać – szepcze. – Powiedziałam, że chcę cię całego. Mówiłam serio.

Po tych słowach unosi nogi, jeszcze ciasniej oplatając mnie udami, by mogła się podciągnąć, gdy już nie będę w stanie się kontrolować. Wchodzę w nią do końca jednym pchnięciem.

Jej krzyk jest jak elektroda świadomości podpięta do właściwego miejsca w moim mózgu. A więc to miała na myśli, mówiąc „dość głęboko”.

– Jasna cholera. – Przez myśl przechodzi mi wiązanka prymitywnego słownictwa, która jednak w żaden sposób nie odda ognia rozpalonego przez nią w moim kutasie... Płomieni, które rozchodzą się po moim całym ciele...

Muska ustami moją szyję.

– Podkradłeś mi tekst.

Czuję, jak uśmiecha się przy mojej skórze, ale mnie wcale nie jest do śmiechu. Będąc tak głęboko w niej, mam wrażenie, że znalazłem się na granicy życia i śmierci. Ale to nieważne – byle być z nią. Biorę drżący wdech, wchłaniając jeszcze więcej jej boskiego zapachu. Mój anioł. Mój raj na ziemi.

– A ty skradłaś moją duszę.

Nasze spojrzenia ponownie się spotykają. Patrzy na mnie zagadkowym wzrokiem. Potrafię odczytać w jej oczach tylko ognistą lawę, której głównym składnikiem musi być pożądanie. Reszta mnie nie obchodzi. Nie teraz.

Bo już nie jestem w stanie się zatrzymać.

Jestem jednym wielkim kłębem żądz, napiętości i napięcia, które muszę rozładować.

Gorączki, ognia i obsesji.

Pchnięcie za pchnięciem zagłębiam się w jej gorącej miękkości, chcąc coraz więcej.

Wchodzę jeszcze głębiej.

Wiatr huczy za oknami, a deszcz dobija się do szyb.

Mocniej.

Światła migotają, skwierczą i się wyłączają.

Głębiej.

Gałąź rosnącego pod moim oknem drzewa łamie się i uderza w szybę, po czym spada na ziemię. A za nią druga.

Prawie tego nie zauważam. Kara też nie. Przywiera do mnie, jakbym to ja był jej gałęzią. Trzyma się kurczowo moich ramion i wbija mi pięty w plecy. Ma odrzuconą do tyłu głowę i rozchylone usta, którymi chrapliwie łapie powietrze. A jej oczy...

Przez jej oczy chyba stanę się piromanem.

Wijące się wokół jej tęczywek płomienie każą mi wchodzić w nią z jeszcze większą siłą. Nadziewam ją na swojego kutasa jak opętany. Może i taki jestem. Moje pożądanie jest niczym bez jej spełnienia. Moja krew bez jej ognia to tylko woda.

– Maximusie.

Mój świat spala się w ogniu jej zmysłowego głosu.

Tym razem nie wypowiada mojego imienia błagalnym tonem. Teraz mnie przyzywa. Zmusza, bym ją usłyszał. Moje imię na jej ustach jest jak hipnotyczne syczenie węża oplatającego się wokół mnie ciaśniej niż jej słodka wąska szparka zaciska się na moim kutasie.

– Kara. – Ja z kolei wypowiadam jej imię jak wierny imię bóstwa, któremu składa hołd. – Wszystko w porządku?

Znam odpowiedź, jeszcze zanim zadaję to pytanie, ale osobiwie próżna część mnie chce usłyszeć te słowa.

– Bardziej... niż... w porządku.

Jej odpowiedź rozkłada mnie na łopatki jeszcze bardziej, niż się spodziewałem.

– Warto było czekać – szepczę.

– Jesteś wart wszystkiego. Wszystkiego... – Nie kończy zdania, bo z jej gardła wrywa się chrapliwy krzyk. – Och... zaraz...

– Tak – szepczę chrapliwie w jej szyję, czując, jak zaczyna wstrząsać nią rytmiczne pulsowanie. – Chcę, żebyś doszła. Daj mi wszystko, Karo.

Wstrzymuje oddech.

Jej oczy stają w płomieniach.

Sekundę później ciszę przerywa jej krzyk, a ciało domaga się mojego orgazmu.

– Kurwa! – wrywa mi się zupełnie mimowolnie i już wiem, że zaraz eksploduję. Dochodzę w niej z taką samą siłą jak piorun, który właśnie przecina niebo i zdawałoby się, trzęsie w posadach całym miastem.

Spuszczam się, oddając jej chyba całą spermę, jaką w sobie nagromadziłem. Dzięki temu moja rozkosz trwa bez końca, ale to i tak za krótko. Tak bardzo chciałbym przedłużyć ten moment, to apogeum wszystkich naszych wspólnych chwil. I tęsknoty, która narastała we mnie, odkąd ją tylko ujrzałem.

Nie kończę.

Bo ona jeszcze nie skończyła. Jej orgazm to maraton przetykany uśmiechami i jękami, które będą mnie nawiedzać każdej spędzonej bez niej nocy. Trwa i trwa, a z każdą nową fazą odkrywam, że mogę dać jej jeszcze więcej. Nie tylko to, do czego nagle jest zdolne moje ciało, ale i wszystko to, co ze mnie wydobywa. Uśmiech, namiętność i pożądanie.

I zdumienie.

Bo nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona.

Pomimo moich napędzanych żądzą modlitw, by ta rozkosz nigdy się nie skończyła, jestem zaskoczony poczuciem spełnienia, gdy uniesienie wreszcie dobiega kresu. Wszystko – mój niepokój, gniew, mętlik w głowie – dosłownie topnieje w cichnącej burzy, zupełnie jakby bogowie, którzy ją rozpętali, także wreszcie zostali zaspokojeni. I odnaleźli swój spokój... podobnie jak ja.

Serce wciąż bije mi nierówno, gdy w końcu odrywamy się od siebie i opadam na plecy u jej boku. Oddycha ciężko, wstrząsana ostatnimi słabymi dreszczami. Gdy odzyskuję jasność myślenia, przypominam sobie, co właśnie zrobiliśmy. Powinienem lepiej o nią zadbać.

Wstaję, idę do łazienki i wracam z ciepłym ręczniczkiem.

Nie spuszcza ze mnie wzroku spod ciężkich powiek.

– Co robisz?

– Myję cię. – Siadam na materacu i podnoszę jej kolano. – Moja sperma się z ciebie wylewa.

Delikatnie przemywam ręczniczkiem jej cipkę, choć wymaga to zduszenia nowej fali pożądania. „Chryste”. I to jeszcze zanim zaczyna się poruszać pod moim dotykiem, mrużąc cicho. Mógłbym całymi godzinami patrzeć na jej idealne ciało, zastanawiając się, co dałoby jej największą rozkosz.

Chcę znać każdy jego centymetr lepiej niż ktokolwiek inny.

Patrzę jej w oczy i odkrywam, że ona jest równie urzeczona. Rzucam ręczniczek przez pokój, ląduje w koszu. Myślami już jestem przy kolejnych pozycjach, które chcę z nią wypróbować. I kiedy będziemy mogli to zrobić. Najlepiej jak najszybciej.

„Przyhamuj trochę, Kane”.

Jeśli wcześniej nie miałem całkowitej obsesji na jej punkcie, teraz jest już po mnie. To powinno mnie martwić, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Dbam tylko o to, że leży w moim łóżku z błogim wyrazem twarzy, zaspokojona i zadowolona.

Zerkam na nią, gdy przygryza dolną wargę, a w jej oczach pojawia się jaśniejszy błysk.

– O co chodzi? – pytam szeptem, wędrując opuszkami palców po jej uniesionym kolanie.

– Czuję się... – Wzdycha cicho. – Nie jestem w stanie opisać słowami wszystkiego, co teraz czuję.

Uśmiecham się lekko.

– Ja również.

Mruga, a w jej szerokich tęczówkach pojawia się więcej jasnych punkcików.

– Naprawdę?

– Czemu cię to dziwi?

– No... Ty wiedziałaś, czego się spodziewać. – Rumieni się.

Nigdy nie widziałem niczego piękniejszego. Z piersi wyrywa mi się cichy odgłos, jakby kamień spadał mi z serca.

– Karo Valari, jesteś najpiękniejszym, co mnie w życiu spotkało. – Rysuję palcami delikatne kółka na jej szczupłych łydkach. – Powiedz, co teraz czujesz?

Kładzie sobie dłoń na brzuchu i schodzi niżej.

– Bez ciebie... czuję się pusta w środku.

Przełykam, bo nagle robi mi się sucho w gardle. Gdyby wiedziała, jaką mam ochotę to naprawiać... przez całą noc. Każdej nocy. Chcę, by została

w moim łóżku już na zawsze.

– I czuję, że mogłabym tu zostać na zawsze, jeśli tylko będziesz mnie dotykał. – Zamyka sennie oczy, po czym lekko uchyla powieki.

– Chyba czytasz mi w myślach.

Uśmiecha się.

– Gdy byłeś w środku... tak mocno cię czułam. – Wyciąga do mnie rękę i leniwie splata nasze palce. – Jakby przepływały przeze mnie wszystkie twoje emocje, mieszając się z całą lawiną nowych doznań. Zazwyczaj kiedy cię czuję, wciąż jesteś... tobą. A ja sobą. Mogę nas rozdzielić. Teraz było inaczej... Jakbyśmy się złączyli w nową jedność. W... nas.

Wciążam odrobinę powietrza. Gdyby seks z nią już nie zapisał się w moim umyśle jako najpiękniejsza noc mojego życia, dzieła z pewnością dokończyłyby te słowa.

– Karo, wiesz, że mówię serio, prawda? – pytam ze ściśniętym świeżymi emocjami gardłem. – Jesteś najpiękniejszym, co mnie w życiu spotkało. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego. – Kończę wyznanie, składając delikatny pocałunek na jej dłoni. Przesuwam wargi wyżej, muskając jej ramię i szukając słodkich ust.

Oplata mnie delikatnymi ramionami, gdy kładę się przy niej. Wpatruję się tylko w jej oczy, w których mógłbym zatonać. Bo teraz jest dla mnie wszystkim. *Wszystkim.*

– Czy świadczyłoby to o moim szaleństwie, gdybym powiedziała, że znowu mam na ciebie ochotę? – pyta szeptem.

Kręcę głową.

– Właśnie doznaliśmy tak niebiańskiej rozkoszy, że to normalne, by chcieć więcej. Wierz mi, mam tak samo.

Jej oczy rozszerzają się na tę myśl.

Uśmiecham się i delikatnie ją całuję.

– Jeszcze nie teraz. Musisz odpocząć. Tym razem mówię serio. Mamy jutro i pojutrze...

Przyciska mi palce do ust, przerywając moją obietnicę spędzenia z nią wieczności. Na jej pięknej twarzy znowu maluje się strach.

– Zostaniesz tu ze mną? Tylko tej nocy.

Gdy słyszę jej chrapliwy szept, serce mi się ściska.

– Oczywiście, że tak. – Całuję ją w czoło. – Obiecuję.

– Nie odejdiesz?

– Nie. – Przyciskam ją do siebie odrobinę mocniej, ciesząc się idealnym dopasowaniem naszych ciał. – Zawsze tu będę.

Kara

ZASNĘŁAM W ŁÓŻKU MAXIMUSA, otulona jego siłą i ciepłem. Spaliśmy spleceni ciałami, jakbyśmy za żadne skarby świata nie chcieli pozwolić, by rozdzieliła nas niechybnie nadciągająca nawałnica. Przez kilka cudownych spokojnych godzin niemal wierzyłam, że to możliwe.

Teraz wiem, że to była tylko chwilowa ucieczka przed burzą. A na dziś prognozują ogień.

Budzę się śmiertelnie przerażona, gdy nad ranem w tę złudnie spokojną niedzielę jego obraz wyrывa mnie ze snu i wszystko wraca.

Maximus wciąż śpi, kiedy wymykam się z łóżka i podchodzę do panoramicznego okna. Przed świtem miasto przybiera szarobłękitną barwę, a na horyzoncie mrugają ostatnie światła. Zacienionymi ulicami tu i ówdzie przetaczają się furgonetki dostawcze, oświetlają sobie drogę reflektorami i znikają w zaułkach.

Chyba pierwszy raz w życiu boję się wschodu słońca, bo wraz z nim przyjdzie dzień pełen napawających strachem niewiadomych.

Co teraz będzie?

Czy ktoś w ogóle wie, co zrobiłam?

Czy uruchomiłam jakiś kosmiczny alarm wzywający siły wyższe do narady nad moim losem? A jeśli tak, to co mnie czeka?

A może... nikt o niczym nie wie i niepotrzebnie się martwię? Powiem wszystkim, że potrzebowałam czasu, by sobie wszystko przemyśleć, i po prostu wrócę do domu, udając, że całą noc jeździłam po mieście. Może kiedy Arden po mnie przyjdzie, zdołam go oszukać? Udawać, że jest moim pierwszym?

Drzę od stóp do głów. Na tę myśl przewraca mi się w żołądku i zbiera na wymioty.

Udawanie, że Maximus nie istnieje, byłoby jak pozbawienie się najlepszej części siebie. Ale wkrótce – boleśnie za szybko – właśnie to będę musiała zrobić.

Ubrana w miękką koszulkę, którą Maximus rzucił wczoraj na podłogę w salonie, obejmuję brzuch rękami i przytulam policzek do ramienia. Po wszystkim, co między nami zaszło, myśl o pożegnaniu jest bolesna jak nigdy. Z każdą sekundą pętla strachu coraz bardziej się zaciska na moim sercu, kalecząc duszę.

Niedługo muszę odejść. Arden na pewno po mnie przyjdzie. Kierowany przez sygnały z zaświetów czy też własną przerażającą przebiegłość zorientuje się i mnie znajdzie. A kiedy to się stanie, wszystkie ognie piekielne będą niczym w porównaniu z bólem z powodu utraty Maximusa. Opuścić go pod rękę z innym byłoby nie do zniesienia. Tłumię kolejny dreszcz.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że proszę go, by na mnie poczekał, aż znów będę wolna. Który mężczyzna, na świecie czy w zaświetach, zgodziłby się na takie upokorzenie?

Nie żeby ta ewentualność w ogóle była w moim zasięgu.

Muszę szybko zdecydować, ile mu wyjawić. Pomimo swoich obaw i niepewności po nocy spędzonej w jego łóżku czuję się obnażona. Ledwo mogę zebrać myśli.

Tak dużo już przed sobą odkryliśmy... Dałam mu część siebie, której nikt inny nigdy nie dostanie. Nigdy nie zapomnę magii naszych złączonych ciał. Tych cennych chwil, które były tylko nasze. Wzajemnego zaufania. Nagle odebranie mu tego jeszcze nigdy nie wydawało mi się tak niesprawiedliwe.

Nie wiem, co robić. Tak się boję.

Może kiedy pozna całą prawdę, odwróci się ode mnie. Może poczuje się zdradzony przez wszystkie moje tajemnice. Ale może nadal będzie na mnie patrzył tak jak teraz, jakby był gotowy wejść dla mnie w ogień. Jakbym była brakującą częścią jego duszy, tak jak on jest częścią mojej.

Spoglądam na ulicę pod jego oknami. Na chodnikach walają się pamiątki ubiegłonocnej burzy. Pojawiają się pierwsi przechodnie. Pewnie dopiero wracają do domów po sobotnich imprezach. Ale nikt się nie zatrzymuje, co oznacza, że paparazzi nie zwęszyli jeszcze mieszkania Maximusa. Może cała historia trafiła już na śmietnik i ludzie powoli zapominają o jego związku z jedyną przedstawicielką rodziny Valarich, która za wszelką cenę unika kamer i aparatów.

Zamykam oczy i opieram czoło o szybę. Gdyby tylko nie zrobili nam tych zdjęć... Wszystko byłoby inaczej. Mielibyśmy więcej czasu... W tym momencie zapłaciłabym za to każdą cenę.

Nagle rozlega się gwałtowne pukanie do drzwi.

Wzdrygam się i przykładam rękę do piersi, bo serce chce mi się z niej wyrwać. Zerkam w kąt kawalerki, gdzie Maximus jęczy w poduszkę. Jeszcze nie do końca się przebudził. Moje przerażenie przecina promyk nadziei. Może jeśli szybko i bez szemrania wyjdę z Ardenem, Maximus wszystko prześpi. Może będzie mnie pamiętał jako kiepską studentkę, która go przeleciała i się zmyła, a nie jako okrutną istotę, która odeszła z mężczyzną, bo od początku była mu przyrzeczona.

Pukanie znowu się rozlega. Tym razem głośniejsze. I mocniejsze.

Podskakuję, ale przękam z trudem ślinę i powoli podchodzę do drzwi, przękając łyzy i każąc sobie zapamiętać wszystkie szczegóły jego mieszkania. Książki na półkach przytrzymywane minerałami. Stojące między nimi zdjęcia w ramkach. Maximus i Jesse na plaży. Maximus, Reg z księgarni i ładna kobieta, której nie znam. Mozaika z ciemnego i jasnego drewna pod moimi stopami.

Szczególiki, które odtąd będą przypominały mi jedyne szczęśliwe godziny w moim życiu.

Drżącą ręką przekręcam gałkę i uchylam drzwi.

To... „Kim jest ten facet?”

Wita mnie uśmiechem zaciekawienia, przekrzywiając głowę, jakby czekał, aż go rozpoznam. Ale jest mi zupełnie obcy. Na pewno bym go pamiętała. Jest dobrze, acz trochę dziwnie ubrany jak na niedzielny poranek: w ciemnobezowy garnitur. Spod jego słomkowej fedory przygląda mi się para hipnotyzujących oczu o barwie głębokiego morskiego błękitu. Przydługie miedziane włosy ma zaczesane za uszy, a jego podbródek zdobi starannie przystrzyżona siwiejąca bródka.

W moim rozedrganym sercu rodzi się nadzieja. Może nie przyszedł po mnie. Mimo to nie wygląda na kogoś z bliskiego kręgu Maximusa, dość wąskiego, o ile zdążyłam się zorientować.

– O, dzień dobry – wita się ze mną przeciągle.

– Eee... cześć.

– A pani to kto? – Głos ma głęboki i szorstki, ale jest w nim i lekka nuta, jakby lada chwila miał wybuchnąć śmiechem. Chłopięcy uśmiech podkreśla zmarszczki wokół jego oczu i ust.

Jego pełna kontrastów postać i bijąca od niego pewność siebie są doszczętnie rozbijające. W końcu udaje mi się przełknąć ciekawość

i wydusić z siebie odpowiedź.

– Jestem Kara.

– Kara. – Unosi brew i pośpiesznie omiata mnie wzrokiem. – Hm. Cudownie. Jesteś bardzo ładna.

Krzyżuję ręce na piersi. Parska cichym śmiechem.

– Bez obaw, to tylko komplement. Ostatnimi czasy żona trzyma mnie na krótkiej smyczy. Przyszedłem się zobaczyć z Maximusem. Zostałem go?

Mrugam parę razy.

– Aha. – Otwieram szerzej drzwi i wpuszczam go do środka.

Wchodzi swobodnym krokiem, jakby był tu wcześniej – nawet nie raz.

Przypominam sobie, że Maximus ciągle śpi, dokładnie w chwili gdy przebudziwszy się, siada na łóżku. Włosy ma potargane, a oczy zmęczone, co bynajmniej nie ujmuje im piękna. Ukradkiem zachwycam się jego wyrzeźbioną klatką piersiową, gdy owija się w pasie prześcieradłem, wstaje i podchodzi do nas. Tyle że na widok naszego niespodziewanego gościa nie wygląda na zbyt zadowolonego.

– Kim jesteś i co robisz w moim mieszkaniu?

„O cholera”.

Serce znowu zaczyna mi bić jak szalone. Skoro Maximus go nie zna, kim jest ten mężczyzna? Powiedział, że nie o mnie mu chodzi. Uwierzyłam mu. I nie wiedzieć czemu wciąż mu wierzę...

Tajemniczy gość chowa ręce do kieszeni, nie ruszając się z miejsca.

– Proszę, proszę. Maximusie Kane, jak ty wyrosłeś!

Wyczuwam zmianę atmosfery w mieszkaniu, gdy zaniepokojenie Maximusa przeradza się w zmieszanie, które zastyga mu na wyrazistej twarzy.

– Słucham?

– Nie pamiętasz mnie?

– A powinienem?

Mężczyzna znów kręci głową i jego dobry humor odrobinę wyparowuje. Już wyłapuję rozczarowanie, które stara się ukryć.

– Mój drogi brat pewnie majstrował przy twoich wspomnieniach. – Wydycha powietrze przez nos. – Naturalnie. To nieważne. – Macha z gracją ręką. – A przynajmniej teraz. Niedługo sobie przypomnisz.

Ale to nie uspokaja Maximusa.

– Proszę wyjść – warczy.

Mężczyzna go ignoruje. Otwarcie. Zdejmuje kapelusz i podchodzi do okna, przy którym jeszcze niedawno stałam.

– Nie ciekawi cię, kim jestem?

– Jeśli myślisz, że się znamy, musisz być jakimś wariatem z ulicy, bo nigdy w życiu cię nie widziałem. To ostatnia szansa. Wynoś się albo własnoręcznie cię wyrzucę.

Na te słowa mężczyzna parska śmiechem i przenosi wzrok z powrotem na Maximusa.

– Nie sędzę – rzuca prowokacyjnie.

Nozdrza Maximusa się rozszerzają. Wyczuwam, że jest gotów do akcji wcześniej niż on. Kilka sekund później rzuca się na dziwnego gościa, który nawet nie drgnie. Dopiero gdy dzielą ich już centymetry, podnosi rękę.

Krzyczę, kiedy Maximus przelatuje tyłem przez pokój i ląduje na sofie, która również się przesuwa. Zaczyna ciężko oddychać. Patrzy na mnie i w jego spojrzeniu odczytuję nieme pytanie, która sama mu zadaję. „Co to do diabła było?”

– Jak to... – pyta szeptem Maximus, ale mężczyzna go słyszy.

– Tak, że jestem bogiem.

Maximus zaciska dłonie na poduszce sofy i się nachyla. Jego oczy robią się okrągłe, a pierś wciąż faluje.

Nieznajomy siada spokojnie w skórzanym fotelu, krzyżuje nogi i opiera podbródek na pięści.

– Co nieco nas łączy. Niezrównana siła. Zdolność natychmiastowej regeneracji. – Na jego usta wraca delikatny uśmiech. – I wygląda na to, że wpływanie na pogodę w szale uniesienia.

– Na pogodę.

Mężczyzna pociera palce w zamyśleniu, wywołując na koniuszkach iskry podobne miniaturowym wyładowaniom elektrycznym. Nie zwraca na nie uwagi wpatrzony w potargane wiatrem i deszczem drzewa przed budynkiem.

– Nie lada burzę rozpętałeś w nocy, mój chłopcze. I całe szczęście. Inaczej mógłbym cię nigdy nie odnaleźć. – Następnie przesuwa swoje ciemnoniebieskie spojrzenie na mnie. – To musiała być gorąca noc.

Przygryzam wargę, ale to nie powstrzymuje rumieńca na moich policzkach. Nawet nie wie, jak gorąca...

– Kim. Ty. Jesteś? – cedzi przez zęby Maximus, wstając i się prostując.

Mężczyzna kręci kapeluszem na kolanie.

– No cóż, możesz mówić mi „tato”. Ale skoro nic nie pamiętasz, zacznijmy od Zeusa, chociaż tutejsi trochę dziwnie na mnie patrzą, gdy się tak przedstawiam. A może Z.? To brzmi nowocześnie. – Uśmiecha się szerzej. – Tak. Z. mi się podoba.

Maximus blednie, na przemian zaciskając dłonie w pięści i je rozluźniając. Kręci głową, ale nic nie mówi. Oniemiały tylko się gapi na siedzącego w fotelu mężczyznę. Nie wiem nawet, czy uświadamia sobie, co się dzieje. I całą prawdę, która spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Że

ten nieznajomy wcale nie jest nieznajomym. I że nie tylko jest jego ojcem, ale i tym, za kogo się podaje.

Ja mu wierzę. Wierzę mu każdą komórką swojego ciała – i to nie tylko dlatego, że dysponuję tu najlepszym wykrywaczem kłamstw. Co ważniejsze, to by wszystko wyjaśniało. Wszystko, na co mój przytępiony zauroczeniem umysł był ślepy.

Maximus jest synem Zeusa.

Zeusa.

Władcy bogów. Który zszedł na ziemię i przechadza się między ludźmi.
W Los Angeles.

A teraz siedzi w salonie Maximusa Kane'a.

– O cholera – wyrywa mi się.

Maximus rzuca mi rozdrażnione spojrzenie.

– Wierzysz w te bzdury?

Po sekundzie mojego milczenia nie ma już co do tego wątpliwości.

– Maximusie...

– Karo! Daj spokój!

– To ma sens.

Robię krok wprzód, wyczuwając, że Z. nie chce nam wyrządzić krzywdy, chyba że zostanie zaatakowany. Wówczas by się bronił, czego byliśmy przed chwilą świadkami.

– Twoja siła – szepczę, biorąc Maximusa za rękę. – Twoja wytrzymałość psychiczna... Do diabła, sama twoja postura. – I inne szczegóły, które powinny były dać mi do myślenia, gdybym miała odrobinę bardziej otwarty umysł. A przede wszystkim... – To wyjaśnia nas. Naszą więź. To, że nie tylko ja ją wyczuwałam.

Szok Maximusa przechodzi w grymas frustracji. Odsuwa się ode mnie i wczepia palce we włosy.

– A jaki ten szaleniec mógłby mieć z nami związek?

Kącik ust Z. się unoszą.

– Och, a to ci dopiero! – Uśmiecha się do mnie półgębkiem z rozbawieniem. – Nie mów mi, że nie wie.

Teraz to ja ciężko oddycham. Czyżby on wiedział? Ależ oczywiście. To przecież cholerny Zeus. I zaczynam się bać, że zaraz to udowodni. Cholera. Rzeczywiście zamierza to udowodnić.

Maximus wbija we mnie kolejne nerwowe spojrzenie.

– Czego nie wiem?

– Maximusie... – Tylko tyle jestem w stanie z siebie wydusić, bo łyzy już przesłaniają mi obraz i ściskają gardło. – Ja...

Ja... co? Co mu powiedzieć? Nie mogę go okłamać. Nie teraz, gdy się dowiedział, że jego własni rodzice okłamywali go przez dwadzieścia siedem lat.

– Kara? *Czego* nie wiem?

Z. mnie ubiega. Wzdycha teatralnie, po czym mówi:

– Drogi chłopcze, obawiam się, że poszedłeś do łóżka z demonką. – Zatrzymuje na mnie spojrzenie. – Tak się składa, że sam nigdy nie miałem tej przyjemności.

Maximus robi krok w jego stronę i wymierza w niego ostrzegawczo palec.

– Trzymaj ręce przy sobie. Nawet na nią nie patrz.

Z. podnosi ręce, udając, że się poddaje.

– Nigdy by mi to przez myśl nie przeszło. A poza tym demony raczej nie są w moim typie. Jeśli myślisz, że ludzie są skomplikowani...

Maximus odwraca się teraz do mnie.

– Karo. – Jego wzrok łagodnieje, jakby mnie błagał, bym powiedziała, że jego ojciec strasznie się myli. Że to urojenia wariata. Och, jakże chciałabym mu to powiedzieć!

Zamiast tego przełykam bolesną kulę w gardle i wbijam wzrok w bosc stopy, wmawiając sobie, że nigdy nie będzie dobrej pory, żeby wyznać mu prawdę. Wszystko tak strasznie się pogmatwało od samego pięknego początku naszej znajomości.

– To prawda. Już dawno powinnam była ci powiedzieć.

Mija kilkanaście pełnych napięcia sekund. Niemal marzę, by wparował tu Arden i uratował mnie przed tym, co czai się we wzroku Maximusa. Gdybym tylko mogła przewinać cały ten ból, osądy i poczucie zranienia, które sobie wyobrażałam tuż po wyznaniu mu prawdy... Ale gdy wreszcie podnoszę wzrok, na jego pięknej twarzy maluje się tylko oszołomienie, takie samo jak kilka godzin temu, kiedy namiętnie się kochaliśmy. Wpatruje się we mnie okrągłymi zdumionymi oczami, chrapliwie łapiąc powietrze przez rozchylone usta.

– Demonka.

– Tak – potwierdzam łkającym głosem. – Głównie.

– W porządku.

Przełykam z trudem ślinę, zachodząc w głowę, jak gęła szoku nie rozerwała mi jeszcze gardła.

– W po... rządki?

– Co to dokładnie znaczy?

Z. znowu opiera podbródek na pięści i jak urzeczony wpatruje się w nas wyczekującym wzrokiem, jakby wpadł do biblioteki publicznej w samą porę na spotkanie z jakimś autorem.

– To, co przeczytałeś w scenariuszu mojego dziadka... wydarzyło się naprawdę. No, częściowo. Nie spółkował z moją babcią w ramach zapłaty za wolność. W rzeczywistości uciekł z piekła, a ona była jego karą. Została wysłana, by go uwieść. Nosila już w sobie moją mamę, zanim dziadek się dowiedział, kim tak naprawdę jest.

– A kim była?

Przemykam oczy.

– Sukubem. Demonem pod postacią kobiety.

– Jego karą było spłodzenie dziecka z demonką. To chcesz powiedzieć?

– Częścią kary... – Głos odmawia mi posłuszeństwa, gdy nieuchronnie zbliżamy się do najgorszego.

Zaciska szczęki.

– A jej resztą?

– Dowiedziawszy się o ciąży, postanowił zostać. Nie chciał opuścić swojej rodziny, nawet jeśli to oznaczało życie praktycznie w oderwaniu od nas. Został, wiedząc, że pewnego dnia inkub przyjdzie po moją matkę. – Dolna warga mi drży. – I po mnie.

Krew napływa mu do twarzy, a mięśnie się napinają, jakby był gotowy do walki. Jego źrenice rozszerzają się do granic możliwości, niemal pochłaniając błękitne tęczówki.

– Nie.

W tym jednym słowie kryje się wszystko. Jego niedowierzanie. Mój bunt. Nieuchronne konsekwencje jednego i drugiego.

Na twarzy Z. gości grymas podobny do mojego.

– Cholera, niedobrze.

Max momentalnie przenosi na niego wzrok.

– Co tu jeszcze robisz?

– Szczerze mówiąc, to powinieneś być wdzięczny, że tu jestem. – Wstaje z westchnieniem. – Bo być może jestem jedynym, kto potrafi was z tego wypłatać. A wierzcie mi, jest z czego wypłatywać. – Unosi wysoko brwi i spogląda na zegarek. – Wygląda na to, że pojawiłem się w samą porę. No, może z lekkim opóźnieniem. – Patrzy na mnie. – Czy twoja rodzina wie?

Kręcę głową.

– Nie. To znaczy nie wydaje mi się.

– To się wkrótce zmieni – mówi, jakby stwierdzał fakt.

– Tak. – Kiwam drżąc głową. – Już tu jest.

– Kto już tu jest? – pyta Maximus.

– Arden. To inkub. Przysłano go po mnie.

Oczy mu groźnie ciemnieją.

– *Wiedziałaś o tym?*

– Do wczoraj nie wiedziałam, co tu naprawdę robi. – Nie jestem w stanie stłumić obronnego tonu.

– Dostanie cię po moim trupie – warczy zdecydowanym głosem, jakby to była prawda wyryta w kamieniu.

– Już na to za późno – wtrąca Z. – Jeśli ze sobą byliście, już sprzeciwiła się rozkazom samego Hadesa. – Cmokając cicho, acz irytująco, władca bogów zerka na prześcieradło, którym opasany jest w biodrach jego syn. – Wykorzenienie jej człowieczeństwa schodzi tu na dalszy plan. Za tego rodzaju bunt grozi straszliwa kara. Dostanie bilet w jedną stronę do piekła, gdy tylko tam na dole zwietrzą, co i jak.

Maximus maszeruje do drzwi i odwraca się na pięcie. Przesuwa dłonią po ustach.

– To jakieś szaleństwo.

– Rozumiem cię – zapewnia Z. – Uwierz, że rozumiem. Gdybym ci opowiedział parę historii, które mi się przydarzyły... – Podchodzi do Maximusa i zakłada kapelusz. – Kiedyś skoczmy na piwo i...

– Nie dbam o twoje historyjki i opowiadki o moim pochodzeniu, okej?
W odpowiedzi Z. sznuruje w zamyśleniu usta.

– Posłuchaj, jestem najniepoprawniejszym romantykiem świata.

Opieram się chęci przewrócenia oczami. Jeśli wierzyć podaniom, bardziej pasowałoby tu słowo „kobieciarz”.

– Wracając do tej kabały z twoją małą diablicą... – Wskazuje na mnie. – Wykonam parę telefonów i zobaczę, co się da zrobić.

Maximus śmieje się chrapliwie.

– A do kogo chcesz dzwonić? Do boga zaświatów?

– Tak się składa, że aktualnie ze sobą rozmawiamy, a nie zawsze tak jest. O swoim drugim bracie nie mogę powiedzieć tego samego. – Uśmiech nieco mu przygasa. – Ale o tym kiedy indziej.

Maximus otwiera drzwi.

– Do widzenia.

– Maximusie. – Podbiegam do niego, pchana desperacją. Wpijam palce w jego napięte mięśnie. – Zaczekaj – mówię błagalnie. – Proszę, zaczekaj chwilę.

– Na co? Już się wystarczająco nasłuchaliśmy.

– Pozwól mu nam pomóc. – Znowu czuję wzbierające łzy. Ale tym razem są to łzy nadziei. Mojej ostatniej nadziei. – Błagam. Co to szkodzi?

Właśnie. Co to szkodzi, skoro teraz mam już prawdopodobnie doszczętnie przerąbane?

– Sam mogę cię ochronić, Karo – mówi ciszej, jakby Z. wcale się wszystkiemu nie przysłuchiwał.

– Wiem, że możesz, ale... – Patrzę na Z. – Naprawdę sądzisz, że zdołasz na nich wpłynąć?

Wzrusza ramionami.

– Nawet jeśli, wszystko ma swoją cenę.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Jaką cenę?

– Ich. – Po raz pierwszy zmarszczki na jego twarzy się wyostają. – I oczywiście moją. Dobrze wiesz, jak to działa. Nie nadstawię karku, żeby ratować demonkę, jeśli nie będę niczego z tego miał.

Wściekłe spojrzenie Maximusa wraca ze zdwojoną siłą.

– Jakie to szlachetne z twojej strony.

– Wóz albo przewóz, synu. To ty możesz stracić swój skarb, nie ja. Jeśli nikt się za nią nie wstawi, twoja ukochana wyląduje w ogniu piekielnym szybciej, niż ci się wydaje. Możesz we mnie wątpić. Ale przedtem spójrz jej w oczy i odpowiedz sobie na pytanie, czy nie widzisz w nich zwątpienia.

Zaciskam mu dłoń na ręce i przyciskam czoło do jego ramienia. To nieme błaganie o zrozumienie.

– *Jeśli* ci uwierzę... i *jeśli* się na to zgodzę... co chcesz w zamian? – pyta zrezygnowanym głosem Maximus i znowu wstępuje we mnie nadzieja.

– Obserwowałem cię przez ponad dziesięć lat, Maximusie. Chciałbym bliżej poznać swojego syna. Nancy odebrała mi twoje dzieciństwo, tym samym odbierając ci możliwość poznania samego siebie. Twojego przeznaczenia. Darów. Chcę tylko to naprawić.

Bijące od Maximusa napięcie jest tak namacalne, że wyczułabym je nawet bez naszej więzi.

– Skoro chciała mnie przed tobą ustrzec, musiała mieć ważne powody.

Z. nie drga ani jeden mięsień twarzy.

– Na pewno miała jakieś powody, ale nie wiem, czy ważne.

– Moja matka nie...

– Chcesz mojej pomocy czy nie? – Z. ponownie sprawia wrażenie bardziej zdeterminowanego niż rozbawionego. Jeszcze jeden dowód na to, że pod tym garniturem jest bóg przyzwyczajony do stawiania na swoim. To mnie powinno podnieść na duchu, ale wcale tak nie jest. Czuję w kościach, że chce czegoś więcej niż zwykłego pojednania z utraconym przed laty synem. Nie przebył takiej drogi i nie szukał go tak długo, by się tym zadowolić. Na pewno chodzi mu o coś więcej. Mimo to nie mam odwagi na konfrontację i ryzyko utraty jego pomocy.

Maximus obejmuje mnie opiekuńczo, na równi czule i zaborczo, a ja mam tylko nadzieję, że zrobi wszystko, by mnie tu zatrzymać. Nawet jeśli w tym celu będzie musiał wpuścić do swojego życia tego nieznanego na tak długo, by uratował moje.

– To jak będzie? – Z. stuka stopą o podłogę.

Maximus zaciska szczęki.

– Jeśli taki jest twój warunek, to wykonaj swoje telefony.

Ojciec odpowiada mu zwyczajnym skinieniem głowy.

– Znakomicie. Zanim dowiem się więcej, dziewczyna jest pod twoją opieką. Nie odpowiadam za nic, co się stanie na twojej warcie.

Maximus przyciska mnie do siebie nieco mocniej.

– Będzie przy mnie bezpieczna.

Przywieram do jego boku, by wiedział, jak gorąco wierzę w każde jego słowo. Jak bezgranicznie wierzę w niego. W nas. W odpowiedzi czuję przypływ jego energii pełnej ciepła, siły i determinacji. Teraz niczego więcej mi nie trzeba. To dla tego się zbuntowałam przeciwko rodzinie. Dla tego mężczyzny, tego półboga, któremu oddałam każdą cząstkę serca, każdy skrawek duszy i każdą minutę życia.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie podziękowania dla moich beta-czytelników, Jonathana, Lauren, Jennifer, Marthy i Mindy – dziękuję za Wasz wkład i zaangażowanie w powstanie tej powieści. Wasza aprobata na wczesnym etapie była dla mnie bardzo ważna.

Scocie Saunders, dziękuję za Twoje sokole oko i czerwony długopis. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy świadomość, że moje słowa zawsze są w tak dobrych rękach!

Angel, jestem Ci niewypowiedzianie wdzięczna za entuzjizm i serce, które przelałaś na karty tej powieści. Jestem bardzo dumna z naszego wspólnego dzieła i nie mogę się doczekać naszej dalszej magicznej współpracy!

Victorio, dziękuję za Twoje wizyty, ale przede wszystkim za Twoją przyjaźń. Myślałam o Tobie, pisząc każde słowo. Przebrniemy przez to razem!

A powieść tę dedykuję mojej cudownej, pięknej przyjaciółce Mindy Moniz. Dziękuję, że zawsze przy mnie jesteś, i za nieprzerwany wodospad memów, które uratowały mnie przed postradaniem zmysłów. Kocham Cię.

Meredith

Nie ma lepszego miejsca, by zacząć podziękowania, niż szczyt wieży błogosławieństw, gdzie mieszka bogini Meredith Wild. Jak wyrazić radość

przepelniającą moje pisarskie serce i duszę? To niemożliwe. Mogę jedynie powiedzieć, że powołanie do życia tego świata u boku takiej przyjaciółki i przewodniczki jak Ty było niesamowitym doświadczeniem. Dziękuję za naukę słowem i inspirację sercem. Jesteś przepięknym błogosławieństwem w moim życiu!

Scotcie Saunders, nikt tak jak Ty nie wygładza i nie ożywia zapisanych na kartach słów. Jestem ci niezmiennie i bezgranicznie wdzięczna. Dziękuję za Twoje zaangażowanie i ciężką pracę. Twoje redakcyjne umiejętności to nasze błogosławieństwo!

Jonathan Mac, Robyn Lee, Amber Maxwell, Haley Boudreaux, Keli Jo Chen i Dana Bridges to najlepszy marketingowy i PR-owy zespół, jaki można sobie wymarzyć. Jesteście moją najlojalniejszą załogą. Z całego serca dziękuję za wszystko, co robicie każdego dnia. #WaterhouseKicksAss.

Victorio Blue, każdego dnia na nowo jesteś moją bohaterką. Dziękuję za wszystko – także za to, że mnie kochasz, choć wiesz, w której szafie trzymam trupy.

Carey Sabala, Twoje wielkie serce, niezachwiana lojalność i wieczny uśmiech dodawały mi sił wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałam. Jeśli istnieje Excelsior Award dla przyjaciółek (i fanek DJ-ów!), powinnaś ją dostać w pierwszej kolejności. *Excelsior*, mała!

Martho Frantz, dzięki za trzymanie maszyny na chodzie. Jesteś niesamowita!

Regino Wamba, ależ to była ostra jazda, dziewczyno! A przygoda dopiero się rozpoczyna. Wierzę w Ciebie całym sercem. I kocham. Przed Tobą wiele wspaniałości. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że będę ich świadkiem.

Pisanie jest przedsięwzięciem niemożliwym do zrealizowania bez bogiń, które są jak przysłowiowe światełko w tunelu. Mam niezrównane światełka w moim życiu! Jenno Jacob, Shaylo Black, Rebekah Ganiere, Sierro Cartwright, Jodi Drake, Red Phoenix, Nelle L'Amour i Helen Hardt, jesteście prawdziwymi czarodziejkami i fenomenalnym wsparciem. Dziękuję.

The Payne Passion Academy, jesteście cudownymi osobami, które dodają mi odwagi i nierzadko napędzają mnie do działania. Dziękuję za Waszą motywację, miłość, memy, szaleństwo i wsparcie. Kocham Was z całego serca!

Brocku O'Hurn i Jade McKenzie, dziękuję za włożenie serca w przedstawienie Maximusa i Kary. Na Wasz widok robi mi się gorąco!

Niezrównany zespół Załoga Nieustającego Wsparcia Operacyjnego Waterhouse, kocham Was, geniusze, tak mocno, że nie ma słów, by to wyrazić. Wszystkim Wam należą się brawa! Jennifer Becker, Kurcie Vachon i Jesse Kench, dziękuję za ogarnianie detali, kiedy najbardziej tego potrzebujemy! Jesteście prawdziwymi gwiazdami rocka.

Stephanie Arrache, jesteś jedną z największych twardzielek, jakie znam (to najprawdziwsza olimpijka!). To zaszczyt mieć Cię w swoim życiu. Dziękuję za superbeta-lekturę i sokole oko przy Jessem.

I wreszcie: mam, jesteś moją opoką, przyjaciółką i inspiracją. To Ty pokazałaś mi, co znaczy najlepsze motto na świecie: „Pracuj ciężko, bądź życzliwa”. Tak bardzo Cię podziwiam i kocham.

Angel

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Podziękowania](#)

[Spis treści:](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Blood of Zeus

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Bożena Sęk

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Projekt i zdjęcie na okładce: © Regina Wamba

Copyright © 2020 Waterhouse Press, LLC

Copyright © 2021 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki

an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2021

ISBN 978-83-66815-83-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek